

Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd



<i>Leszek Wyrwa</i>	
Pseudoamnestia	1
<i>Maciej Radwan Rybiński</i>	
Prywatne rozmyślenia	15
<i>Janusz Rudnicki</i>	
Witaj szkoło	19
<i>Anatol Wiśniewski</i>	
Przypisani do pracy	23
<i>Andrzej Świerczyński</i>	
Szpital w PRL: życzymy zdrowia	29
Przetwać: rozmowa ze Z. Bujakiem	30
<i>Mirostław Chojecki</i>	
Więźniowie polityczni w PRL ...	36
KONKURS POGŁADU	
Pisane trzynastego nocą	40
<i>Jacek Kaczmarski</i>	
Wiersze	46
<i>Mur</i>	48
<i>Jerzy Hoffmann</i>	
Graniczne miasto niezwykły jubileusz	54
RECENZJE, OMÓWIENIA	
POLEMIKI	
<i>Krzysztof Szalkowski</i>	
Nowa książka Brzezińskiego	57
<i>Jerzy Hoffmann</i>	
Umieranie Willy Lomana	58
<i>Stanisław Sobolewski</i>	
Szwecja: Carlsson na dachu	63
Z Rzymu... Marek Lehnert	64
Pieczeń rzymska	65
<i>Anna Michałowska</i>	
Spotkania w „Naszym domu” ...	67
KRONIKA EMIGRACYJNA ...	70
Listy do redakcji	71

Oddano do druku dn. 22.08.1986

Okładka: Jacek Kotalla

Rocznica powstania muru berlińskiego uświadomiła nam lepiej niż kiedykolwiek rolę, spełnianą przez "Pogląd". Rolę sprowadzającą się do przerzucania przez mur informacji i myśli. Jej osobliwością jest to, że przerzucamy w obie strony.

Na tę naszą, zachodnią, choćby ostatni wywiad jakiego udzielił na wolności Zbigniew Bujak. Na tę drugą korespondencje z Rzymu i Sztokholmu.

Mur, o którym piszemy obszernie stoi, ale nie oddziela.

Leszek Wyrwa

Pseudoamnestia

Rządcy PRL znów demonstrują humanitarny charakter swojej władzy. W dniu 17 lipca br., w przeddzień tzw. święta odrodzenia, Sejm uchwalił ustawę „o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw”, która weszła w życie ledwie tylko przebrzmiały salwy świąteczne, 23 lipca. Tego samego dnia pokazano w dzienniku telewizyjnym pierwszych wychodzących na wolność, jak można się domyślać, drobnych przestępców kryminalnych. Polityczni – to sprawa poważniejsza. Nad nimi trzeba się dobrze zastanowić. Czasu jest jeszcze sporo. Jak stanowi ustawa „zwolnienie osób pozbawionych wolności powinno nastąpić nie później niż do dnia 15 września” 1986 r. Słowo „powinno” wskazuje, iż niektóre zwolnienia mogą nastąpić później. Interpretacja taka odpowiada w zupełności duchowi ustawy, której dominującą cechą jest dowolność.

Wydanie ustawy o szczególnym, doprawdy bardzo szczególnym, postępowaniu ze skazanymi poprzedziły mgliste zapowiedzi o przygotowywanej amnestii, jakie padły na X zjeździe partii z ust samego przywódcy. Zdarzyło się to już zresztą po raz drugi w ciągu roku, że zapowiadane przez generała amnestie w ostatecznym wykonaniu przekształcają się w dziwaczne twory prawne. Wypada tu przypomnieć tzw. humanitarną akcję z jesieni 1985 r., na podstawie której zwolniono „po uważaniu” ponad dwustu więźniów „niekryminalnych”. Ręka, którą władze rzekomo wyciągnąć mają do społeczeństwa, czyniąc nadzieje na położenie kresu przetrzymywania

Z prasy podziemnej



WIADOMOŚCI

Na początku maja warszawskie pisma niezależne: *Baza*, *CDN*, *Głos Wolnego Robotnika*, *Niepodległość*, *Solidarność Zwycięży* i *Wola* wydały wspólny numer pod hasłem „Solidarność z Afganistanem” w nakładzie 35 tys. egzemplarzy.

...

W końcu maja ukazała się – wydany przez ruch „Wolność i Pokój” – pierwszy numer krajowej edycji „Amnesty International Newsletter”, pisma organizacji Amnestia Międzynarodowa. W całości poświęcony jest więźniom politycznym poza Polską m. in. w Zimbabwie, RPA, Grecji, Gwatemali, Grenadzie, Nowej Gwinei.

...

Według norm Światowej Organizacji Zdrowia na 100 tys. mieszkańców powinno przypadać przynajmniej 100 łóżek w szpitalach, a jest ich u nas o połowę mniej, zaś według planów w końcu 1990 r. będzie ich ok. 58. Budowa szpitala trwa w Polsce średnio 10 lat.

...

W Krakowie 1.06. br. odbyła się 2-tysięczna demonstracja przeciwko budowie siłowni atomowej w Żarnowcu oraz represyjnej polityce władz, aresztowaniu Zbigniewa Bujaka i jego współpracowników. Po mszy św. w intencji dzieci zagrożonych skażeniem radioaktywnym ma-



nifestanci, wznosząc okrzyki, przeszli od Kościoła Mariackiego do podnóża Wawelu. Domagano się od ZSSR wypłacenia odszkodowań wszystkim ofiarom katastrofy w Czernobylu — w tym i społeczeństwu polskiemu.



Demonstrację zorganizował ruch „Wolność i Pokój”. Milicja nie interweniowała.

(Przegląd Wiadomości Agencyjnych, nr 23, 8. 06. 86)

...

Zarząd Główny Polskiego Klubu Ekologicznego w Krakowie wystosował 3 maja list otwarty do marszałka sejmiku z postulatem stworzenia Komisji Społecznej, która zajęłaby się bezpieczeństwem elektrowni jądrowej w Żarnowcu oraz zorganizowaniem publicznej debaty na temat przyszłości polskiej energetyki atomowej. Władze Klubu piszą, że „celowe jest przeprowadzenie w tej sprawie referendum”.

W Lublinie 2 maja powstała Niezależna Komisja Ekologiczna z zadaniem ciągłego analizowania zagrożenia środowiska naturalnego Lubelszczyzny i regularnego informowania o tym opinii publicznej.

Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników „Solidarność” 12 maja zwrócił się z apelem do uczonych i lekarzy w Polsce i za granicą, do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Światowej Organizacji Zdrowia, Organizacji d/s Wyżywienia i Rolnictwa FAO o powołanie międzynarodowej komisji, której celem byłaby bieżąca ocena skażenia żywności oraz kontrola budów elektrowni atomowych: w Żarnowcu, woj. górnośląskie i Klempiczu, woj. piłskie.

We Wrocławiu z datą 5 maja ukazało się nowe pismo podziemne „Zagrożenie” Biuletyn Ekologiczny, redagowane przez Grupę Roboczą d/s Ochrony Środowiska, powołaną przez Społeczną Komisję Zdrowia i Społeczny Komitet Nauki. Numer 1 poświęcony jest w całości katastrofie w Czernobylu.

(Tygodnik Mazowsze nr 174)

za murami więźniów sumienia, drży za każdym razem, gdy przychodzi do spełnienia zapowiedzi, serwowane zaś społeczeństwu rozwiązania są koślawe, jąttrzące i w zasadzie nie zafatwiają niczego, choć wypuszczenie na wolność pewnej liczby osób pozbawionych wolności jest samo przez się zjawiskiem pozytywnym.

Analiza kolejnych amnestii i pseudoamnestii prowadzi przy tym do refleksji, że stanowią one coraz bardziej spektakularny pokaz gwałcenia prawa, uzależniając zwolnienia i „łaski” nie od litery prawa, ale od widzimisię władz, oficjalnie prokuratorskich. W rzeczywistości — esbeckich. Od dawna bowiem, zaś od stanu wojennego zupełnie jawnie, służba bezpieczeństwa upoważniona jest do wystawiania obywatelom cenzurek moralno-politycznych, w które bezkrytycznie wierzy nie tylko prokurator ale i tzw. niezawisłe sądy.

Mnogość amnestii i innych aktów o tym charakterze w latach, jakie upłynęły od ogłoszenia stanu wojennego, wskazują najwyraźniej z jakimi trudnościami boryka się władza. Ogłoszona ostatnio ustawa o szczególnym postępowaniu jest szóstym już tego rodzaju aktem prawnym od dnia 13 grudnia 1981 r. Pierwszym był dekret z dnia 12 grudnia 1981 r. „o przebaczeniu i puszczeniu w niepamięć niektórych przestępstw i wykroczeń towarzyszących wprowadzeniu stanu wojennego”, który dziś mało już kto pamięta, ponieważ żywot swój zakończył na papierze. Wszyscy ci, którzy mieli skorzystać z jego dobrodziejstwa zostali zamknięci, zanim wspaniałomyślny dekret ujrzał światło dzienne. Wielu z nich, niezależnie od interpretowania, wytoczono procesy sądowe. Dekret wprowadził jednak pewne novum skwapliwie wykorzystywane przez władze również w następnych latach, a mianowicie tzw. lojalcki, nieznanie poprzednim aktom prawnym o charakterze amnestyjnym. Powiadał on mianowicie, że sprawcy przestępstw o charakterze politycznym (termin „niekryminalny” wymyślono dopiero w 1985 roku), którym wytoczono postępowania karne przed dniem 13 grudnia, mogą skorzystać z dobrodziejstw dekretu pod warunkiem złożenia pisemnego zobowiązania, że będą przestrzegać porządku prawnego. Lojalcki starano się też, już niezależnie od dekretu, wymuszać na osobach internowanych w zamian za zwolnienie.

Następne „szczególne postępowanie ułaskawieniowe” ogłoszono w dniu 29 grudnia 1982 r., w przededniu zawieszenia stanu wojennego, na mocy uchwały Rady Państwa. Dotyczyło ono przestępstw politycznych popełnionych w okresie stanu wojennego, nie powodujących „szczególnie ciężkich skutków materialnych, moralnych lub politycznych”.

Praktycznie z ułaskawień w tym trybie mogli skorzystać tylko ci, którzy sami poprosili o łaskę, okazując skruchę, lub negatywny stosunek do popełnionego „przestępstwa”. W imieniu ich występowały również rodziny, obrońcy, organizacje społeczne i kolektywy pracownicze. Uchwała Rady Państwa nie wywołała szerszego odzewiku, ani nie przyniosła znaczących rezultatów, choć wedle danych przytoczonych w roku 1984 przez Z. Jankowskiego i W. Tomczyka w ich komentarzu do amnestii 1984 r., miano zwolnić na jej podstawie około 700 osób (w tym również sprawców przestępstw nieumyślnych).

W siedem miesięcy później, w lipcu 1983 r., z okazji zniesienia stanu wojennego, ogłoszono amnestię, na mocy której odzyskało wolność 481 więźniów politycznych. Globalnie skorzystało z niej około 13 tysięcy osób, wśród nich ci, którym obniżono kary lub umorzono postępowanie.

by odbyć karę. Spowodowało to, w powiązaniu z ogólną sytuacją społeczno-polityczną, zapowiedzi nowej amnestii, która po namysłach i deliberacjach objawiła się w kształcie najnowszej ustawy pseudoamnestyjnej.

Preambuła jej jest wręcz wzruszająca. Mówi bowiem, po raz piąty z kolei, o postępującej normalizacji życia społecznego i o umocnieniu się socjalistycznego państwa. Jeśli przejrzyć motywację wszystkich wydanych dotąd aktów prawnych o charakterze ułaskawieniowym czy amnestyjnym, dosłownie w każdym z nich mowa jest o postępującej normalizacji, z czego wynika, że Polska anno 1986 osiągnęła już supernormalizację, jakiej nie było w powojennej historii, co pozostaje w rażącej dysharmonii z sytuacją wewnętrzną kraju. Pseudoamnestia jest kolejnym ćwierćśrodkiem mającym poprawić w świecie opinię ekipy gen. Jaruzelskiego, a także, choć o to coraz trudniej, omamić własne społeczeństwo.

A oto w jaki sposób rządzący PRL starają się zdyskontować w oczach świata nowy rzekomy akt humanitaryzmu. W dniach 15-17 lipca bawiła w Polsce delegacja senatorów australijskich, o czym zresztą doniosły środki masowego przekazu. Senatorowie, niezbyt wiele niestety wiedzący o naszym kraju, interesowali się przestrzeganiem w Polsce praw człowieka, tym samym więc i więziami sumienia. Otóż w dniu 16 lipca zapewniono ich, że nazajutrz podczas posiedzenia Sejmu dojdzie do uchwalenia ustawy, która problem radykalnie rozwiąże. Senatorowie prowadzący rozmowy z marszałkiem Sejmu Malinowskim i innymi notablami dali wiarę zapewnieniom i byli w nastroju raczej optymistycznym. Następnego dnia w godzinach popołudniowych, zanim na Wiejskiej doszło do uchwalenia ustawy, opuścili Polskę w zasadzie uspokojeni.

Nowa „amnestia” jest wyjątkowo wąska i objąć ma w sumie około 15 – 20 tysięcy osób, przede wszystkim przestępców pospolitych oraz bardzo licznych sprawców wykroczeń. Jest to akt prawny działający automatycznie wobec pewnych kategorii sprawców; wobec innych całkowiec uznaniowy i oparty na dowolności. Automat obejmuje oczywiście przestępców politycznych, choć stwierdzić trzeba, że władze skąpo obdarzyły ich swą łaskawością. Na

hierarchii wartości, jaka istnieje w Bloku Wschodnim. Jednostka jest tam podporządkowana państwu; takie prawa jak np. tajemnica korespondencji znajdują się w gestii państwa. W konstytucjach państw Bloku Wschodniego spotyka się często „piękne sformułowania dotyczące praw człowieka”, które jednakże, na skutek innej hierarchii wartości, bądź szczerkowemu lub też w ogóle nie są wprowadzone w życie – jako że tylko państwo jest ich gwarantem. Wyraził on zdziwienie naiwnością wielu ludzi na Zachodzie wiążących nadzieję z różnego rodzaju traktatami zawieranymi z państwami Bloku Wschodniego. Bartoszewski stwierdził, iż dla niego obojętne doświadczenia z tych układów są raczej negatywne. Realizacja ich nie opiera się na dobrej woli dwu stron, a ich wartość nie jest doładnie określona, jak to np. miało miejsce w przypadku układu jałtańskiego, którego treść inaczej traktowali aliansi zachodni, a inaczej Stalin. Nawiązując do rozmów toczonych obecnie pomiędzy mocarstwami, Bartoszewski stwierdził, że konstruktywne rozmowy z Blokiem Wschodnim toczyć może tylko „twardy i mądry partner”. Najbliższą przyszłość ocenił Bartoszewski raczej pesymistycznie. Brak jest dotychczas jakichkolwiek przykładów na reformowalność systemów komunistycznych, podczas gdy prawniczo zorientowane systemy totalitarne jak np. w Hiszpanii czy Argentynie, potrafią ulec przemianie. Profesor zalecił słuchaczom, aby porzucili powszechnie akceptowane twierdzenie o „realnym układzie sił” uznając jednocześnie realność oporu, jaki istnieje w krajach Bloku Wschodniego”.

AMNESTIA W PRL

Z okazji „lipcowego święta” sejm PRL uchwalił ustawę o „szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw”. Ustawa (stosowana na zasadzie uznaniowej – krótko: według łaski prokuratora) przewiduje, iż więzienia opuści około 20 tys. osób – podaje *Sueddeutsche Zeitung* (23. 07.).

JARUZELSKI WJESIENIĄ W WATYKANIE

Jaruzelski przybędzie, prawdopodobnie w październiku br., do Włoch oraz Watykanu. Prymas Polski, kardynał Józef Glemp, który przebywał w drugiej dekadzie lipca w Watykanie, uzgodnił miał szczegóły audyencji, jakiej polski Papież udzieli polskiemu generałowi – pisze



Frankfurter Rundschau (29. 07.). Podczas spotkania Jaruzelski zaprosił ma Jana Pawła II do odwiedzenia Polski w przyszłym roku.

PROCES PRZECIWKO JEDYNAKOWI ODROZCZONY

„Na czas nieokreślony” odroczony został proces przeciwko członkowi TKK „Solidarności” Tadeuszowi Jedynekowi, podaje *Die Welt*; również proces Jana Borowca, członka podziemnej „Solidarności” został tymczasowo odwołany (obie rozprawy miały toczyć się przed sądem wojskowym w Warszawie). Berliński *Tagespiegel* (31. 07.) przypuszcza, iż „rząd PRL nie chce w czasie realizowania amnestii rozpocząć nowych procesów politycznych”.

WZNOWIENIE STOSUNKÓW DYPLOMATYCZNYCH PRL – IZRAEL

W bońskim dzienniku *Die Welt* (8. 07.) ukazał się artykuł podsumowujący informacje i pogłoski dotyczące możliwego wznowienia kontaktów dyplomatycznych pomiędzy Izraelem a PRL. Oto ciekawsze wyjątki:

„W najbliższych tygodniach dojdzie do rozstrzygającego kroku, który wznowi zerwane przez PRL w 1967 roku, w wyniku tzw. „wojny sześciodniowej” stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Jak wynika z informacji płynących z bońskich kół dyplomatycznych, pomiędzy obydwojoma krajami dojdzie do wymiany misji na szczeblu „przedstawicielstw interesów”. Rozmowy normalizacyjne pomiędzy Izraelem a PRL toczyły się w drugiej połowie ubiegłego roku na terenie RFN.

Izraelski radca ambasady, tudzież dwóch innych dyplomatów przygotowują się obecnie w Jerozolimie do przeprowadzki na teren warszawski. Początkowo rezydować będą oni pod flagą niderlandzką w przedstawicielstwie holenderskim, które wzięto na siebie obowiązek reprezentowania interesów Izraela w Polsce. Natomiast polscy dyplomaci zgromadzą się w Tel-Awivie pod szyldem Polskiej Spółki Bankowej. Wznowienie stosunków dyplomatycznych wynika z różnic motywowanych starań, jakie podejmowały od dłuższego czasu oba kraje: Polska próbuje wzmocnić w ten sposób swoją pozycję na światowej arenie politycznej, zależy jej zwłaszcza na pozytywnym echu w Waszyngtonie (aspekt kredytowy i ich morderstw). Izrael natomiast zaintereso-

mocy ustawy darowane mają być tylko kary do roku pozbawienia wolności (z licznymi wyłączeniami) oraz złagodzone o połowę kary do lat dwóch. Pozostałych kar ustawa w ogóle nie obejmuje, pomijając tym samym wszystkie osoby ukarane często w drakański sposób długoterminowym więzieniem. Ustawa dopuszcza możliwość – w zależności od opinii prokuratora – wcześniejszego zwolnienia z zakładów karnych mężczyzn powyżej 60 lat i kobiet powyżej 50 lat, młodocianych i osób opiekujących się dziećmi do lat szesnastu oraz sprawców przestępstw nieumyślnych. Wszystkie opisane wyżej dobrodziejstwa nie dotyczą sprawców ciężkich przestępstw (określanych przez kodeks karny jako zbrodnie), przestępstw popełnionych w stanie nietrzeźwym, wyczynów chuligańskich i wielu innych oraz oczywiście recydywistów.

Niekryminalni – to zupełnie co innego. Sprawy ich mają być rozpatrywane indywidualnie, zaś czynnikiem decydującym przy zwalnianiu są opinie prokuratorskie, prognozujące, czy rokując u więźnia nadzieję na zerwanie w przyszłości z dotychczasową działalnością. Ustawa zresztą nie dotyczy wszystkich politycznych, a jedynie tych, którzy występowali „przeciwko ładu i porządkowi publicznemu”. Ustawa obejmuje więc słynny art. 282 § 1 i 2 kodeksu karnego, z którego wyroki otrzymała większość działaczy opozycyjnych (m. in. za druk i rozpowszechnianie podziemnych wydawnictw, akcji protestacyjnych itp.), czyniąc jednak bardzo istotne wyłączenia. Spod możliwości darowania czy złagodzenia kar wyłączone bowiem nie tylko, jak w roku 1984, zdradę ojczyzny (pojęcie to może zresztą być w obecnych polskich warunkach rozumiane bardzo różnie) lecz również szpiegostwo, działanie na rzecz obcego wywiadu oraz udział w związku mającym na celu przestępstwo, takim, który ma pozostać tajemnicą wobec władz (za taki właśnie uznano KPN), lub zdelegalizowanym („Solidarność”). W ten sposób spod działania humanitarnej ustawy wyłączeni są wszyscy znani działacze opozycji i „Solidarności” przebywający w więzieniu, zarówno już skazani jak i oczekujący na proces.

Nie należy jednak brać zbyt poważnie tego ostatniego ograniczenia. Władze, jak zwykle, pozostawiły sobie ustawową i tym samym niby legalną furtkę zapewniającą im możliwość postępowania w wygodny dla siebie sposób. Otóż art. 4 ustawy z dnia 17 lipca stanowi, że „w uzasadnionych wypadkach Sąd Najwyższy na wniosek Prokuratora Generalnego może umorzyć postępowanie oraz darować karę orzeczoną za każde inne przestępstwo”. Wypuścić na wolność i darować karę można więc będzie, jeśli tak się spodoba wysokim czynnikiem nie tylko Władystawowi Frasyniukowi, Czesławowi Bieleckiemu czy nawet Zbigniewowi Bujakowi, ale także każdemu wielkiemu aferzyście lub zbrodniarzowi. W ten sposób zapewniono pełny komfort dla władzy i zademonstrowano elementarny brak poszanowania dla prawa. W parę dni po ogłoszeniu ustawy ukazała się w tej sprawie instrukcja dla Z. Bujaka. W wydaniu *Rzeczpospolitej* z dnia 26-27 lipca br. eksperci-prawnicy, którzy wyjaśniają na poczynnych łamach wątpliwości czytelników związane z działaniem ustawy, następująco odpowiedzieli na pytanie nieznanego naiwnego, czy po wejściu ustawy w życie Z. Bujak wyjdzie na wolność: „Należy przewidywać, że ze względu na prowadzenie działalności w nielegalnych strukturach ustawa ta w normalnym trybie nie będzie stosowana do takich osób jak Zbigniew Bujak. Ustawodawca przewidział jednak sytuacje wyjątkowe... Można przewidywać, iż Sąd Najwyższy skorzysta z tych możliwości wówczas, jeśli sprawca zadeklaruje za niekieranie sprzecznej z prawem działalności”. Teraz już Z. Bujak i inni mieć będą pełną jasność jak należy postąpić.

Doszlismy wiec do problemu „lojalek”. Ustawa nie uzaleznia wprost zwolnienia osob skazanym czy podejrzanym o popehlenie przestepstw o charakterze politycznym z podpisywaniem jakichkolwiek zobowiazan. Art. 12 pkt 4 stanowi, ze w wypadku przestepstw politycznych „sąd lub prokurator moga (ale nie musza - przyp. autora) uzaleznic zastosowanie ustawy od zlozenia przez sprawce pisemnego oswiadczenia, ze nie powroci na droge przestepstwa”, czyli innymi slowy przestanie dzialac w opozycji. Rzecznik prasowy rzadu Jerzy Urban na konferencji prasowej w dniu 29 lipca br. energicznie zdementowal, jakoby owe pisemne zobowiazania miały miec cos wspolnego z deklarowaniem lojalnosci. „Nie oczekujemy deklaracji o lojalnosci - oswiadczył - a jedynie zapewnienia o woli respektowania porzadku prawnego w naszym kraju”. I ten zwrot staje sie parodią w krajnie bezprawia. Zreszta tak czy inaczej nie sama tresc owych deklaracji jest wazna, wszelkie bowiem przyrzeczenia skladane w okolicznosciach majacych w sobie element przymusu sa z mocy prawa niewazne. Celem owych lojalek, czy tez jak deklaracje te chcemy nazywac, jest zlamanie uwiezonych, ponizenie ich godnosci, aby potem, jesli bedzie to dla wladzy wygodne, osmieszyc ich i upokorzyc w srodkach masowego przekazu, zwlaszcza za w telewizji. Jakimz przebojem rezymowym sezonu bylyaby wszak lojalka Zbigniewa Bujaka!

Ządanie składania zobowiazan, jesli wladze istotnie beda probowaly je egzekwowac, ogromnie zaciezni krąg wienzniu sumienia, ktorzy beda mogli wyjsc na wolnosc. Jak potoczaj sie dalsze wypadki zalezaj od sytuacji w kraju, reakcji miedzynarodowych i zwiazanych z nimi decyzji politycznych. Kto wie, czy nie dojdzie do tego, iz lojalni zamiast wienzniu, beda podpisujacy sami prokuratorzy, sporzadzajac notatki, ze ostrzegali co im grozi w razie powrotu do dzialalnosci.

Wszystkie zlagodzenia kar i umorzenia, jakie przyniesie ze soba ustawa z dnia 17 lipca br., majaj charakter warunkowy. Dobrodziejstwa zostana cofniete, jesli „obdarowani” popelnia podobne przestepstwo do dnia 31 grudnia 1987 r. Pseudoamnestia zacheca tez do dobrowolnego ujawniania sie i spowiadania prokuratorowi ze swoich grzechow do dnia 31 grudnia br. w zamian za co sprawcow czeka dobrotnie potraktowanie. Wreszcie, podobnie jak amnestia z roku 1984, ustawa nie przewiduje mozliwosci odmowy przyjecia jej lask, a tym samym domagania sie przez podejrzanym czy oskarzonym przeprowadzenia procesu sadowego, w ktorym mogliby dowiesc swej niewinnosci. Dobrodziejstwa ustawy aplikuje sie wiec przymusowo takze wobec osob, ktore czujaj sie cakowicie niewinne i pragnajac publicznego oczyszczenia z zarzutow.

W chwili, gdy pisze te slowa mija osmy dzien od wejscia ustawy w zycie. Jak informuje prasa, do dzis skorzystalo z niej 3958 osob, ktore wyszly na wolnosc dzieki darowaniu lub zlagodzeniu kar. Sa w srod nich 593 kobiety. Uchylo na tez areszt 14 wienzniom sumienia, wobec 4 za umorzono postepowanie karne.

Za wczesnie jeszcze, aby ocenic w pelni znaczenie ustawy, ktorej tresc nie moze wszak napawac optymizmem. Jak zwykly w PRL wazna jest jednak nie tyle litera stanowionego prawa, co jego praktyczna interpretacja, zalezajaca od manewrow i spekulacji wladz. Urban w wspomnianej juz konferencji prasowej zapowiedzial, ze „zwolnienia z wienzienia niektorzych osob pojaja znacznie szerszej niz to zachodni dziennikarze przewidujaj”. Nie wiem, co przewidujaj zagraniczni dziennikarze. Polacy przyzwyczaili sie nie wierzyc ani rzecznikowi prasowemu, ani jego rzadowi.

wany jest przetwarzaniem izolacji krajow Bloku Wschodniego (poza Rumunia, ktora utrzymuje oficjalne kontakty z panstwem zydowskim) trwajajacy juz prawie 20 lat”.

ZADLUZENIE PRL

PRL i USA podpisaly umowe dotyczajaca przesunienia terminu splat dlugow - pisze berlinski *Tagesspiegel* (31.07.). Porozumienie obejmuje kredyty, ktorych platnosc przypadała poczatkowo na lata 1982/84, wynosuj 1,7 miliarda dolarow. Wedlug nowych warunkow PRL splacac bedzie te sume dopiero w latach 1991/97.

Frankfurter Allgemeine Zeitung (1.08.) podaje za Głównym Urzędem Statystycznym PRL, iz wedlug stanu pod koniec czerwca br. zadłużenie Polski na Zachodzie wzroslo do 31,3 miliardow dolarow, a wobec krajow Bloku Wschodniego do 6 miliardow rubli transferowych.

DEMONSTRACJA W WARSZAWIE

Ponad tysiac osob wziewlo udzial w niezaleznej demonstracji do ktorej doszlo 1 sierpnia br. w Warszawie po koscielnych uroczystosciach zwiazanych z 42 rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Protestujacy tłum przemarszerowal od katedry sw. Jana do Grobu Nieznanego Zolnierza wznoszac okrzyki: „Nie ma wolnosci bez Solidarnosci” oraz „Wafesa”, informuje *Frankfurter Rundschau* (2.08.). Demonstranci przebywali ponad pol godzinie wokol pomnika spiewajac pieśni religijne i narodowe, a nastepnie rozeszli sie w spokoju; milicja nie interweniowala.

OBYWATELE NRD ZADAJAJ ZWOLNIENIA WIEZNIOW POLITYCZNYCH W PRL

70 obywateli NRD - informuje berlinski *Tagesspiegel* (2.08.) - wystosowalo list otwarty do prokuratora generalnego PRL gen. Zyty, zawierajacy ządanie „bezwarunkowego zwolnienia dwuch cztonkow pacyfistycznego ugrupowania „Wolnosc i Pokoj”. Apel ten, dotyczacy Jacka Czaputowicza i Piotra Niemczyka, sygnowany jest przez wschodnoniemieckiego „Inicjatywe na rzecz pokoju i praw czlowieka”. Ugrupowanie to wystosowalo w br. juz kilka apeli do wladz wschodnoniemieckich, w ktorych ządalo przestrzegania praw czlowieka i obywatela w NRD.

ZAKAZ WYJAZDU DLA LOTHARA HERBSTA

Lothar Herbst, wrocławski pisarz i tłumacz, który miał udać się na leczenie schorzenia oczu do szpitala w Lubece (RFN), nie otrzymał od władz PRL pozwolenia na wyjazd. Herbst, któremu w razie niepodjęcia leczenia grozi ślepotą, poinformował w rozmowie telefonicznej dziennikarzy agencji Reutersa, że „urząd paszportowy odrzucił jego wniosek, nie podając żadnych motywów”, informuje *Tagesspiegel* (7. 08.).

„REWELACJE ROSIAKA”

Przed kamerami telewizji polskiej wystąpił niejaki Zbigniew Rosiak, robotnik Stoczni im. Lenina w Gdańsku, który podał się za szefa podziemnej „Solidarności” na jednym z wydziałów w stoczni, pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (7. 08.). Rosiak, „korzystając z amnestii, przysnął się do nielegalnych czynów, czym zażył sobie z pewnością na dyspensę od władz PRL. Jedną z rewelacji Rosiaka jest twierdzenie, iż był on członkiem „grupy terrorystycznej”, która miała na celu zastraszanie aktywistów partyjnych. Rosiak powiedział ponadto, iż brał on udział w tajnych zebraniach, które odbywały się na terenie kościoła św. Brygidy, gdzie jak wiadomo proboszczem jest ksiądz Henryk Jankowski”.

„PRZESIEDLEŃCY” Z POLSKI PRZYBYWAJĄ NIELEGALNIE DO RFN

Według danych zachodniemieckiego Związku Wypędzonych (BdV) coraz „mniej niemieckich przesiedleńców opuszcza legalnie teren PRL”. W roku 1985 wyjechało z Polski za zgodą rządu w Warszawie i udało się do RFN 22 750 osób. Natomiast od stycznia 1986 r. przybywający na teren RFN przesiedleńcy dokonują tego w większości „nielegalnie” (prawie 90 % przybyło do Niemiec Zachodnich na paszportach turystycznych lub służbowych), podaje *Die Welt*.

ZWOLNIENIE 60 WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH

Do dnia 14 sierpnia „z dobrodziejstwa amnestii” w PRL skorzystało około 60 więźniów politycznych (na ogólną liczbę wynoszącą wg. źródeł niezależnych 350 osób), podaje *FAZ* (15. 08.). Z „prominentnych” więźniów zwolniono dotych-

czas Bogdana Lisa i Adama Michnika. Na wolności znalazł się również przetrzymywany od 8 miesięcy w areszcie śledczym Zbigniew Szymanderski.

Kraj w prasie PRL



POŻOGA WE MGLE

Mamy szczęście do świetlanych postaci. Na książkę *Mówi Światło* wydaną w Londynie Warszawa zareplikowała tekstem *Mówi Pożoga*. Pożoga to taki Światło obecnego etapu, wiceminister spraw wewnętrznych, jak można się domyślać szef wywiadu. Rozmowę sporządzoną przez PAP opublikowały wszystkie gazety w PRL. Niektórzy uważają, że ważne jest, iż generał w ogóle mówi, bo dotąd szefowie wywiadu nie tylko niczego publicznie nie ogłaszali, ale nawet nie bardzo było wiadomo, czy istnieją, przynajmniej dopóki nie uciekli za granicę. Wydaje się jednak, że tym razem ważne jest nie to, iż Pożoga mówi, ale co mówi. A generał nie należy do wstrzemięźliwych, niczego nie ukrywa, zwłaszcza sukcesów swego aparatu.

Zaczyna się ta powieść oczywiście od najbardziej spektakularnego osiągnięcia służb specjalnych PRL - zdobycia tajnych dokumentów Zbigniewa Brzezińskiego i CIA dotyczących planów destabilizacji realnego socjalizmu w Polsce w latach 70-tych.

„Choć kopie tego dokumentu otrzymało bardzo wąskie grono osób, to jednak dość szybko znalazł się jego założenia.”

Istotnie kopie otrzymało dość wąskie grono osób, bo jeden egzemplarz książki Zbigniewa Brzezińskiego zawierającej cytowane przez niepowstrzymanego Pożogę dokumenty kosztuje parę marek i nie każdego na

nią stać. Ale ambasadę PRL stać i z tajnych funduszy kierowca ambasadora kupić widać dla potrzeb wywiadowczych może nawet kilka egzemplarzy.

Dalej generał - być może nieświadomie - ujawnia, że codzienne komentarze w prasie partyjnej pisze albo on sam osobiście, albo też urzędnicy z jego kancelarii cywilnej. Ołbrzymia część wypowiedzi składa się bowiem z takich oto sformułowań: „władza wykazała sprawność”, „siewcy niepokoju”, „rachuba na nowe konflikty”, „zachodnie służby specjalne”, „ośrodki dyspozycyjne”, „podjudzanie konfliktów”, „destabilizowanie sytuacji”, „nakręcanie spirali zbrodni”, „zespół działań”, „ukierunkowanie na indoktrynację i dywersję ideologiczną”, „zabiegi”, „próby”, „inspirowanie”, „intensyfikacja działań”.

Wszystkie te kunsztowne figury stylistyczne, stanowiące niewątpliwie wkład realnego socjalizmu w rozwój poprawnej polszczyzny mają z pewnością także swój desygat. Niestety, generał nie chciałby ujawnić jaki. Jest to zapewne tajemnica państwowa.

Po sukcesach wywiadu przyszła kolej na omawianie błyskotliwych działań kontrwywiadu. Kontrywiad zgodnie z solennymi zapewnieniami Pożogi zajmował się przede wszystkim działaczami „Solidarności”. U jednego z nich znaleziono następujące wyposażenie szpiegowskie:

- komputer osobisty, wykorzystywany do sztyrowania informacji;
- urządzenia wykorzystywane do wykrywania i kontrolowania łączności MON i MSW, tzw. scannery;
- miniaturowe aparaty fotograficzne firmy „Minox”;
- detonator do wyzwalania materiałów wybuchowych;
- pistolet w postaci długopisu.

A wszystko to zilustrowane zdjęciami tej straszliwej aparatury, przy pomocy której chciano wyrwać Polskę z Układu Warszawskiego i przywrócić na tron usuniętą niedawno z moskiewskiego Biura Politycznego dynastię Romanowych. Bliższe przyjrzenie się zdjęciom pozwala stwierdzić, że komputer do sztyrowania meldunków szpiegowskich o najnowszym polskim wynalazku technicznym - maszynie do dziurkowania karteń na benzynę, zamiast wycinania - można kupić w każdym sklepie podobnie jak aparat „Minox” czy scannery, czyli mówiąc po ludzku „walkie-talkie”. Po Zachodzie płaczą się tłumy szpiegów z aparatami „Minox” i scannerami, a wyposażenie niejednego kilkunastoletniego maniaka komputerowego

mogłoby przyprawić o szok najtwardszych współpracowników Pożogi. Gdyby policji zachodniobieralskiej przyszło do głowy sfotografować dla celów propagandowych wyposażenie redakcji *Poglądu*, Pożoga bardzo by się zdziwił, bo w całym MSW nie ma tylu liczydeł, ile w *Poglądzie* jest komputerów. Pewnie, można liczyć na palcach, można nawet zdjąć buty jak rachunek trudniejszy i w ten sposób nie popaść w podejrzenie o agenturalną aktywność. Ale jak odeprzeć oskarżenie o posiadanie detonatora do wywalania materiałów wybuchowych, a zwłaszcza jak się wytumaczyć z nieposiadania samych materiałów? Słabo się znamy na detonatorach – luka w wykształceniu podstawowym – ale za to pistolety w kształcie długopisu to dla nas nie pierwszyna. Na filmach z Bondem takie rzeczy pokazują i widzowie Pożoga też ogląda te filmy na pokazach zamkniętych.

W każdym razie pistolet w kształcie długopisu to już jest konkretnie i musi być w tym coś na rzeczy, bo podobno są także długopisy w kształcie pistoletu. W każdym razie wyposażenie imperialistycznych agentów w długopisy świadczy, iż w PRL zlikwidowano z pewnością alfabetyzm. Długopis w kraju niepiśmiennych od razu rzucały się w oczy i szpiega można by zdemszkować znacznie wcześniej. Jeszcze nim by strzelił, podczas pisania.

Wywiady zachodnie mają zdaniem generała zamiar wyposażać wszystkich piśmiennych w takie strzelające długopisy i wtedy już na pewno dojdzie w Polsce do prawdziwej kontrrewolucji w ujęciu Marksa i Lenina: piśmienni strzelacę będą z długopisów do analfebetów. Należy się obawiać, że na pierwszy ogień pójdą dziennikarze prasy reżymowej.

Oczywiście, że ludzie generała, wysłani na Zachód – trzeba mieć nadzieję, że nie otrzymali po jednej diecie, jak to zwykle dostają uczeni, wyjeżdżający na kongresy i seminaria – z miejsca wykryli nadawców tych straszliwych urządzeń dywersyjnych. Generał wymienia ich po nazwisku

i adresie. Niewielka to sztuka, bo wszystkie wymienione osoby wydawały lub wydają rozmaite broszury lub książki, w których podają swe adresy. Telefony zresztą też. Niechlujni agenci nie zdołali jednak poinformować ministra, że Mainz to po polsku Moguncja. Ponieważ Andrzej Wirga podaje w swoim biuletynie także telefon, można się z nim było w tej sprawie skonsultować. Inny groźny agent Piotr Jegliński wydawał *Sportkania* jeszcze w Polsce, pod egidą Kościółka, czyni to nadal i dzięki niemu trafiło do polskiego Czytelnika wiele cennych publikacji. Oczywiście trafiło bez cenzury, co nie może się generałowi podobać.

W dalszej części wywiadu forma generała jakby słabła. Najpierw opowiada o instrukcjach przekazywanych do PRL, które to instrukcje pamięta generał zapewne jeszcze z lektury wojennych książek dla młodzieży. Mają to być bowiem poradniki rozkręcania szyn kolejowych, niszczenia mostów, uszkadzania linii elektrycznych. Słabe to instrukcje, skoro mimo przekazywania w takich ilościach, nikt się jeszcze do nich nie zastosował. Ach, jakby się przydała w Polsce „Rote Armee Fraktion” – można wyczytać ze słów generała. No cóż, zamiast *Barw walki* Moczara powinien Pożoga czytać pamiętniki swych wielkich antenatów, szefów Ochrony, którzy w takich sytuacjach nie tylko zakładał komórki anarchistyczne, ale nawet inspirowali zamachy na carów.

Reszta informacji zamieszczona w tym wywiadzie-rzecz pochodzi głównie z prasy emigracyjnej i jest wylizaniem, kto się na kogo obraził, kto i od kogo ma odmienne zdanie oraz kogo i gdzie przyjmuje prywatnie Najder i kogo wyrzuci służbowo. Wzięte jest to z prasy emigracyjnej, ale niechlujnie, bo przecież nie wypada, aby szef wywiadu nie wiedział, jak się nazywa naprawdę Choejki i żeby tak przekręcał jego nazwisko, że już doprawdy nie wiadomo, o kogo chodzi – o Mirka czy o Chileckiego.

Nie przeszkadza to dziennikarzowi PAP kurtuazyjnie stwierdzić na zakończenie:

„Dzisiejsza rozmowa utwierdza mnie w przekonaniu, że służby podległe Towarzystwu Generałowi mają głęboką wiedzę o przeciwniku”.

Widocznie ów anonimowy dziennikarz miał takie przekonanie już uprzednio. Czy miało sens przekonywać przekonanego?

BUDŻET

Oto opublikowany przez *Tygodnik Powszechny* (w czerwcu 1986 r.) budżet domowy rodziny składającej się z ojca (40 lat, technikum mechanik), matki (38 lat, sortowaczka), syna (17 lat, uczeń szkoły zawodowej), córki (10 lat, uczennica). Wpływy rodziny wynoszą: pensja ojca 24 167 zł, pensja matki 16 100 zł, pożyczka 2 500 zł. Razem: 42 767 zł. Wydatki: mieszkanie 4 114 zł, żywność 20 043 zł, odzież 10 837 zł, zdrowie 350 zł, higiena 675 zł, komunikacja 330 zł, kultura 380 zł, sport, wypoczynek 580 zł, styczeń 3 200 zł, życie domowe 1 309 zł, inne 900 zł. Razem: 42 738 zł.

Rodzina pyta – jak żyć dalej? Odpowiedzi udziela GUS – statystycznie.

STOPA WZROSTU

Chodzi oczywiście o stopę wzrostu stopy życiowej. Wedle danych Głównego Urzędu Statystycznego wskaźnik cen towarów i usług wzrósł w pierwszym półroczu 1986 r. w porównaniu z rokiem ubiegłym o 18,2%. Natomiast koszty utrzymania pracowników gospodarki uspołeczniaczej wzrosły w tym samym okresie o 18,6%. Koszty utrzymania osób będących pod specjalną opieką państwa – a więc emerytów i rencistów – wzrosły aż o 20,2%. Spadku poziomu płac realnych tym razem nie podano, ograniczając się do stwierdzenia, że został on zahamowany. ■

KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA

STYPENDIA Z RFN DLA POLSKICH STUDENTÓW

Istnieje szereg umów kulturalno-naukowych podpisanych przez PRL z różnymi państwami zachodnimi. W ramach tych umów przyznawane są też stypendia dla Polaków. Największe szanse mają profesorowie, wykładowcy lub doktoranci kierunków technicznych. Szary student może tylko marzyć o uzyskaniu stypendium.

Hamburski tygodnik *Die Zeit* (18. 07.) zamieścił ciekawy artykuł o prywatnej inicjatywie z Fryburga Bryzgońskiego, umożliwiającej polskim studentom uzyskanie stypendium na jeden lub dwa semestry w celu nauki języka niemieckiego lub poszerzenia wiadomości w swoim kierunku studiów. A wszystko zaczęło się od wizyty w Polsce (1980 r.) studenta prawa, filozofii i teologii Georga Zieglera. Zapytany o możliwości uzyskania przez

polskich studentów germanistyki stypendium w RFN, postanowił działać na własną rękę. Problem polegał na tym, jak sfinansować pobyt studenta z Polski w RFN, gdzie nie ma on szans na utrzymanie się z własnej pracy, bowiem nawet studenci zachodniemieccy sami mają trudności w znalezieniu pracy zarobkowej. Ziegler nie zrażony urzędowymi przeszkodami powołał do życia towarzystwo „GFPS” (Gemeinschaft zur Foerderung von Studientaufenthalten polnischer Studenten in der Bundesrepublik Deutschland), licząc na pomoc finansową instytucji i ludzi prywatnych. Od 4 kwietnia 1984 „GFPS” działa jako towarzystwo wyższej użyteczności.

Pierwsze pieniądze wpłynęły od zachodniemieckich studentów, którzy spędzili wakacje w Polsce (22 osoby). Spontanicznie zobowiązali się płacić po 20 marek miesięcznie, aby umożliwić pierwszej osobie z Polski roczny pobyt na uniwersytecie w RFN. Z czasem towarzystwo okrzepło. Dalsze pieniądze wpłynęły od Rotary Club, Caritasa (na podręczniki), uniwersytetów (nieodpłatne miejsca na kursie językowym), zarządów domów studenckich (mieszkanie), fundacji Roberta Boscha i innych instytucji. Towarzystwo liczy obecnie 123 członków wspierających. Wybór stypendystów dokonywany jest przez komisję niezależnych naukowców polskich. Główna dewiza towarzystwa: nieważność się z żadną państwową instytucją ani w RFN ani w Polsce, aby w ten sposób zachować niezależność i nie wpaść w „młyn codziennej polityki”.

W międzyczasie powstały grupy robocze przy 12 uniwersytetach w RFN, które popierają „GFPS”. (Adres: GFPS, Postfach 64 42, 7800 Freiburg).

TEATR WIELKI Z WARSZAWY W BERLINIE ZACHODNIM

W ramach Europejskiego Festiwalu Muzycznego gościł w Berlinie Zachodnim warszawski Teatr Wielki z operą Modesta Musorgskiego „Borys Godunow”. Berliński dziennik *Tagesspiegel* (17 i 22. 07.) poświęcił najpierw całą stronę działu kulturalnego na artykuł omawiający historię warszawskiej opery, jej zasługi jak i dzisiejszą działalność, a następnie po koncercie na wolnym powietrzu (w Waldbuehne) zamieścił pochlebne recenzje. Kierownika muzycznego Teatru Wielkiego i I dyrygenta warszawskiej opery, Roberta Satanowskiego nazwano w obszernym sprawozdaniu „nadwiślańskim Karajem”. Satanowski przedstawił wersję Godunowa w instrumentacji Rymyńskiego-Korsakowa (Musorgski zmarł nie ~~posiadając~~ posiadając oryginalnej instrumentacji), która tutaj na Zachodzie jest stosunkowo rzadko grana, i inscenizacji Marka Grzesińskiego (warszawska premiera w 1983 r.).

W drugim dniu występu Satanowski zaprezentował zachodnioberlińskim melomanom dwa utwory Beethovena: uwerturę „Leonore III” i IX symfonię. Chór warszawskiej opery został wzmocniony przez Chorałe Arts Society z Filadelfii (USA). Warszawska opera z tym samym programem wystąpiła jeszcze w Stuttgarcie i Londynie.

Mimo okresu urlopowego publiczność dopisała. W obu koncertach wzięło udział ponad 6,5 tys. widzów.

LITERATURA BEZ WYRAZU

Neue Zeurcher Zeitung (10/11. 08.) omawia czeskie perypetie związane z wydaniem antologii pisarzy XX wieku. Pod auspiciami Akademii Nauk wydaje się tam „Historię literatury”. Dotychczas ukazały się 3 tomy, a ostatni – wydany w 1961 roku – omawia okres do lat 80-tych XIX wieku. Tom czwarty (literatura czeska XX wieku) został co prawda napisany, ale zamiast ukazać się, manuskrypt powędrował do szafy pancernejszej. Prasy liter-

aturoznawcy z przyczyn politycznych nie są w stanie lub nie mogą zaprezentować w sposób obiektywny najwazniejszego okresu w literaturze swego kraju – wiek XX to odrodzenie i rozwój narodowej literatury w Czechosłowacji.

Natomiast na początku 1986 r. ukazał się „Słownik czeskich pisarzy XX wieku” o objętości 830 stron. Jednakże zawiera on z przyczyn politycznych i ideologicznych mnóstwo mankamentów i preinaczej. I tak np. partyjnemu poecie Iwanowi Skali poświęca się o wiele więcej uwagi niż laureatowi literackiej nagrody Nobla, Jaroslavowi Seifertowi; równocześnie przemilcza się prawie 1/3 nazwisk utalentowanych czeskich pisarzy niewygodnych politycznie. Natomiast skandalem jest wyolbrzymienie zasług niejakiego Miroslava Kapka (pseudonim Miroslava Muellera, kierownika wydziału kultury w KC Komunistycznej Partii CSRS od roku 1972). „Wzbogacił” on współczesną literaturę czeską realnego socjalizmu m. in. o elementy pornograficzne.

BIENNALE W WENECJI

Od około 30 lat Biennale w Wenecji jest forum, gdzie reprezentuje się najnowsza sztuka graficzna ze Wschodu i Zachodu; jest miejscem konfrontacji różnych kierunków artystycznych i niekiedy startem do kariery na Zachodzie dla twórców z Bloku Wschodniego.

W tym roku prezentacja prac ze Wschodu rozczarowuje, w pawilonach wieje nudą – pisze *FAZ* (14. 08.). Kraje Bloku Wschodniego nie zdobyły się na wystawienie prac młodych twórców. I tak, o ile w 1982 r. Polskę reprezentowały tylko prace Adolfa Ryksi – dość ryzykowny krok – to w tym roku zdecydowano się na artystów uznanych, jednakże nie wnoszących nic nowego. To samo można by powiedzieć o pawilonach innych krajów realnego socjalizmu.

EKSPORT POLSKICH ARTYSTÓW

Polscy artyści pracują na całym świecie – czasem ze względu na międzynarodową sławę, a czasem ze względu na pieniądze – pisze *FAZ* (16. 08.). Skarb PRL w roku ubiegłym wzbogacił się o 3,5 mln dolarów, co dla zadłużonej Polski jest sumą dość znaczną. Na Zachodzie pracują aktorzy (Daniel Olbrychski, Krystyna Janda), reżyserzy (Krzysztof Zanussi, Adam Hanuszkiewicz) jak i inni artyści. Od ich zarobków netto urzędów podatkowy pobiera opłaty w wysokości od 10% do 20%. Artyści załatwiają swoje kontrakty najczęściej na własną rękę, choć w Polsce aż 7 różnych instytucji zamuje się „eksportem kultury” (najważniejsze to: Pagart, Poltel, Film Polski).

W roku 1985 Pagart wydał zezwolenia i zrealizował 3986 kontraktów zagranicznych, w tym 2909 kontraktów indywidualnych na Zachód (głównie do Francji, RFN i Stanów Zjednoczonych). Jak zwykle tego rodzaju działalność oprócz zysku posiada też wady i rodzi problemy. Polska publiczność musi czasem na wiele miesięcy zrezygnować z oglądania swoich ulubieńców w teatrach. Z drugiej strony powstaje szansa dla młodego narybku w teatrach, gdy „wielcy” świecą nieobecnością. Natomiast masowe wyjazdy polskich skrzypków spowodowały kryzys w polskich orkiestrach symfonicznych, którym brakuje muzyków. W związku z tym Ministerstwo Kultury i Sztuki zostało zmuszone do wydania zarządzenia, że tylko osoby, które nie znajdują zatrudnienia w Polsce, mogą podpisać kontrakt zagraniczny. Zarządzenie to jest dość śmieszne, gdyż każdy dobry skrzypiec może tak zagrać, że „uszy wiedną” i nie otrzyma wówczas pracy.

Naturalnie tylko niewielu polskich artystów występuje w La Scali, Olimpii czy Metropolitan Opera. Więk-

zność z nich czuje się zmuszona do przyhamowania lub rezygnacji ze swoich ambicji artystycznych i zarabia na chleb w kabaretach, klubach emigracyjnych, hotelach turystycznych i teatrach variete.

Również rozrywka na luksusowych statkach takich armatorów jak Viking Line, Saga Fjord lub Sea Goddess jest w rękach Polaków. Np. na statku „Achille Lauro” występuje grupa „Sabat”.

KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KU

ZMARLI:

Edward Lipiński (lat 97), nestor polskich ekonomistów; przed I wojną światową studiował w Lipsku i Zurychu, w latach 1946-48 członek PPS, a później do 1975 roku PZPR, kiedy to wystąpił z partii na znak protestu przeciwko polityce ekipy Gierka, od 1976 bierze czynny udział w pracach KOR-u, autor szeregu prac z dziedziny myśli ekonomicznej.

Wacław Kisielewski (lat 43), w wyniku wypadku samochodowego pod Wyszokowem; muzyk, członek światowej sławy duetu fortepianowego „Marek i Wacek”.

Tadeusz Podgórski (lat 66), przewodniczący Centralnego Komitetu PPS i długoletni pracownik Radia Wolna Europa.

Andrzej Zięba (lat 57), wybitny matematyk, prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1975-78. Od roku 1978 na emigracji, członek Rady Naczelnej PPS.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

OŚWIADCZENIE MUDŻAHEDDINÓW AFGAŃSKICH

Ostatnie wypowiedzi Gorbaczowa dotyczące Afganistanu, a zwłaszcza zapowiedź wycofania 6 pułków wojsk sowieckich (ok. 7 tys. żołnierzy), spotkały się z różnorodnymi reakcjami. Najtrafniej oceniła ten „akt dobrej woli” jedna z ważniejszych grup oporu w Afganistanie „Jamiat-e-Islami” w swoim oficjalnym oświadczeniu. Oto fragmenty, które cytujemy za *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (2. 08.):

„Propozycja Gorbaczowa, wycofania części wojsk sowieckich z Afganistanu, jest zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Jest to przede wszystkim kolejna próba zatuszowania bezprzykładnych okrucieństw armii sowieckiej w Afganistanie. Można by było uznać za „pół biedy”, gdyby Zachód (a przede wszystkim partnerzy handlowi Związku Radzieckiego) dawał się oszukiwać rosyjskiej taktyce; jednak trzeba sobie nieustannie zadać pytanie, jak dalece stanowiska niektórych rządów zachodnich in puncto Afganistanu pokrywają się ze stanowiskiem Sowietów? Obecna strategia Gorbaczowa polega na zyskiwaniu na czasie, temu też służą propozycje w rodzaju tej, wygłoszonej we Władystoku. Gdyby Sowietom rzeczywiście zależało na wycofaniu się z Afganistanu, to nie odrzuciliby ostatniej propozycji ONZ-u i Pakistanu (4-miesięczny termin wycofania wojsk sowieckich). Sowietci,

stosując politykę spalonej ziemi, próbują stworzyć taką sytuację, która (gdyby doszło do rzeczywistego wycofania wojsk sowieckich) pozwoliłaby im występować z pozycji siły i zmuszała Mudżaheddinów do akceptacji warunków Kremla (...).

Od miesiąca prowadzona jest w Afganistanie bezlitosna wojna przeciwko Mudżaheddinom, a zwłaszcza przeciwko ludności cywilnej. Nowa dewiza brzmi: żadnej litości dla partyzantów i dla ludzi, którzy ich wspomagają. I tak zrównuje się z ziemią wioski podejrzane o współpracę z powstańcami, tych, którzy nie zginęli od bomb lub rakiet, pali się pojedynczo lub zbiorowo żywcem. W mieście Herat wysadza się w powietrze dom po domu, nie ostrzegając nawet uprzednio ich mieszkańców, a usprawiedliwia się to czynny tym, iż ludzie ci wspomagali powstańców. Wszystkie te barbarzyństwa są ostatnio przemilczane, gdyż mogłyby one zaszkodzić przyjaźni niemiecko (czytaj: zachodniorniemiecko)-sowieckiej, której ukoronowaniem była ostatnia wizyta Hansa Dietricha Genschera w Moskwie. Zachodniorniemieckie środki masowego przekazu przedstawiają sytuację w Afganistanie w taki sposób, iż odbiera się wrażenie, że to Mudżaheddini zmusili Sowietów do popełnienia ludobójstwa. Na przykład w audycji I programu telewizji niemieckiej ARD pod nazwą „Weltspiegel” nadano reportaż, w którym próbowano oczyścić Sowiety z winy

za zbrodnie popełnione w Afganistanie.

Trzeba zauważyć, że współczesna polityka światowa jest tak uzależniona od polityki gospodarczej, iż niewiele miejsca pozostaje dla jakiegokolwiek moralności politycznej; zadowalającą jest jednakże krótkowzroczność niektórych polityków zachodnich, których fantazja ogranicza się do jednego okresu – od kampanii do kampanii wyborczej. Prawdopodobnie nie są oni w stanie zrozumieć tego, co ich czeka w momencie, gdy Afganistan znajdzie się pod totalną kontrolą sowiecką – gdy Rosjanie staną się decydującym czynnikiem na Oceanie Indyjskim” (...).

PACJENT DAWYDOW

Klasyczny przypadek nadużycia psychiatrów przez służbę sowieckie doprowadził do nieoczekiwanych reperkusji na Zachodzie; zachodniorniemiecki psychiatra potwierdził bowiem diagnozę lekarzy sowieckich i uznał rosyjskiego dysydenta Wiktora Dawydowa za chorego psychicznie. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (6. 08.) opisuje historię tej zadziwiającej diagnozy:

„Jak wielu innych dysydentów sowieckich, którym zarzucano że działalność polityczną skierowaną przeciwko Związkowi Radzieckiemu, Wiktor Dawydow uznany został, przez oddział psychiatryczny moskiewskiego szpitala śledczego, za nie-

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

poczytalnego. Dawydow spędził ponad trzy lata w klinikach psychiatrycznych (od 1980 do 1983 r.) i niedługo potem wyemigrował na Zachód, gdzie wystąpił on m. in. z referatem na sympozjum zorganizowanym przez Niemiecki Związek Przewodników Nadużywanu Psychiatrii. Jasno sformułowany referat Dawydowa przekonał obecnych, iż jest on inteligentnym, logicznie myślącym i zdrowym człowiekiem. Jednakże obecny na sympozjum znany monachijski specjalista d/s psychiatrii i biochemii centralnego układu nerwowego ("FAZ nie podaje jego nazwiska") odebrał wrażenie wręcz odwrotne od innych słuchaczy. Według niego Dawydow jest „psychopatologicznie nie normalną osobowością o akcentach schizofrenicznych” i udokumentował swoje twierdzenia tym, że „Dawydow spóźnił się na sympozjum 20 minut, był szorstki i nie wyjaśnił, dlaczego przyszedł za późno”. Przedziwna diagnoza monachijskiego profesora okazała się być jak najbardziej na rękę przewodniczącemu Światowego Związku Psychiów, Stefanisowi. Uznał on, że jest to znakomity przykład, dzięki któremu podważać można zarzuty naukowców zachodnich, oskarżających lekarzy sowieckich o nadużywanie psychiatrii. Stefanis podejmuje od dłuższego czasu usilne starania, które doprowadziłyby do powrotu Sowietów do Światowego Związku Psychiów, z którego wystepiły one w roku 1983 pod naciskiem zachodnich organizacji psychiatrycznych.

Wobec tego stanu rzeczy Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne zaproponowało ponowne zbadanie Dawydowa, tym razem przez dwóch naukowców amerykańskich Grantira i Peele, których uznać by można za „obiektywnych”, gdyż nie należą do grupy lekarzy angażujących się w protesty przeciwko praktykom psychiatrii sowieckiej. Obszerny raport jaki przedłożyli Grantir i Peele po zakończeniu badań Dawydowa, wydał werdykt jednoznaczny: nie odkryliśmy niczego, co mogłoby wskazywać na jakiegokolwiek ślady schizofrenii lub zakłóceń procesu myślowego.

Monachijski naukowiec, którego opinię podważali lekarze z USA, okazał się taktowny, stwierdzając tylko, że „zapoznanie się z wynikami amerykańskich naukowców dużo mnie nauczyło”.

UCIECZKA AGENTA CIA DO ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Były współpracownik amerykańskiej służby wywiadowczej CIA Edward Lee Howard otrzymał z powodów politycznych i humanitarnych azyl w Związku Sowieckim – podaje *Tagesspiegel* (8. 08). Howard jest pierwszym od 20 lat obywatelem USA, który zbiegł na stronę sowiecką. Według informacji *Los Angeles Times* Howard pracował w latach 1981-83 dla CIA jako zawodowy oficer sztabowy; został on następnie zwolniony na skutek „nadużywania narkotyków, tudzież braku równowagi psychicznej”. Rzecznik szefa CIA, Carver określił ucieczkę byłego oficera jako „duży cios”, gdyż Howard jest pierwszym agentem o tak dużej wiedzy na temat CIA, który zmienił front.

Zdrada Howarda doprowadziła do „praktycznego zlikwidowania komórki amerykańskiej agencji wywiadowczej w Moskwie”. Między innymi doszło do wpadki najważniejszego agenta USA na terenie Związku Sowieckiego (podobno wykonano już na nim wyrok śmierci).

25 LAT MURU BERLIŃSKIEGO

Neue Zuercher Zeitung (13. 08.) zamieściła felieton o tej nieludzkiej rocznicy:

„Wiele się mówi i pisze ostatnio o haniebnym wydarzeniu z 13 sierpnia 1961 r. W rocznicę budowy muru berlińskiego wygłoszone zostały ponownie przemówienia pełne oburzenia i ostrzeżeń; a po drugiej stronie monstrualnej budowli nie zabraknie tyrańców pełnych zadufania i wiary we własną misję dziejową. Nie byłoby chyba rzeczą złą przypomnieć, wśród tylu różnych słów, które padają, zdanie pewnego człowieka, posiadającego zdolność wypowiedziania właściwych słów we właściwym momencie. Prezydent RFN Richard von Weizsäcker powiedział niedawno: „Dopóki zamknięta jest Brama Brandenburska, dopóty otwarty jest problem niemiecki”. Nie jest to zdanie wygodne, tak jak inne wypowiedzi Weizäckera dotyczące najnowszej historii Niemiec, dla wielu którzy uważają się za polityków realizmu i postępują tak, jak gdyby mur w ogóle nie istniał.

Szok, którego doznali przed 25 laty wszyscy miłujący pokój ludzie, ześlą – jest to naturalne. Nauzco-

nie żyć z potworem; jedni uczynili to zmuszeni sytuacją; inni mniej lub bardziej z własnej woli. To, co pozostało, to uczucie opamiętujące każde go, kto stał przed murem – uczucie konfrontacji z nagą rzeczywistością.

Stosując trzeźwy osąd historii stwierdzić trzeba, że mur jest ostatnią konsekwencją przegranej przez Niemców wojny. Zakrawa to na złośliwą ironię, iż 13 sierpnia 1961, dzień ostatecznego bankructwa reżimu komunistycznego, stał się jednocześnie początkiem stabilizacji niemieckiego państwa robotników i chłopów” oraz doprowadził do likwidacji neuralgicznego punktu na zachodniej granicy imperium sowieckiego. Brak interwencji ze strony mocarstw zachodnich spowodował faktyczną akceptację granic wpływów sowieckich. Patrząc z innej strony, budowa muru była potwierdzeniem polityki zachodniej Adenauera, który wykorzystał ten fakt do silniejszego związania RFN z systemem zachodnim (...).

Mur berliński jest faktem i postępować tak jak gdyby nie istniał, jest tak samo iluzoryczne, jak uznać, iż stanowi on przeszkodę nie do przebycia. Dialog i pertraktacje są niezbędne i właśnie mur ten powinien służyć jako ostrzeżenie”.

ORTEGA CHCE ZAPROSIĆ REAGANA

Amerykański tygodnik *Newsweek* (11. 08.) donosi, że przywódca sandinistowskiego reżimu Nikaragui Daniel Ortega, zamierza wystosować oficjalne zaproszenie do Ronalda Reagana, aby odwiedził jego kraj. „Jestem pewny, że Reagan nie ma pojęcia, jak naprawdę wygląda życie w Nikaragui” – powiedział Ortega w czasie swojej ostatniej wizyty w Nowym Jorku. „Jestem jednak głęboko przekonany, iż gdyby prezydent USA miał możliwość pojedynania do Nikaragui i porozmawiania z jej obywatelami z pewnością zmieniłby zdanie”. Biały Dom zdaje się nie wiedzieć o zamiarach Ortegi, mówi się wszakże, że jest jeszcze bardzo daleko od tego, aby taka propozycja mogła być w ogóle rozważana. Reagan zaś ze swej strony zastanawia się, czy Ortega doprowadziłby w czasie ewentualnej wizyty do spotkania z przywódcami oddziałów antysandinistowskich, z którymi prezydent USA – siłą rzeczy – jest bardziej zaprzyjaźniony. ■

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

- **WASZYNGTON.** (2. 07.) Izba Reprezentantów Kongresu USA zatwierdziła pomoc w wysokości 100 mln dolarów przeznaczoną dla walczących z reżymem w Nikaragui tzw. „contras”.
- **SANTIAGO DE CHILE.** (3. 07.) W dniach 2 i 3 lipca trwał w Chile strajk generalny skierowany przeciwko rządowi generała Pinocheta – podczas zająć zginął 19-letni Rodrigo Rojas; według zeznań naocznych świadków został on w bestialski sposób zamordowany (obiano go benzyną i podpalamo) przez patrol wojskowy.
- **BOGOTA.** (5. 07.) Z oficjalną pielgrzymką przebywał w Kolumbii witany przez wielotysięczne tłumy wiernych papież Jan Paweł II.
- **MANAGUA.** (5. 07.) Reżym w Nikaragui wydalili z kraju biskupa Pablo Antonio Vega, motywując swoją decyzję „współpracą duchownego katolickiego ze zbrojną opozycją”; Vega otrzymał jeszcze tego samego dnia azyl polityczny w Hondurasie.
- **BONN.** (9. 07.) Karl-Heinz Beckurts, członek zarządu koncernu Siemens zginął (wraz z kierowcą samochodu służbowego) w wyniku zamachu zorganizowanego przez terrorystów RAF (Rote Armee Fraktion – Frakcja Armii Czerwonej).
- **GENUA.** (10. 07.) Zakończył się proces przeciwko porwaczom statku wycieczkowego „Achille Lauro”; przywódca terrorystów Abbu Abbas skazany został na dożywocie (wyrok zaoczny), inne wyroki opiewały na 6 do 30 lat więzienia.
- **LONDYN.** (10. 07.) Matężństwo Reinhold i Sonia Schulz z NRD skazani zostali na 10 lat więzienia za działalność szpiegowską; w ich londyńskim mieszkaniu znaleziono oprócz dużej ilości różnego rodzaju fałszywych dokumentów również aparaty do kodowania i przekazywania informacji za granicę (przypuszczalnie do NRD).
- **MADRYT.** (14. 07.) W wyniku eksplozji samochodu-pułapki zginęło w stolicy Hiszpanii 8 członków Guardia Civil a 40 zostało rannych; sprawcami zamachu byli terroryści z baskijskiej organizacji separatystycznej ETA.
- **SZTOKHOLM.** (18. 07.) Szwedzka policja aresztowała 3 obywateli PRL, których jacht naruszył zastrzeżony akwen wód w pobliżu szwedzkiej bazy militarnej.
- **TIRANA.** (19. 07.) W ambasadzie wrocławskiej w Albanii przebywa już od grudnia 1985 roku 6-osobowe rodzinieństwo albańskie Popa; tymczasem władze albańskie próbowały bezskutecznie „zmusić głodem” (redukując przydzielane ambasadzie racje żywnościowe) ubiegając się o azyl polityczny rodzinieństwo do opuszczenia terenu przedstawicielstwa wrocławskiego.
- **HANGSDORF.** (19. 07.) Dwóm Czechom powiodła się ucieczka z kraju przy pomocy własnoręcznie skonstruowanej gondoli, zainstalowanej na linii wysokiego napięcia łączącej Czechosłowację z Austrią.
- **WIĘDZ.** (19. 07.) Według dokumentów będących w posiadaniu Żydowskiego Centrum Dokumentacyjnego w Wiedniu NRD-owski naukowiec Hermann Klenner (zajmujący obecnie stanowisko rzecznika przewodniczącego ONZ d/s praw człowieka i rzywela) był podczas II wojny światowej członkiem NSDAP.
- **BRATYSŁAWA.** (19. 07.) W tradycyjnej pielgrzymce do miejsca słowackiego kultu maryjnego w miejscowości Lewocza wzięło udział około 15 tys. wiernych; kilka dni wcześniej aresztowano „prewencyjnie” wiele osób znanych z zaangażowania na rzecz Kościoła katolickiego w Czechosłowacji.
- **BONN.** (22. 07.) NRD-owski naukowiec Herbert Meissner, którego przyłapano na kradzieży w zachodnio-

- berlińskim domu towarowym, zgłosił ochotę współpracy z zachodnim wywiadem ujawniając swoją działalność na rzecz wywiadu wschodniemieckiego i zaprzagnął otrzymać obywatelstwo RFN, następnie zaś dokonał kolejnej wolta ujadąc się do Stałego Przedstawicielstwa NRD w Bonn, skąd też po wielu perypetiach powrócił do Niemiec Wschodnich.
- **RABAT.** (24. 07.) W Maroku doszło do nieoczekiwanego spotkania pomiędzy królem tego kraju Hassanem II a premierem Izraela Szamirem Peresem; dwudniowe rozmowy nie przyniosły żadnych konkretnych wyników (komentarz Chomeiniego: „Hassanowi należy uciąć rękę, którą przywitał Peresa”).
- **KABUL.** (25. 07.) Jeden z najważniejszych dowódców afgańskich wojsk reżymowych generał Nisamuddin zmarł w wyniku ran odniesionych podczas starcia z Mudżaheddinami.
- **KARLSRUHE.** (25. 07.) Wybuch bomby zainstalowanej w samochodzie zaparkowanego przed centralą za chodniemieckiego przedsiębiorstwa lotniczego Dornier spowodował szkody w wysokości 250 tys. marek; zamach dokonała prawdopodobnie jedna z grup terrorystycznych związanych z lewicowo-radykalną RAF.
- **BEAUT.** (26. 07.) Amerykański duchowny Lawrence Jenco został zwolniony – po 19 miesiącach niewoli – przez szczyłką organizację ekstremistyczną Święta Wojna Islamska; w rękach tej organizacji znajduje się obecnie jeszcze trzech obywateli USA.
- **GDANSK.** (26. 07.) W domu parafialnym przy kościele św. Brygidy w Gdańsku Lech Wałęsa spotkał się z ambasadorem Włoch w PRL, Soltim i ambasadorem Hiszpanii, Milletierem; dwugodzinne rozmowy poświęcone były sprawom więźniów politycznych oraz problemowi utrwalenia pokoju na świecie.
- **NOWY JORK.** (28. 07.) Kolejny raport ONZ dotyczący sytuacji w Afganistanie stwierdza dobitnie, iż na narodzie afgańskim dokonywane jest systematyczne ludobójstwo.
- **WŁADYWOSTOK.** (29. 07.) Podczas wizyty w ważnej strategicznie bazie sowieckiej marynarki wojennej we Władywostoku Michaił Gorbaczow zapowiedział wycofanie 6 pułków wojsk sowieckich z Afganistanu (około 7 tys. żołnierzy); w Afganistanie stacjonuje obecnie ponad 120 tys. żołnierzy sowieckich.
- **PRAGA.** (30. 07.) Arcybiskup praski kardynał Tomasz skrytykował ostro rząd czechosłowacki; w wywiadzie udzielonym wiedeńskiemu dziennikowi *Kurier* Tomasek stwierdził m.in., iż katolicy w Czechosłowacji muszą tak jak Chrystus cierpieć za swoją wiarę; tylko 5 diecezji z 13 posiada obecnie swojego biskupa; jest to rezultatem uzurpacji rządu w Pradze prawa do zatwierdzania godności kościelnych, co prowadzi do eliminacji „niewygodnych” duchownych.
- **BERLIN WSCHODNI.** (31. 07.) Jak podało berlińskie „Biuro informacyjne Zachód”, w NRD ćwiczy się w strzelaniu już dzieci w wieku lat 12; w wielu szkołach i zakładach pracy organizowane są specjalne strzelnice dla „młodych pionierów”.
- **WASZYNGTON.** (31. 07.) 19 i 20 września ma dojść do spotkania ministrów spraw zagranicznych ZSSR i USA, Szewardnadze i Shultzta; jednym z tematów rozmowy ma być ustalenie kolejnego spotkania na szczycie pomiędzy Reaganem a Gorbaczowem.
- **MOSKWA.** (1. 08.) Redaktor sowieckiej agencji informacyjnej „Nowosti” Iłja Susłow skazany został przez sąd w Moskwie na 15 lat więzienia za „działalność szpie-

gowską" na rzec RFN; Sułtow przekazał podobno zachodniemieckiej służbie wywiadowczej BND materiały traktujące o najnowszych eksperymentach dokonywanych przez sowieckie ośrodki badań lotów kosmicznych.

● **BUDAPESZT.** (3. 08.) Po raz pierwszy w kraju socjalistycznym odbył się wyścig samochodowy tzw. formuły I. Zawody rozgrywane na torze wysigowym pod Budapesztem transmitowano m. in. bezpośrednio (też nowum) do ZSSR.

● **MOSKWA.** (3. 08.) Trwająca w Związku Sowieckim kampania antyalkoholowa, której patronuje Michaił Gorbaczow (nowe przezwisko „sekretnarz mineralny” – przyp. red.) nie traci na impetce; ceny alkoholu wzrosły o 25%, natomiast cena wody mineralnej pozostała bez zmian.

● **MOSKWA.** (30. 07.) Naczelnik inżynier czernobylskiej elektrowni atomowej Fomin został, po uprzednim zwolnieniu z zajmowanego stanowiska, wykluczony z sowieckiej partii.

● **GORKI.** (4. 08.) Jelena Bonner, żona Andrieja Sacharowa, oświadczyła, iż od chwili powrotu z podróży na Zachód do Związku Sowieckiego jest nieustraszone i w natrętny sposób śledzona przez agentów KGB.

● **PRETORIA.** (5. 08.) Rząd południowoafrykański zareagował na pierwsze sankcje ustalone podczas „szczytu” 6 państw Commonwealth w Londynie – zniosł uprzywilejowania handlowe wobec Zambii i Zimbabwue.

● **MOSKWA.** (5. 08.) Brat i matka sowieckiego dysydenta Anatola Szczarańskiego (przebywającego obecnie w Izraelu) otrzymali od władz sowieckich pozwolenia na opuszczenie ZSSR.

● **ANKARA.** (6. 08.) Sąd turecki w miejscowości Adana skazał na karę śmierci 25 walczących o autonomię w ramach państwa tureckiego powstańców kurdyjskich.

● **BERLIN WSCHODNI.** (6. 08.) Z okazji rocznicy muru berlińskiego poczta NRD-oswka wypuściła znaczek opatrzony napisem: „25 lat antyfaszystowskiego wału obronnego”; na znaczku widzimy uśmiechniętego żołnierza przepasanego kałasznikowem, do którego garnie się ufną gromadka dzieci z kwiatkami w rączkach.

● **PARYŻ.** (7. 08.) Najstarszy syn Lecha Wałęsy 16-letni Bogdan przybył do Francji w celu pogłębienia znajomości języka francuskiego.

● **KABUL.** (7. 08.) W afgańskiej prowincji Pagman, na zachód od Kabulu, rozpoczęła się nowa ofensywa wojsk sowieckich przeciwko kontrolującym te tereny Mudżaheddinom; ciężkie walki trwają.

● **WILNO.** (8. 08.) 127 księży z litewskiej diecezji Panevezys wystosowało list otwarty do Gorbaczowa, w którym protestują przeciwko przesładowaniu Kościoła katolickiego na Litwie; pismo zawiera również m. in. żądanie uwolnienia więzionych księży litewskich oraz zwrotu zarekwirowanych przez władze sowieckie kościołów (św. Kazimierza w Wilnie i Pod Wezwaniem NMP w Kłajpedzie).

● **BERLIN ZACHODNI.** (8. 08.) Fala azylantów zalewa od kilku tygodni Berlin Zachodni oraz RFN; przy wydanej „pomocy” Niemiec Wschodnich (robiących przy tym znakomity interes) przybywają do Berlina Zachodniego rzesze azylantów głównie z Iranu, Sri Lanki i Ghany (tylko w lipcu ponad 4 tys.).

● **BEJRUT.** (28-29. 07/9. 08.) Seria zamachów bombowych w stolicy Libanu spowodowała śmierć ponad 80 osób, a około 400 zostało rannych.

● **PARYŻ.** (8. 08.) Rząd francuski podjął decyzję bojkotu libijskiej ropy naftowej; dotychczasowy import Francji wyniósł 8% produkcji libijskiego przemysłu naftowego.

● **MOSKWA.** (9. 08.) Niecodzienna audycja telewizyjna w stolicy ZSSR: minister d/s przemysłu węgłowego Szczaszadow odpowiadał przed kamerami na „krytyczne i ostro” sformułowane pytania dotyczące niedociągnięć w jego resorcie – pisze *Die Welt*.

● **BONN.** (11. 08.) Dwa kolejne zamachy bombowe w RFN: w ośrodku łączności Bundeswehry pod Bonn eksplodowały trzy ładunki wybuchowe; w miejscowości Hanau eksplozja zniszczyła samochód sierżanta armii amerykańskiej.

● **BERLIN.** (13. 08.) 20 rocznicę powstania muru berlińskiego obchodzono po obu stronach „betonowej kurtyny”: w Berlinie Zachodnim podczas uroczystości upamiętniającej wydarzenia sprzed 25 lat wygłosili przemówienia kanclerz Helmut Kohl, burmistrz miasta Eberhard Diepgen oraz przywódca SPD Willy Brandt; natomiast w Berlinie Wschodnim odbyła się parada „robotniczych grup bojowych”, którą odebrał Erich Honecker.

● **MONTREAL.** (14. 08.) U wybrzeży Kanady pojawiło się w dwóch tygodniach ratunkowych 154 uciekinierów tamilskich; wszystko wskazuje na to, że uciekinierzy przezieleni zostali z terenu RFN statkiem należącym do organizacji trudniącej się „handel z żywym towarem” (podobno całe przedsięwzięcie miało kosztować 700 tys. marek).

● **CZĘSTOCHOWA.** (15. 08.) Kardynał Glomp wygłosił podczas mszy, kończącej doroczną pielgrzymkę jasno-górska, kazanie, w którym oskarżył rząd PRL o dążenie do konfrontacji w związku z wprowadzeniem do programu szkół średnich tzw. religioznawstwa.

● **ISLAMABAD.** (16. 08.) W Pakistanie, po aresztowaniu czołowych przywódców opozycji, w tym córki byłego premiera Pakistanu pani Behnazir Bhutto, doszło do zamieszek i starć zwolenników opozycji z policją; przynajmniej 20 osób zginęło a kilkaset zostało rannych.

● **WASZYNGTON.** (17. 08.) Senat Stanów Zjednoczonych uchwalił (84 głosami przeciwko 14) sankcje gospodarcze przeciwko Republice Południowej Afryki.

● **HELSINKI.** (18. 08.) W stolicy Finlandii doszło do rozmów izraelsko-sowieckich, na temat wznowienia stosunków konsularnych między oboma państwami. Obrady trwały tylko 90 minut i zakończyły się prawdopodobnie fiaskiem.

● **MOSKWA.** (18. 08.) Miachał Gorbaczow zapowiedział przedłożenie jednostronnego moratorium dotyczącego zamrożenia prób z bronią nuklearną o 5 miesięcy (do 1 stycznia 1987 r.).

● **GDANSK.** (18. 08.) Podczas mszy św. w Kościele św. Brygidy doszło do spotkania wypuszczonych niedawno z więzienia na podstawie amnestii Bogdana Lisa i Adama Michnika z Lechem Wałęsą; ponad 7 tys. osób obecnych na mszy zgromadziło działaczom opozycji gorącą owację.

Prywatne rozmyślenia

1.

Od początku byłem przekonany, że X Zjazd PZPR zakończy się wielkim sukcesem, że będzie kamieniem milowym, krokiem na drodze, że stworzy podstawy, nakreśli kierunki, wytyczy drogi i tak dalej. Nie spodziewałem się jednak, że zbiorowy wysiłek umysłowy delegatów da rezultat aż tak oszałamiający. Oto bowiem przeczytałem w komunikacie Polskiej Agencji Prasowej ze spotkania Wojciecha Jaruzelskiego z Michaiłem Gorbaczowem co następuje:

„Jaruzelski” Zwrócił uwagę na doniosły charakter X Zjazdu PZPR, który przyjmie pierwszy w historii PZPR program...”

Jest to — dla mnie przynajmniej — absolutna rewelacja. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która od kongresu zjednoczeniowego przez prawie 40 lat działała bez programu niczym jakiś klub towarzyski, wreszcie zafundowała sobie program. Lepiej późno niż wcale. Gdybym był dziennikarzem zachodniej prasy lewicowej, to napisałbym komentarz o tym, jak reformator Gorbaczow wywierał naciski na Jaruzelskiego, aby skończył wreszcie z tym beżołowiem i przyjął w końcu program. Gdybym zaś był dziennikarzem zachodniej prasy prawicowej, to sporządziłbym tekst o tym, jak patriota Jaruzelski wbrew oporom Moskwy postanowił przyjąć wreszcie jakiś program. Ponieważ jednak nie jestem ani z obozu prawicowego, ani lewicowego, tylko z najweselszego baraku obozu koncentracyjnego pozwalał sobie za uważać, że ta dość bezwstydną uwaga Jaruzelskiego, który z całym wdziękiem przyznał nagle, że partia, którą kieruje, działała dotąd bez programu jest punktem zwrotnym w dziejach obecnej ekipy. Punktem, w którym generał, ukochany przywódca narodu, sam zaczyna otaczać się kłębami kadzidlanego dymu, za którymi rozpocznie znany proces odrywania się od zdrowego trzonu klasy robotniczej i społeczeństwa. Dziś dowiadujemy się, że generał sporządził pierwszy w dziejach program, za miesiąc dowiemy się, że bez niego nie byłoby bitwy pod Grunwaldem, Kopernika i insurekcji Kościuszkowskiej, za pół roku, że historia przynza mu miejsce ważniejsze od Jagiełły, Kazimierza Wielkiego i Sobieskiego razem wziętych, a za rok czy dwa, że się oderwał, że sprzeniewierzył i że jest winny wszystkiemu. Normalna kolej rzeczy, do której już przywykłem. No, ale pierw-

szy program to też już coś, choć pierwszy oczywiście nie może być doskonały. Zachęcony reklamą przeczytałem ten pierwszy program PZPR. Niektóre zdania wydrukowano w nim tłustą czcionką, są więc zapewne najważniejsze. Zebrane razem dają następujący, skondensowany tekst:

„Musimy iść szybciej naprzód. Przyspieszanie jest historyczną koniecznością, stanowi myśl przewodnią programu partii. Konieczność przejścia od metod ekstensywnych do intensywnych jest prawdziwością obecnego etapu budowy socjalizmu. Zjazd stwierdza otwarcie: obiektywne warunki ekonomiczne nie pozwalają na szybkie rozwiązanie wszystkich palących problemów. W tym pięcioleciu doprowadzimy do dalszej poprawy zaopatrzenia rynku w żywność i artykuły przemysłowe. Konieczne jest już w obecnym pięcioleciu wprowadzenie do postępu w rozwiązywaniu problemu mieszkaniowego. Naszym zadaniem na najbliższe lata jest skuteczne ograniczenie inflacji. Przedmiotem szczególnej troski partii będzie nadal zdrowie społeczeństwa i stan środowiska naturalnego. Zjazd uważa, że polityka kształtowania dochodów pieniężnych ludności powinna wyrazić potwierdzać zasady socjalistycznej sprawiedliwości społecznej. Musimy uczynić wszystko dla unowocześnienia produkcji i poprawy jej jakości.”

Wzruszające. Szczególnie podoba mi się troska partii o zdrowie społeczeństwa. Partia będzie pytać społeczeństwo troskliwie, jak ono się czuje, a społeczeństwo będzie szczerze odpowiadać, że dobrze. Uchwała jest więc doniosła, program znakomity. Niepokoi mnie tylko jeszcze jedno wytłuszczone zdanie:

„Główną, nieprzewycięzoną jeszcze słabością, którą partia musi pokonać, jest niska sprawność realizacji uchwał i postanowień.”

Trzeba by w tej palącej sprawie podjąć chyba jakąś osobną uchwałę.

2.

Drugim obok programu doniosłym dokonaniem Zjazdu jest to, że paru moich kolegów i znajomych załapało się do najwyższych władz partyjnych. Liczę na ich protekcję, na to, że ze względu na mnie będą tak działać i postępować, abym — jako satyryk i felietonista — nie stracił

tego skromnego kawałka chleba. Trzymajcie się, chłopak!

3.

Przypomniało mi się nagle pewne bardzo dawne, a dość zabawne wydarzenie, chyba z lat sześćdziesiątych jeszcze. Jeden z polskich lekkoatletów, długodystansowiec przebywając w ZSSR z reprezentacją odłączył się od drużyny. Potem okazało się, że zgłosił się na milicję i poprosił o azyl. Odstawiono go ciupasem do Polski i tu zamknięto do czubków. Cała ta sprawa była przez dłuższy czas przedmiotem żartów i dowcipów. Przypomniało mi się to zaś w związku z pozostaniem w RFN Władysława Kozakiewicza, mistrza olimpijskiego z 1980 roku w skoku o tyczce i autora słynnego „gestu Kozaka”. Z Kozakiewicza nikt się nie śmieje, nikt nie twierdzi, że oszalał, co niewątpliwie miałyby miejsce, gdyby po tamtej Olimpiadzie pozostał w Moskwie. Wytoczono przeciw zawodnikowi najcięższe armaty moralności socjalistycznej i zwykłej. Nazwano go zdrajcą, renegatem, odszczepieńcem. Jest to oczywiście odbiciem stopnia demoralizacji w sporcie polskim i w ogóle w Polsce. Nie decyzja Kozakiewicza, ale reakcja na nią. Bo ważnym — gdyby Kozakiewicz został do RFN sprzedany, tak jak Boniek do Włoch czy Tomaszewski do Francji, gdyby pozbyto się go jak przedmiotu nieco już zużytego, zarabiając na nim jakieś choćby marne kilkadziesiąt tysięcy dolarów — byłoby Kozak wielkim patriotą, wspaniałym sportowcem. Ponieważ jednak skorzystał ze swego przyrodzonego prawa i jako człowiek wolny zdecydował, że woli mieszkać nad Renem niż nad Wisłą, bo mu tu bardziej odpowiada — ludzie, którzy uważali się przez lat kilkanaście za osobistych właścicieli Kozaka poculi się obrażeni, dotknięci, sponiewierani. Niedawno w taki sam sposób egzekwowano po gazetach prawo własności do sióstr Tłańkówek, które poniewierano za to, że osmieliły się wyjść za mąż za Francuzów. Szczytu tego zdumiewającego, pańszczyźnianego pojmovania patriotyzmu osiągnął felietonista *Prawa i Życia* Halny. Halny nie bawi się w żadne tam tanie moralizatorstwo, tylko pisze otwarcie, że Kozakiewicz dał plamę i „się skurwił”. Felietonista powołuje się przy tym na zdanie Polaków, osiedlonych w Republice Federalnej od zakończenia wojny, którzy do dziś trzęsą się ze zdenerwowania na Kozakiewicza. Prawda, jakie to ładne — Polacy osiedleni w Niemczech od 40 lat trzęsą się ze złości na Polaka, który osiedlił się tu przed chwilą, a dziennikarz pretendujący do miana intelektualisty podziela to ich oburzenie. Poznałem w Londynie paru bardzo wielkich patriotów, którzy wiali przez Zaleszczyki i teraz pra-

wem zasiedzenia bardzo się burzącą na wszystkich co świeższych emigrantów. Może *Prawo i Życie* zrobiłoby z nimi wywiad? Nawet prymas Glemp uważa, że emigracja jest rzeczą niemoralną. Pozostaje tylko iść w ślady tego długodystansowca i prosić o azyl w Moskwie. To nikogo nie oburzy, co najwyżej rozśmieszy.

4.

Gazety codzienne dochodzą do mnie z Kraju po kilku dniach. Pisma podziemne — po kilku miesiącach. Dlatego od razu dowiedziałem się o śmierci Jerzego Putramenta, a z wielkim opóźnieniem — o śmierci Anny Kamińskiej. Jest to dla mnie zdarzenie symboliczne, ta ogromna przepaść czasu, to przemilczenie śmierci poetki przez prasę oficjalną a jednocześnie rozdmuchanie śmierci działacza politycznego oddelegowanego do spraw literatury — o którym prawie dokładnie w dniu śmierci z właściwym sobie taktem i wyczuciem napisał Machejek, że ma zdeprawowaną moralność — do rozmiarów katastrofy narodowej.

Anna Kamińska była niezwykłą poetką — subtelną, wrażliwą na prawdę słowa. Przed wszystkim miała jednak tak rzadką u nas wszechstronną i rozległą znajomość europejskiej kultury i jej źródeł. Poezja jej nie była dzięki temu zaściankowa choćby nawet w najszlachetniejszym tego sformułowania znaczeniu — a w pełni europejska. Dla mnie jest Kamińska przede wszystkim Autorką małej książeczki, którą wożę ze sobą po świecie niczym Biblię i która pozwala mi w chwilach załamania odnaleźć słowa otuchy i wiary. Myślę tu o książce „Rozmowy z profesorem Daleczko”, która — dla mnie przynajmniej — jest jedną z najpiękniejszych książek napisanych po polsku po II wojnie światowej, a z pewnością najbardziej wstrząsającą opowieścią o latach okupacji, mimo że nie ma w niej krzty okrucieństwa, gwałtownych scen, opisów zbiorowych mordów. Jest to refleksja nad kulturą i jej przemianami, nad powtarzalnością czasów pogardy i wreszcie jest świadomość, gorzka ale prawdziwa, że nasza kultura ginie i ginąć będzie się zatruwac swym własnym jadem. I jeszcze jedno — w książce Anny Kamińskiej nie ma nienawiści. Nie ma żądy odwetu. Nie ma nic z biologii. Jest tylko intelektualna refleksja. Kamińska pisała:

„Kiedy jadę tu do pana profesora na swoim porzdewiałym rowerze, w deszcz i zawieruchę mijając często na szosie patrolę żandarmerii — mijając kraty obozu, za którym żywi ludzie poruszają się jakby w zwolnionym filmie, wyrzucam sobie często, że jadę jakby pod prąd czasu. Niekiedy wydaje mi się, że kując zasady gramatyki greckiej i słówka łacińskie spóźniam się straszliwie w sto-

strów należało do NSDAP, ilu nazistów piastuje dziś jeszcze mandaty do Izby Ludowej, nie mówiąc już o tym, ilu ich było w roku 1958. Nie są to dane niedostępne, jeśli nawet są w Warszawie tajne. Słępotą na jedno oko, gdy ma się drugie bardzo wybałuszone utrudnia na ogół orientację. Poza tym w książce wypowiadają się na tematy niemieckie ci co zwykle; rycerze pomsty dziejowej i tropiciele germańskiego ducha w zmęczonych i oklapłych niemieckich burżujach – Męclewski, Podkowiński i Wojna. Jeśli tak ma wyglądać dialog, to lepiej dać sobie spokój. W tym dialogu zabrał też głos Kazimierz Kąkol, wydając oświadczenie z okazji apelu kanclerza Kohla o uwolnienie

starca ze Spandau, Rudolfa Hessa. Oświadczenie kończy się słowami "...każdy uczciwy człowiek musi powiedzieć – nie." Zgadzam się z tym w zupełności. Każdy uczciwy musi, a Kąkol nie musi i powiedział swoje „nie” zupełnie niepotrzebnie.

10.

Z zapowiedzianych nam siedmiu lat chudych, ale rozmianych mamy za sobą już prawie pięć. Słaba to pociecha, ale czy wszyscy woleliby lata tłuste, choć blade? ■

Janusz Rudnicki

Witaj szkoło!

Nauczyciel, który odbębniał lekcje wychowania obywatelskiego patrzył najczęściej w podłogę. Głosem nieco zawstydzonym informował nas, że żyjemy w najlepszym ze światów. My patrzyliśmy w sufit i z nudosy nie chciało się nam nawet śmiać. Nasz półsen kojony brzęczeniem much i monotonnym głosem nauczyciela przerywany był dzwonkiem. To była szkoła średnia kilkanaście lat temu.

Na lekcjach historii quiz dat, kto trafiał – zdawał. Wiedzieliśmy, iż to funta kłaków warte, ale kto z nas pomyślałby wtedy, że okres międzywojenny na przykład zohydżono nam świadomie, tłukąc na każdej stronie podręcznika długie i nic nie mówiące nam nazwy kolejno powstających partii?

Szkoła była wtedy na tyle ważna, że trzeba było ją skończyć. Ważna, bo bez niej nie można było dostać się na studia, studia ważne na tyle, że trzeba było je skończyć również, a potem się zobaczyć. Połykaliśmy posłusznie najbardziej niedorzeczne bzdury, którymi nas obficie karmiono i kleпалиśmy lub recytowaliśmy bezmyślnie to, czego od nas żądano. Nie dlatego oczywiście, że byliśmy aż tak subordynowani. Po prostu szkoła i wszystko to, czego w niej uczono nie miała dla nas żadnego znaczenia, szkołę tę utożsamialiśmy z jakimiś nadrzędnymi wartościami, to była konieczność. Trzeba było ją zaliczyć, odbębnić, tak jak wizytę w gabinecie dentyścycznym.

O niedawnym Grudniu nikt nie próbował z nami rozmawiać, ale i nas wcale to nie obchodziło.

Szkoła była dla nas czczą formalnością, podobnie jak czczy i formalny charakter miały takie słowa jak ojczyzna i patriotyzm. Istniały one jedynie na lekcjach polskiego, historii i zawsze takich samych akademiach. Poza nimi nikt z nas tych słów nie używał, nikogo one nie obchodziły.

Szkoła trwała tyle, ile trwały lekcje, komu przyszłoby do głowy o coś w niej walczyć. Chodziło o to, żeby każdego dnia wytrwać do ostatniego dzwonka, podnieść się z ławek i odejść. Tak, jak na końcu zmiany od taśmy odchodzą robotnicy. Poza nią istniał nasz świat. Był to świat marzeń o wytartych dżinsach, światłach dyskoteki i płytach Jimi Hendrixa.

* * *

Na przerwach paliliśmy papierosy, goniliśmy się z wóżym i porównywaliśmy między sobą długość chowanych za kołnierzami włosów. Czasami spędzali nas na apele. Staliśmy w przepęlnym korytarzu i cieszyliśmy się, że „schodzi” lekcja. Korytarz nie zmienił się do dziś, tylko on pozostał taki sam. Poza nim zmieniło się wszystko. Ale nawet na tym najbardziej niewzruszonym korytarzu raz w roku na czwartej przerwie zwyczajny gwar urywa się nagle. Trzynastego grudnia.

Parę lat starczyło, aby woźny zamiast papierosów szukał ulotek, nauczyciele karali nie za włosy, a za udział w demonstracjach, a dyrektor tłumaczył się przed swoją władzą nie z braku upolitycznienia młodzieży, a z faktu, że w jego właśnie szkole istnieje grupka, która wydaje podziemne pismo. Szkoła taka sama jak kiedyś, ten sam korytarz, te same ściany i ławki. W nich jednak siedzi już zupełnie ktoś inny, ktoś, o kim nikomu się przed laty nie śniło.

* * *

Tygodnik Mazowsze, rozmowa z członkami wrocławskiego Międzyszkolnego Komitetu Oporu; Nie piszecie nic o muzyce, o sporcie... I odpowiedź: Nie doszły do nas postulaty, żeby się tym zajmowało podziemie. Jest za to pomysł rozegrania meczu piłkarskiego między organizacjami podziemnymi.

Obiema rękami za głowę można się złapać lub po prostu roześmiać tak jak wtedy, kiedy słyszemy coś niewiarygodnego, coś co przerasta nasze oczekiwania. Mecz piłkarski między organizacjami podziemnymi – to po prostu szokujące i tak nieprawdopodobne, że każdy, kto pamięta szkołę średnią przed Sierpniem musi z niedowierzaniem przetrzeć oczy!

* * *

W tamtej, naszej szkole, z rąk do rąk chodząły stare, wyniszczone numery *Brava*, dzisiaj chodzi *Szkoła Podziemna*, *Uczeń Polski*, *Impuls*, *ABC Młodych*, *Szaniec*, *Wyrostek*. W *Bravie* rozpoznawaliśmy swoich idoli, do których modliliśmy się raz na tydzień podczas radiowej listy przebojów, dzisiaj ten sam program „Trójki” potrafi przerwać audycja tego samego, Międzyszkolnego Komitetu Oporu nadana przy pomocy „Solidarności Walczącej” (marzec '86).

Nie zamierzam wpadać w euforię, dąć w trąbę ślepego entuzjazmu. Wszystkie akcje przeprowadzane dziś w szkołach średnich oraz fakt ukazywania się tak wielu pisemek to dzieło garstki oczywiście, ale czy przeważnie nie dzieje się tak, że większość jest milcząca? I czy ta milcząca większość tej garstki nie honoruje? I jeszcze, czy garstka ta nie ma większego na nią wpływu, niż mówiący dzisiaj do ścian nauczyciele?

* * *

Kiedyś białą koszulkę farbowano się na czarno, obwiązawszy uprzednio sznurkiem pewne miejsca, co później dawało określony efekt w postaci rozmazanych cieni, dzisiaj wycinamy szablon

z kartonu w postaci napisu „Rejtan” wykonanego na wzór graficznego znaku „Solidarności” i z pomocą tego szablonu malujemy koszulkę farbą „Wibra”, łatwą do dostania w sklepach. Tak przynajmniej radził *Uczeń Polski*, kiedy w osiemdziesiątym trzecim roku Liceum im. Rejtana obchodziło swoje święto.

* * *

Granice naszej świadomości wytyczano nam paroma betonowymi datami: rozbiory, napaść Niemiec na Polskę, wcześniej Rewolucja Październikowa i od końca wojny wielki nieustający pochód pierwszomajowy, do dziś. Teraz sympatycy tego samego *Ucznia*, któremu, jak głosi motto – „Milsza niebezpieczna wolność niż bezpieczna niewola”, analizują tekst przeprowadzający analogię między likwidacją niezależnego ruchu chłopskiego przez komunistów w latach powojennych, a likwidacją „Solidarności”. Wrocławski *Wyrostek* w rubryce „Na lekcje historii” przypomina prosiwieckie hasła SDKPiL, PPS-Lewicy i KPRP z roku osiemnastego i dziewiętnastego, a w innym numerze Rewolucję Październikową nazywa kontrewolucją w stosunku do rewolucji lutowej, której przyczyną upadku podaje za Besanconem! *Szkoła Podziemna* pisząc o odzyskaniu niepodległości wskazuje naprzód na pokój w Brześciu, potem na „gest” Lenina i, jakby było mało, ktoś podpisujący się (AYA) radzi swoim rówieśnikom, aby na feriach, nie tracąc czasu, odwiedzali miejsca pamięci, o których komuniści starają się zapomnieć. Chyba, że ktoś zostaje w domu, wtedy czytać powinien niezależne wydawnictwa.

* * *

Gafczyński, Tuwim, Jasnorzewska – to była dla nas poezja. Niektórzy znają Wojaczka. Oni drukują teraz Herbstą, pieśni internowanych i często relacje z przesłuchań takiej na przykład treści: *...Rozkazał mi klęknąć przed sobą i złożyć ręce modlić się. A gdy nie chciałem tego uczynić, pobił mnie pięścią i pałką... Dwaj inni obecni w pokoju tajniczy przyglądali się bez słowa protestu... (Wyrostek, grudzień '85).*

„Pani pachnie jak tuberozy...” recytowaliśmy uniesieni i zaraz ściągani na ziemię lekcją przysposobienia obronnego. Dzisiaj uczą zachowania się nawet paraliterackie miniaturki: *Długa rozmowa*. Pytanie – 166. Pytanie – odmawiam. Dwie godziny takiej zabawy. Miło. Protokół był króciutki. Prokurator była miłą osobą. Żegnata go z życzliwym uśmiechem. Już przy wyjściu powiedziała miękko. – No to już poza protokołem, panie Wojtku, tak całkiem prywatnie, dla mojej ciekawości, niech pan powie, jak to było.

- Prywatnie?
- Całkowicie!
- I nie zrobi pani z tego użytku?
- Najmniejszego!
- To powiem: na mocy artykułu 166 kpł odmawiam zeznań. (Impuls, 1985).

* * *

Piszę o nich dzisiaj mając cały czas na myśli nas wtedy, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Na nas czas przyszedł o wiele później, stąd może po sierpniu tyle w nas było furii. Ale zanim ten czas przyszedł, tkwiliśmy w takiej bezmyślności, w tak rozbrajającej niewiedzy i beczynności, że dzisiaj, kiedy czytam, iż największym dla nich zbawieniem byłby powielacz białykowy zachodzący w głowę, czy to rzeczywiście te same roczniki, dla których kiedyś szczytem marzeń było dostać się na koncert węgierskiej grupy rockowej „Omega”! Mogą się razem ze mną zawstydić wszyscy ci, którzy do szkoły średniej chodzili z górą dziesięć lat temu, kiedy biuletyn *Impuls* drukując Młodzieżową Deklarację Solidarności pisze: *Pragniemy rozpowszechnić naszą batalię o świadomości młodzieży. Jej podstawą może być samokształcenie i oświata niezależna zorientowana na ukształtowanie świadomości, iż system ten należy radykalnie zmienić. Nie akceptujemy modelu życia nastawionego na konsumpcję i trzymającego się zasady „i tak się nic nie da zmienić”, i w ten sposób obojętne na złoto. Każdy, kto pragnie narzucić nam swoją dominację siłą i przemocą natrafi na nasz opór.*

* * *

Wszystkie wymienione wyżej tytuły, z których część być może już nie istnieje, a być może pojawiły się inne, wszystkie one pobierane razem i potraktowane jako całość dają obraz szkoły średniej w Polsce, w połowie lat osiemdziesiątych. Obraz, powiedzmy od razu, plakatuowy nieco, ale gdyby nawet rozrzedzić go farbą owej „milczącej większości”, to i tak twórcy hasła — „Szkoła uczy, bawi, wychowuje” swoją „batalię o młodzież” schować mogą spokojnie do lamusa, jeśli im tam w ogóle coś jeszcze się zmieści.

Policijni nauczyciele, mianowani dyrektorzy, psy tej uczniowskiej wojny wcale nie czują, że przyszukując teczki swoich „wychowanków” i denuncjując ich Służbie Bezpieczeństwa, walą głową o mur. Nie czują, bo głowy mają z betonu zapewne, za to ręce im muszą opadać do ziemi, kiedy w znajdujących gazetkach, w rubryce „Dziękujemy” czytają: *Kazikowi za farbę, „Ogniwu” za materiały przedwyborcze, „MC” za papier, VII LO za*

zdjęcia, Agnieszce za tysiąc złotych, Adamowi za tysiąc, II LO za osiemset na pomoc dla zatrzymanych, MKS-owi Nowa Huta za biuletyny, TKK „S” za 1008 znaczków z Wałęsą...

Muszą im ręce opadać, kiedy po tylu latach wdrażania i wychowywania, wychowywania fizycznego, wychowywania technicznego, wychowywania plastycznego, wychowywania muzycznego, wychowywania w rodzinie socjalistycznej, wychowywania obywatelskiego, kiedy po tylu latach tej żałosnej w sumie indoktrynacji zebrać mogą w jednym tylko numerze wrocławskiej *Szkoły Podziemnej* cały plon swojej wytężonej pracy. Plon ten to relacje z kilkunastu szkół średnich samego tylko Wrocławia z przebiegu „cichej przerwy” w grudniu 1985 roku. Tutaj możemy się z nimi zgodzić, młodzież to rzeczywiście przyszość narodu:

...Na czwartej przerwie panowała grobowa cisza. Czasami ktoś się wyrwał, ale w odpowiedni sposób był uspokajany. Nie jesteśmy i nie będziemy bierni na sprawy Polski! Akceptujemy propozycję gen. Jaruzelskiego, że nie wolno nie dostrzec nam, że znów odzywają się sztycherze opinii o „Polsce co nierządem stoi”. („Dyszka”)

Trzynastego szkołę obiegła wiadomość, że znajduje się w niej SB. W tym wypadku postanowiono, że ta rocznica będzie obchodzona bez zniczy i tak też się stało. Na czwartej przerwie panowała w szkole grobowa cisza, która zdenerwowała panów z SB. Dlatego skrócono przerwę z 5 do 3,5 minut. („Adalbert”)

Cicha przerwa wypadła gorzej niż w zeszłym roku. Zachowanie niektórych uczniów było bardzo przykre (np. część dziewczyn z drugiej D żartowała głośno). Należy zwrócić uwagę na zachowanie klas pierwszych, które zachowały się godnie w dniu rocznicy! (Uczniowie z II LO)

Czwarta cicha przerwa w VIII niczym nie różniła się od innych przerw. Wstyd! Ludzie, czy naprawdę tak bardzo boicie się represji? A może, co gorsza, jesteście już wyjątkowieni moralnie i zaszczepiono wam bakcyl sowietyzacji? („Paryżanka”)

Ogółem ciszę podczas przerwy zachowywała znaczna część młodzieży i protest można uznać za najbardziej udany od trzech lat. Na półpiętrze stały przez chwilę znicze i leżały kwiaty. („Puchatek”)

* * *

Na półpiętrze stały przez chwilę znicze i leżały kwiaty. Widocznie musiał sprzątnąć je nauczyciel. Uczniowie walczą więc z nauczycielami, tj. z urzędnikami szkolnymi, bo nauczyciele stoją przeciwko stronie uczniów.

My też walczyliśmy, chodziło jednak w tej walce o coś zupełnie innego. Chodziło o obyczaj, walczyliśmy o prawo do własnego wyglądu, do innych spodni, sukienek, do włosów, walczyliśmy z uniformizacją szkoły, jej koszarowym wymiarem. W uporze naszym chodziło o formę szkoły, nie o jej istotę, chociaż prędzej czy później to pierwsze pociągnęłoby za sobą drugie. Wtedy jednak chodziło nam o jej zewnętrzną powłokę, dzisiaj wojna, którą uczniowie wydali szkole to wojna merytoryczna, wojna o szkołę samą. My chcieliśmy po prostu być w szkole takimi, jakimi być chcieliśmy, dzisiaj oni walczą o to, aby szkoła była taka sama jak oni.

Najbardziej zadziwiająca jest ta konstatacja prostego faktu, że uczniowie walczą o swoją, wybudowaną dla nich szkołę, i walczą o nią z kim? Z tymi, którzy postawieni tam zostali właśnie dla nich, z nauczycielami, żeby zostać już przy tej nazwie. To paradoks na pozór, ale już ta młodzież widzi przecież, że tak samo walczą o prawo do własnego w końcu zakładu pracy pracujący w nim ludzie, i że cały ten wariacki układ, w którym walczyć trzeba, pokoleniami już, o coś swojego, coś własnego, o coś co z gruntu przynależy, a siłą zostało zabrane, że cały ten chełpiący się zawsze system, który walkę o zarobowane przez niego prawa nazywa kontrewolucją, że to właśnie nacjonalizm. I co w nim najbardziej nas wszystkich poniżające to fakt, że wciąż trzeba walczyć o swoje, a raczej już nie tyle nawet o swoje, ale o prawo do swojego, przynajmniej o to prawo. Tak właśnie jak walczy się o prawo do prawdy, już nawet nie o nią samą.

* * *

Młodociągnięci autorzy, kolporterzy i czytelnicy uczniowskich gazetek biją się o szkołę. Z urzędnikami od historii, polskiego, wychowania, z dyrektorami szkół i ich zastępcami. I, niech zabrzmi to tak patetycznie jak chce, biją się o patriotyzm, to znaczy o przynajmniej do tego patriotyzmu prawa:

Trzynastego grudnia nadszedł dzień próby dla naszej solidarności. Niestety, nie wypadła ona najlepiej. Niewątpliwie przyczynił się do tego nauczyciel z warsztatów, p. Schuiz - człowiek od dawna przeciwdziałający wszelkim przejawom patriotyzmu w naszej szkole. Na 4-tej przerwie ganił jak „szkał” i niszczył wszelkie symbole - świeczki, znicze, plakaty naszej solidarności (Zespół Szkół Ekonom. Wrocław)

...Po modlitwie cała grupa stała w milczeniu chcąc uczcić smutną rocznicę przypadającą tego dnia. Do akcji przystąpiła dyrektor Josiak, która powiedziała: „Moja tolerancja dotyczy tylko wa-

szej modlitwy!” Dlaczego cisza tak bardzo wam przeszkadza? Może czucie wtedy, że robicie coś złego? W ciszy sumienie odzywa się dwa razy głośniejsze. Uczciwi ciszy się nie boją. (V LO, „Maj”)

Przez dwadzieścia minut trwało głucho milczenie na terenie szkoły, a gdy zadzwonił dzwonek kończący 4-tą przerwę przez szkołę przeleciał radosny szum okłasków i głosów. Wobec takiego obrotu sprawy dyr. Kudzbalska wykrzyknęła: „Jeszcze wy mnie popamiętacie!” (II LO)

Klasy trzeciej i czwartej po trzeciej lekcji wysłano do kina. Można przypuszczać, że dyrekcja decyzję tę podjęła dlatego, iż obawiała się rocznicy obchodów Grudnia. Klasy I i II wykazały jednak, że młodzieży nie da się zastraszyć. Na 4-tej przerwie panowała cisza. W czasie tym można było zauważyć naturalnie, głośnie zachowanie partyjnego personelu i nielicznej grupy działaczy ZSMP. (I LO)

W piątek liceum solidarnie zamilkło na czwartej przerwie doprowadzając tym dyrekcję do paniki. Uczniowie próbowali uciszyć klasy ze szkoły podstawowej, mieszczącej się w jednym budynku, co jednak okazało się niemożliwe, m. in. na skutek kontrakcji dyrekcji. W sprawie obchodów 13 Grudnia było przesłuchiwanym kilku uczniów przez dyrekcję. Powodem tego był ich czarny ubiór. (XI LO)

Od rana krążyą po szkole patrole czerwonych nauczycieli. Dyrektor oraz jego pomocnik zaglądali nawet do teczek niektórych uczniów (...). Mimo to udaje się w szatni budynku B zapalić znicze pod plakatem z nazwiskami ofiar stanu wojennego. (SKO przy ZSME)

* * *

Nauczyciel przestaje być belfrem. Słowo to stanowiło wspólny dla wszystkich nauczycieli mianownik; liczniki zaś zmieniały się w zależności od pojedynczego przypadku. Mógł to być belfer-„cham”, belfer-„idiota”, lub belfer, ale swój „chłop”. Rozmawiając o nauczycielach używaliśmy też często ich nazwisk, lub mówiliśmy po prostu; „hystoryk”, „biologiczka”. Cała ta dość uboga przecież kwalifikacja wydaje się w porównaniu do dzisiejszej misterna. Dzisiaj, mająca wymiar polityczny, nie obyczajowy, zasada się na prostym podziale; albo nauczyciel jest „czerwony”, albo nie.

* * *

Krakowski ABC Młodych pisze w swoim nagłówku: Pokolenie lat pięćdziesiątych zrobiło Sierpień '80, poległym robotnikom Poznania i Wybrzeża postawiło pomniki-krzyże na znak, że zginęli nie na darmo!

Nam, pokoleniu lat sześćdziesiątych przypada w udziale walka o nowy Sierpień i Polskę niepodległą. To właśnie ja, ty, my jesteśmy do tego moralnie zobowiązani i nam przyjdzie postawić - oby już ostatni - krzyż-pomnik poległym górnikom „Wujka”, „Manifestu Lipcowego”, Lubina, braciom z Wrocławia, Gdańska, Warszawy, Nowej Huty, wszystkim ofiarom stanu wojennego. Na znak - że nie na darmo!

Pokolenie lat siedemdziesiątych ma jeszcze czas. Na razie uczy się czytanek i rymowanych wierszyków. Jeszcze dobre parę razy pojedzie na wakacje, zanim przeschukają mu teczkę. Póki co, na dzieci z drugiej klasy spogląda z jednej ze stron podręcznika dwóch roześnianych, obejmujących się chłopców. Jeden ma białą koszulę i czerwoną chustę. A nad nimi wierszyk:

*W Warszawie mieszka Janek,
Zosia we wsi Dąbrowie,*

*Tadek aż w Zakopanem,
a Kasia w Częstochowie.*

*Wania - to chłopiec z Moskwy,
Wania, po polsku Janek.
Sonia ze wsi Bieriozki -
to Zosia, imię znane.*

*Radzieckie i polskie dzieci
te same imiona mają.
Jedno słońce im świeci,
a przyjaźń łączy ich kraje.*

(Wyd. Szkolne i Pedagog. W-wa 1982)

Wierszyków w szkole trzeba uczyć się na pamięć. Najczęściej powtarzając wyrazy za panią, głośno, wyraźnie i chórem. Tak długo, aż pewnego dnia chór ten przetnie cisza. Na którejś z czwartych przerw.

Anatol Wiśniewski

Przypisani do pracy

Projekt nowego kodeksu pracy

Przygotowania do nowelizacji kodeksu pracy w Polsce trwają od dawna i - jak to określa oficjalna prasa - przebiegają etapami. Pierwszą istotną zmianą wprowadzoną w 1985 roku była likwidacja komisji rozjemczych i terenowych komisji odwoławczych, zajmujących się - jako pierwsza instancja - sporami wynikłymi na tle stosunku pracy, zarówno w trybie zwykłym, jak i dyscyplinarnym. Od blisko roku sprawy te podlegają jurysdykcji sądów pracy, co w zasadzie uznać można za zmianę korzystną. Z ankiet przeprowadzonych w Krakowie przed 10 laty wynikało, iż ze wszystkich instytucji rozstrzygających spory, największym zaufaniem społecznym cieszą się sądy. W ostatnich latach jednak sytuacja uległa dość zasadniczej zmianie, zaś sądy utraciły wiele ze swego autorytetu. Zmieniło się także orzecznictwo sądów pracy, które niestety rzadziej niż dawniej, wyrokują na korzyść pracowników. Nie oznacza to oczywiście, że każda sprawa wniesiona do sądu pracy jest z góry przegrana, to o czym piszę dotyczy raczej ogólnej tendencji.

Istotne cele przyświecające nowelizacji prawa pracy są jednak bardziej dalekosiężne niż rozwią-

zanie problemu jakie organa zajmować się mają jurysdykcją w tej dziedzinie. Koncentrują się one przede wszystkim na narzuceniu pracującym większej dyscypliny oraz mocniejszym niż dotąd związaniu ich z zakładami macierzystymi przez ograniczenie możliwości zmiany pracy. Koncepcje te znajdują wyraźne odbicie w projekcie nowelizacji, jaki niedawno wyostał się z gmachu Ministerstwa Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych, i zaczął krążyć po Warszawie. Mówi się, że ma on w najbliższym czasie być wniesiony do Sejmu. Projekt zmierzający - wedle zapowiedzi władz - do udoskonalenia obowiązującego prawa pracy; a mianowicie do przystosowania go do reformy gospodarczej i zadań nowych związków, w rzeczywistości niesie z sobą głównie ograniczenia praw pracowniczych. Nowe przepisy służyć mają przede wszystkim ujęciu pracujących w mocne cugle i zwiększeniu ich dotychczasowej zależności od pracodawców.

Płynność kadr w gospodarce uspołecznionej stała się od dawna żelaznym tematem oficjalnej prasy. Środki masowego przekazu przynoszą wręcz alarmujące wieści na ten temat. Jak z nich

wynika, co roku setki tysięcy zatrudnionych zmieniają lub porzucają pracę, co ujemnie rzutuje na wyniki gospodarki narodowej. W rzeczywistości dane te są mocno przesadzone. Przechodzenie z jednego miejsca pracy do innego, które ktoś uważa za odpowiedniejsze dla siebie, jest w końcu zjawiskiem normalnym. Porzuceń pracy w dosłownym znaczeniu tego słowa jest również znacznie mniej, niż to podają statystyki, co wynika z badań przeprowadzonych w swoim czasie przez Instytut Prawa Pracy w Warszawie. Wielu pracowników porzuca bowiem pracę z winy pracodawcy, nie mogąc doprosić się o przeniesienie na stanowisko nieszkodliwe dla zdrowia (a byli np. chorzy), czy też spełnić nierealnych żądań swych szefów. Byłem kiedyś obecny na procesie kierowcy, którego usunięto z pracy bez wypowiedzenia, ponieważ po powrocie z podróży służbowej trwającej ponad 20 godzin odmówił ponownego natychmiastowego wyjazdu, utrzymując, iż nie jest zdolny do prowadzenia samochodu i poszedł do domu się wyspać, co jego zwierzchnik uznał za porzucenie pracy. Niekiedy za porzucających pracę uznani zostają

ludzie, którzy nie z własnej winy nie zawiadomili w porę o wypadku losowym lub chorobie. Jeśli nawet z czasem sprawa się wyjaśnia, nie wprowadza się korekt do statystyki. Tak np. za osobę, która porzuciła pracę lub gorzej jeszcze – wybrała wolność, uznana została asystentka jednej z polskich uczelni, która podczas pobytu za granicą ciężko zachorowała i poddana została operacji. Po powrocie do kraju walczyła długo o przywrócenie do pracy, której nigdy nie zamierzała porzucić i wiele wody upłynęło w Wiśle, zanim udało się jej uzyskać pomyślny wyrok sądu. Za porzucającego pracę uznano też pewnego robotnika budowlanego, który odmówił wykonania polecenia w warunkach niebezpiecznych, przedsiębiorstwo budowlane bowiem w pogoni za wykonaniem planu zlekceważył przepisy bhp.

Porzucenie pracy pod rządami obecnego kodeksu powoduje określone skutki dla pracownika. Traktowany jest on na równi z tym, który ciężko naruszył obowiązki pracownicze, np. pił wódkę w miejscu pracy. Oznacza to, że zawarta z nim umowa o pracę zostaje zerwana bez wypowiedze-



nia, czyli inaczej w trybie dyscyplinarnym. Porzucający pracę nie może awansować w nowym miejscu pracy, zaś zarobki jego ulegają obniżeniu. W okresie ostatnich dwóch lat pojawiły się nowe, inne jeszcze restrykcje. Niektóre zakłady pracy nie angażują osób, które porzuciły pracę, o czym można się dowiedzieć z prasowych anonsów o poszukiwaniu pracowników. Część ludzi będących w takiej właśnie sytuacji szuka zatrudnienia w sektorze prywatnym, gdzie sprawa ta nikogo nie interesuje, inni napotykają na poważne niekiedy trudności w znalezieniu nowej pracy.

Projektowane zmiany w nowym kodeksie pracy mają zadać tej kategorii osób nowy cios, a mianowicie będą oni zmuszeni do płacenia odszkodowania przedsiębiorstwu, które porzucili. Odszkodowania mają być wypłacane jednorazowo, w kwocie sięgającej wysokości trzymiesięcznych zarobków pracownika. Aby dochodzić swych roszczeń przedsiębiorstwo nie będzie musiało nawet występować na drogę sądową. Wystarczy, że wyśle na adres byłego pracownika nakaz płatniczy, który musi być uregulowany w ciągu 14 dni. W przeciwnym razie pracownikowi grozić będzie egzekucja administracyjna, nakaz opatrzone zostanie bowiem klauzulą wykonalności. Jeśli pracownik uzna, że odszkodowanie się nie należy, gdyż pracy nie porzucił, musi sam wystąpić na drogę sądową przeciwko przedsiębiorstwu. W wypadku takim sąd może, aczkolwiek nie musi, zawiesić egzekucję do czasu rozstrzygnięcia sporu. Tak czy inaczej ciężar prowadzenia procesu i przedstawienia dowodów przerwany zostanie w ten sposób na barki pracownika, co stawia pracodawcę w wygodnej sytuacji. Zapewne groźba płacenia odszkodowań wpłynie hamująco na osoby porzucające pracę, nawet na te, które decydują się na to z konieczności i bez własnej winy, jak wspomniany przed chwilą kierownik czy pracownik budowlany. Wypłacenie przedsiębiorstwu tak znacznej sumy odbić się bowiem musi niekorzystnie na sytuacji finansowej całej rodziny.

Ustawodawca затroszczył się również o to, by pracodawcy wiedzeni np. współczuciem, nie zaniebdywali wysyłania nakazów płatniczych i egzekwowania pieniędzy. Zaniebdanie dochodzenia odszkodowania traktowane jest jako wykroczenie, za które kierownikowi przedsiębiorstwa grozi grzywna do 50 tys. zł, którą będzie musiał zapłacić z własnej kieszeni.

Obwarowanie porzuceń pracy surową karą, jaką będzie w istocie konieczność zapłacenia odszkodowania, nie jest jedynym zabiegiem prawnym mającym na celu związanie pracownika z przedsiębiorstwem. Projekt przewiduje też szereg utrudnień przy rozwiązaniu umowy o pracę w trybie zwykłym, z inicjatywy pracownika. Pierwszym

z nich jest wprowadzenie ograniczeń przy przejściu z jednego zakładu pracy do drugiego za tzw. porozumieniem stron. Formę tę najdogodniejszą dla pracownika stosowano szczególnie często przed wprowadzeniem stanu wojennego, korzysta się z niej zresztą do dziś, choć w sposób bardziej ograniczony. Pracownik zmieniając pracę za porozumieniem stron zachowuje ciągłość pracy i wszystkie związane z nią przywileje; a więc nie traci urlopu wypoczynkowego za rok kalendarzowy, jak to się dzieje w wypadku wypowiedzenia przez niego stosunku pracy, ani stażu pracy. Przy przejściu za porozumieniem stron nie obowiązują również terminy wypowiedzeń i pracę można zmienić szybciej, niekiedy nawet natychmiast, jeśli pracownik wyrazi na to zgodę. Projekt wprowadza tu niekorzystną zmianę. Na podstawie przyszłych przepisów przejście z zakładu do zakładu za porozumieniem stron stanie się możliwe jedynie wówczas, gdy będzie leżało w interesie przedsiębiorstwa, lub gdy spowodują je ważne dla pracownika względy życiowe. Projekt nie konkretyzuje jednak pojęcia „ważnych względów”, którego treść wypełnić ma praktyka. Można się jednak domyślać, że będą to wypadki, takie jak np. zawarcie małżeństwa z osobą zamieszkałą w innej miejscowości, szansa otrzymania mieszkania w innym mieście itp. Pracownik, którego szef nie zgodzi się na odejście za porozumieniem stron będzie mógł wypowiedzieć pracę i odejść w przewidzianym terminie (zazwyczaj po 3 miesiącach), ponieważ jednak związane z tym koszty. Obok urlopu w roku zmiany pracy, straci prawo do wliczenia przepracowanych lat do okresu, od którego wypłacane są dodatki stażowe, a także do nagród jubileuszowych w przyszłości. Zarówno dodatki stażowe jak i nagrody jubileuszowe (za 20 czy 30 lat pracy) będą bowiem wypłacane jedynie za nieprzerwaną pracę w jednym przedsiębiorstwie. Biorąc pod uwagę, że dodatki stażowe (uwzględniane potem przy obliczaniu emerytury) w niektórych zawodach stanowią istotny element uposażenia, nietrudno zrozumieć, że decyzja o zmianie pracy stanie się niełatwa i brzemienna w skutki. Wreszcie projekt przewiduje jedno jeszcze dotkliwe ograniczenie swobody pracownika, które bardziej uzależnia go od pracodawcy, choć nie wiąże się bezpośrednio ze zmianą pracy. Podjęcie jakichkolwiek zajęć dodatkowych (oczywiście w czasie wolnym) wymagać będzie zgody macierzystego zakładu pracy. W jakich wypadkach i komu zezwolenia takie będą wydawane, ustawa milczy. A przecież w Polsce rzadko kto może utrzymać rodzinę z jednej, czy nawet dwóch pensji. Dorabianie jest zjawiskiem powszechnym i ograniczenie możliwości w tej dziedzinie pogorszy sytuację materialną wielu rodzin.

Utрудnianie pracownikowi zmiany posady ma mocniej związać go z zakładem pracy i skłonić do starań o zaspokojenie swych ambicji zawodowych bądź materialnych przez lepszą i wydajniejszą pracę w tym samym przedsiębiorstwie. Rachuby, jakimi kierowali się twórcy projektu wydają się jednak zawadne. Swoboda w wyborze i zmianie miejsca pracy stanowi wszak jeden z czynników postępu, zachęcających ludzi do podnoszenia kwalifikacji zawodowych i pięcia się po szczeblach kariery w dobrym znaczeniu tego słowa. Odcięcie bądź ograniczenie takich możliwości powodować może tylko frustracje, odbijające się ujemnie na wykonywanej pracy i jej efektach.

Ciekawe, że projekt zmierzający w praktyce do „przypisania” pracownika do zakładu pracy, równocześnie zwiększa swobodę pracodawców w pozbywaniu się ludzi. Wprawdzie po długich dyskusjach i debatach w łonie komisji ustawodawczej, pracownikowi pozostawiono otwartą drogę sądową w wypadku wypowiedzenia umowy o pracę przez pracodawcę, projekt przewiduje jednak sytuacje w których nie może być ona skuteczna, jak np. w wypadkach likwidacji czy reorganizacji przedsiębiorstwa. Wszelkie poczynania mające na celu udzielenie i poprawę gospodarce przedsiębiorstw upoważniają kierownictwo do zwolnień pracowników w okresie stanowiącym połowę normalnego okresu wypowiedzenia, przy czym zawieszeniu ulegają wówczas rozmaite przepisy chroniące zatrudnionych jak np. zakaz doręczenia wypowiedzenia w okresie urlopu lub choroby. W wypadku reorganizacji łączącej się ze zmniejszeniem kadr przedsiębiorstwa czy likwidacją poszczególnych działów, dyrekcja nie będzie nawet miała obowiązku konsultowania zamierzonych zwolnień z zakładową organizacją związkową, ani wysłuchiwania jej opinii. Stanowi to zarazem uszczuplenie praw nowych związków, traktowanych rzekomo jako pełnoprawnego i szanowanego partnera administracji. Doświadczenia ostatnich miesięcy dowiodły zresztą, iż władze niezbyt biorą sobie do serca opinie i postulaty nowych związków. Na początku br. wbrew ich stanowisku wprowadzono np. przedłużony o 4 godziny tydzień pracy w przedsiębiorstwach o szczególnym znaczeniu dla gospodarki.

Reorganizacje, przegrupowania, likwidowanie innych działów po to, aby w ich miejsce tworzyć inne, są stałym zjawiskiem w gospodarce PRL.

Często dają one okazję do pozbycia się niewygodnych ludzi. Pod rządami znowelizowanego kodeksu pracy stanie się to znacznie łatwiejsze, niż dotychczas. Kiedy rozpoczynano pracę nad nowelizacją kodeksu nie brakło publicznych zapowiedzi m. in. prof. Zbigniewa Salwy, członka komisji kodyfikacyjnej i eksperta w dziedzinie prawa pracy, że nowe przepisy mają również na celu doprowadzenie do pełnej równości między pracownikiem a pracodawcą jako stronami umowy. Projekt będący wynikiem prac komisji przekreśla całkowicie te zapowiedzi. Wejście w życie nowych przepisów pogłębi znacznie nierówność między stronami umowy o pracę, która i tak w PRL zawsze była znaczna.

Warto jeszcze wspomnieć, że w końcowej swej części projekt przewiduje delegację ustawową dla Rady Ministrów, dotyczącą wprowadzenia na terenie kraju przymusowego pośrednictwa pracy. Idea nie jest nowa. Od wielu lat działają w Polsce urzędy zatrudnienia usytuowane przy terenowych organach administracji. Zadaniem ich jest obok pośrednictwa pracy, dobrowolnego jednak, kierowanie do pracy tzw. pasażerów społecznych, czyli mężczyzn do 45 roku życia, nie mających oficjalnych źródeł utrzymania. Jak dotychczas rola urzędów zatrudnienia nie ciążyła zbytnio nad rynkiem pracy. Jeśli Rada Ministrów zechce jednak skorzystać z przewidzianych dla niej uprawnień i podejdzie do sprawy rygorystycznie, skończy się wszelka swoboda nie tylko w zmienianiu pracy, ale przede wszystkim w jej wyborze. O ruchach kadrowych decydować będzie wówczas przede wszystkim względ na dobro gospodarki, nie zaś indywidualne interesy czy dążenia.

Wiara władz w skuteczną regulowania problemów społecznych i gospodarczych przy pomocy nakazów, zakazów i rygorów zdaje się nie słabnąć, choć jak dotąd nie przynosi rezultatów. Uczynienie z milionów ludzi wyrobników „przypisanych” do swych zakładów pracy nie tylko nie wskrzesi entuzjazmu do pracy, lecz skutecznie zgasi jego resztki, jeśli się jakieś dotąd zachowały. Zmiany mające dopomóc w przełamaniu marazmu przyczynią się jedynie do jego zwiększenia. Chyba, że projekt ulegnie przeróbce w komisjach sejmowych, na co jednak zbytnio liczyć nie należy. Wedle przewidywań, a zarazem życzeń władz, nowe przepisy mają być uchwalone w tym roku i wejść w życie od 1 stycznia 1987 roku.

Lipiec 1986

Czytelników zminiaturyzowanych wydań „Poglądu” przepraszamy za złą jakość reprodukowanych zdjęć.

Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika wymagałoby dużych nakładów finansowych, na które pozwolić sobie nie możemy.

Redakcja

Andrzej Swierczyński

Szpital w PRL: życzymy zdrowia

To miejsce pracy – mówi znajomy lekarz – przypomina wszystko, tylko nie szpital. Z wyglądu jest skrzyżowaniem urzędu i więzienia. Ponnury, stary budynek, szaro-zielone, olejno pomalowane ściany, zapach chloru i garkuchni, na korytarzu ludzie w piżamach, paltach i fartuchach (po stroju odróżniamy kto z wizytą, kto funkcjonariusz, a kto pacjent), brudno, wilgotno. Na jednym z oddziałów między salami z aparaturą zabiegową i szafkami medycznymi wystawionymi na korytarz wpadamy na malarza w stroju roboczym z drabiną i kubłem farby. Na oddziale trwa remont, hulają przeciągi, ściany schną, farba śmierdzi, obok na tym samym oddziale próbuje się leczyć chorych.

Nie jest to przykład karygodnego zaniedbania czy niechlujstwa dyrekcji. Szpitale od lat są niedoinwestowane. O ile w Anglii średni czas budowy nowego obiektu wynosi 2,5 do 4 lat, to w Polsce lat 15, a poziom wykonania jest tak zły, że zmusza do zatrudnienia ekip remontowych niemal równoległe z otwarciem szpitala.

Remonty są więc prowadzone wszędzie. Zarówno w placówkach nowych jak i tych murszejących ze starości. W zasadzie większość z nich należałoby zamknąć i gruntownie wyremontować, ale jest to niemożliwe, ponieważ nie ma dokąd przenieść pacjentów. Światowa Organizacja Zdrowia przewiduje jako normę 100 łóżek szpitalnych na 10 tysięcy mieszkańców. W Polsce 1981 roku przypadało 56,4 statystycznego łóżka na 10 tys. mieszkańców, a na przykład w województwie warszawskim w 1983 roku tylko 51,3. Bywa i tak, że jeden oddział internistyczny obsługuje rejon o 100 tys. mieszkańców, czyli miasto średniej wielkości, więc nie ma mowy o zamknięciu któregośkolwiek obiektu.

Ten stan rzeczy powoduje dalsze komplikacje (jeszcze nie mówimy o komplikacjach zdrowotnych), a mianowicie to, że w szpitalach leży się wszędzie: w salach, na korytarzach, w pomieszczeniach przeznaczonych pierwotnie na inne cele.

Norma międzynarodowa przewiduje 12 m² dla chorego, norma polska Ministerstwa Zdrowia 6 m², zaś w praktyce chorzy gnieźdzą się na powierzchni nie większej niż 3-4 m², co między innymi sprzyja zakażeniom wewnątrzszpitalnym, a o komforcie leczenia, rehabilitacji czy – co najsmutniejsze – umierania, mowy być nie może.

Warunki są takie – mówi znajomy lekarz – że w większości szpitali pacjentom należałoby płacić za przebywanie w warunkach niebezpiecznych dla życia i zdrowia. Czy wyobrażasz sobie, co by się tu działo, gdyby wybuchł pożar? (A patrzmy w perspektywę korytarza oddziału, który choć nie w remoncie, zastawiony jednak jest obficie łóżkami, z „wąskim gardłem” na przejściu). W tym momencie przypomina mi się inna refleksja z perspektywy szpitalnego łóżka. Otóż pewien mój znajomy spóźnił się do szpitala, wskutek czego przepadło mu obiecane miejsce na sali i wyładował na korytarzu między dwoma dziadkami, z których jeden chrapał i śmierzdział, a drugi konał. Sytuacja była więc trudna podwójnie, fizycznie i moralnie. Teoretycznie (ale tylko teoretycznie) łatwiejszy był problem cuchnącego dziadka, którego wystarczająco umyć lub do tego nakłonić. Kłopot polegał na tym, że wejście do tzw. łazienki przedstawiało istotną trudność; łazienka była brudna, woda tylko zimna, prysnic jeden (czylny), umywalki dwie... Poważniejszy dylemat przeżywał mój znajomy wobec dziadka konającego. Jak się mianowicie zachować? Czytać, nakryć głowę poduszką, modlić się? Obok, na korytarzu toczyło się zwykłe życie. Chorzy leżeli, czytali, spali, przyjmowali wizyty, a dziadek umierał... Mój znajomy nie umiał się w tym znaleźć i swoje przeżycia opowiadał długo po wyjściu ze szpitala. Ale i zdaniem lekarzy w szpitalu można zobaczyć rzeczy oszałamiające, choćby nawet pracownikom wydawało się, że już ich nic nie jest w stanie zaskoczyć. Takim szokiem bywa właśnie umieranie ludzi, a potem transport zwłok przerzucanych niefrasobliwie z łóżka na łóżko, z łóżka na wózek, jazda przez cały szpital, składowanie w byle komórce, gdyż innych wolnych pomieszczeń nie ma.

Jest to sytuacja, w której najlepiej byłoby nie korzystać ze szpitala, ale brak miejsc rodzi oczywiście stan odwrotny. To nie pacjentom dopłaca się, ale w zależności od szpitala, jego renomy, rodzaju schorzenia czy zabiegu pacjenci muszą dawać łapówki w wysokości od 15 do 30 tys. zł. Tak przynajmniej niesie fama. I jeśli nawet nie dotyczy to wszystkich szpitali, a na pewno nie wszystkich zespołów lekarskich, to całkiem prawdopodobnie brzmi anegdota opowiedziana mi w jednej z placówek służby zdrowia, a dotycząca zależności między warunkami leczenia i wyborami do sejmu. Otóż 13 października na chorych, 16-

rzy stawili się do analizy moczu, z jednej strony ambulatorium czekał urynał, a z drugiej urna. Siostra oddziałowa będąca równocześnie siostrą reżymową zapraszała do obu pojemników, tłumacząc, że pacjent leczony za darmo winien w rewanżu oddać państwu choćby obywatelski głos. Jeden z chorych ujawnił wówczas, ile kosztowało go owe darmowe miejsce (wymienił niebagatelną kwotę 50 tys. zł) i ten skandal zdecydowanie przyćmił wyborczy dzień w szpitalu.

Na ogół jednak pacjenci nie zwracają się z wysokości łapówek. Nikt bowiem nie wie, kiedy, komu i za co przyjdzie zapłacić. Na przykład pewna znajoma babcia złamała nogę w stawie biodrowym i po odwiezieniu do szpitala została na 3 miesiące zakuta w gipsowy pancerz. Było to o tyle zdumiewające, że od lat przeprowadza się z powodzeniem operacje stawu, łącząc złamane kości stalową szpilą. Jak powiedziano w szpitalu szpil nie było, natomiast babcia groziła dożgonne kalectwo, gdyby te 3 miesiące przeleżała w gipsowym gorsecie. Więc rodzina nie zastanawiając się długo spakowała delikatesowe wiktuały w postaci koniaku i kawy, złożyła 20 tys. zł jako zachęcający dodatek i tym prostym sposobem doprowadzono do szybkiego rozkucia babci z gipsu oraz udanej operacji.

Płaci ten, kto nie ma szczęścia, kto nie ma wyjścia, lub chce uniknąć koszmaru szpitalnego, co nie znaczy, że nie leżą tam też ludzie, a mówiąc slangiem lekarskim „pacjenci leżący odłogiem” na cennych łózkach. Przede wszystkim leżą ci, którzy czekając na planowany zabieg dostali łóżko i wózą go nie opuszczając, aby nie trafić gorzej (przystawka na środku sali, korytarz, miejsce przy kuchni, przy ubikacji itp.). Po wtóre leżą pacjenci diagnozowani. Proces diagnostyczny w przychodniach jest szalenie długi. Na rentgen żołądka czeka się przeciętnie 1,5 miesiąca, na EKG do 2 tygodni, na specjalistyczne konsultacje do 3 miesięcy. Natomiast laboratoria przyszpitalne pracują szybciej, choć i tu brakuje odczynników i komputerowej aparatury analitycznej. Ponadto jest możliwość korzystania ze specjalistycznej i rzadkiej aparatury diagnostycznej zgromadzonej w niewielu placówkach (np. Centrum Zdrowia Dziecka), do której w warunkach leczenia pozaszpitalnego dostęp jest bardzo utrudniony. Tak to wygląda z punktu widzenia pacjenta. Natomiast lekarze zwracają uwagę na negatywną stronę zjawiska – na zaleganie chorych, obciążanie szpitalnych laboratoriów, również i na to, że koncentracja aparatury diagnostycznej w kilku szpitalach powoduje konieczność transportu chorych, co przy braku karetek jest poważnym obciążeniem.

Wreszcie w szpitalach „zalegają” ludzie starzy. W roku 1984 ponad 6 tys. osób przewlekłe

i nieuleczalnie chorych przebywało w szpitalach z powodu braku miejsc w domach opieki społecznej. Trudno obliczyć, ile osób leżało w szpitalach z braku opieki rodzinnej i środowiskowej; faktem jest wszakże, iż olbrzymi procent pacjentów to ludzie starzy. Szpitalni rezydenci. Oni też najczęściej ulegają szpitalnej pladze – zakażeniom, choć oczywiście każdy pacjent ryzykuje złapanie bakterii uodpornionej na większość antybiotyków. Bo warunki szpitalne nie należą do aseptycznych. Przede wszystkim nie ma urządzeń i środków higienicznych do czyszczenia pomieszczeń. Pozostaje tradycyjnie szmata i wiadro – znakomite roszadniki zakażeń. Wielokrotnie sale operacyjne wychodzą prawie bezpośrednio (a w każdym razie bez słuz) na korytarze, więc nierazko zdarzają się zakażenia pooperacyjne, a posiewy na narzędziach i przyrządach wykrywają obecność gronkowców...

W tym – dla nieprzyzwyczajonego – paranoicznym zgoła pejzażu odbywa się leczenie chorych. I wówczas pojawia się pytanie: czym i jak leczyć?

W dużej mierze – mówi jeden z lekarzy – bazujemy na lekach przysyłanych z zagranicy, bądź w ramach pomocy charytatywnej, bądź jako zakupy Ministerstwa Zdrowia. I mowa tu o lekach, które naprawdę leczą. Dysponujemy bowiem wystarczającą ilością leków złych (źle wchłanianych, mało skutecznych, powodujących skutki uboczne), lub środków zastępczych mogących tylko leczyć na zasadzie tzw. efektu placebo tj. autosugestii skuteczności, której przecież lek nie gwarantuje.

Zapobiegliwy lekarz buszuje więc w darach albo pisze podanie do Ministerstwa Zdrowia o import docelowy. Często występuje o import leku dla tzw. „martwej duszy” – dla pacjenta wyleczonego lub prawie wyleczonego, gdyż tylko w ten sposób może utrzymać ciągłość leczenia pacjentów lub w sprzyjających okolicznościach gromadzić zapasy. Są one potrzebne albo na użytek szpitala, albo do nieformalnych transakcji międzyszpitalnych, bowiem – z czego mało kto zdaje sobie sprawę – szpitale są wielkim czarnym rynkiem wymiennego handlu lekami. I jest to najszlachetniejsza postać czarnego rynku w Polsce. Za lek można dostać inny akurat potrzebny lek, konsultację lub specjalistyczne badanie w Centrum Zdrowia Dziecka itp. A lekarz z aspiracjami do miana dobrego lekarza musi poza wiedzą medyczną posiadać niemal w równym stopniu uzdolnienia menadżerskie i handlowe. Musi organizować leczenie. Zdaniem specjalistów w fachu medycznym pożądane jest utrzymywanie kontaktów z możliwie największą ilością kolegów, dobre kontakty z zagranicą i ludźmi organizującymi pomoc charytatywną, a także z ludźmi przywozującymi tę pomoc do Polski. I niewątpliwie dobre

kontakty osobiste odgrywają rolę najważniejszą. Całość zabiegów sprawia jednak, że zdaniem lekarzy leczenie jest procesem nerwowym i bardziej przypomina pokera niż sumę zabiegów medycznych. 10-15 % czasu pracy — mówi mój znajomy — spędzam przy chorym. Przez pozostałe godziny administruję, telefonuję, podlizuję się, prowadzę transakcje wymienne, jeżdżę po mieście, słowem organizuję sobie pracę.

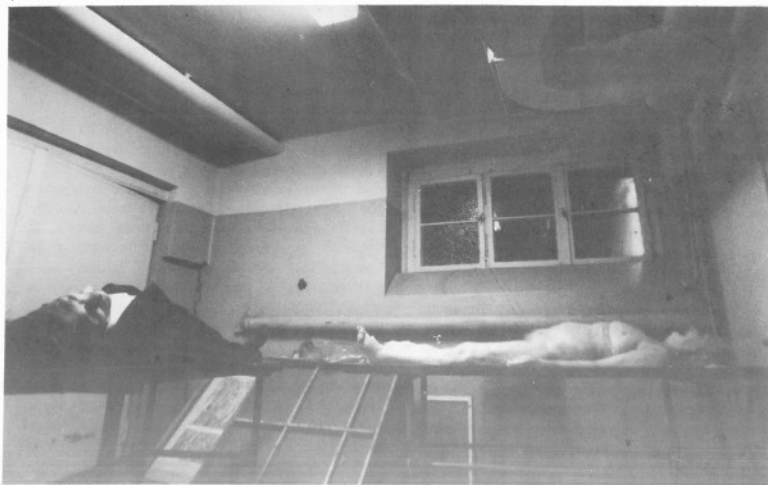
Jest to sytuacja kompromitująca. W szpitalach brak jest podstawowych leków, panują warunki jak na froncie, pod namiotem. Brak płynów jałowych, gazy, soli fizjologicznych, witamin, piramidonu itd. Wiosną 1985 roku tylko dlatego nie ogłoszono epidemii grypy w Polsce, gdyż brakowało polopiryny i rutinoscobinu. W 1983 r. brakowało 23 % leków zawartych w Urzędowym Spisie Leków, w 1984 r. — już 34,6 %. W sumie zabrakło 539 pozycji z i tak już znacznie okrojonego lekospisu. W tej sytuacji leczenie pacjentów przeciąga się katastrofalnie, a nic nie wskazuje na to, by w przyszłości sytuacja miała polepszyć się. Na domiar złego zmniejsza się zakres pomocy charytatywnej, która do niedawna w około 40 % zaspokajała potrzeby szpitali.

Na ile więc zmniejszą się szanse leczenia? Lekarze zadają sobie jeszcze trudniejsze pytanie: na ile zmniejsza się szansa przeżycia chorych w takich warunkach, jakie mamy? Wiadomo na przykład, że w ostatnich latach pogorszył się ogólny stan zdrowotny społeczeństwa, że wzrosła zapadalność na niektóre choroby, choćby zawały.

Na świecie robi się dziś operacje naczyniowe, które w znacznej mierze eliminują nawroty choroby, a w Polsce brakuje ośrodków przygotowanych do takich operacji. Stosuje się zatem terapię lekową, wyprowadza chorego z ostrego zawału i... czeka na następny zawał.

W ogóle — zastanawia się ktoś z moich rozmówców — czy można mówić o szpitalnej terapii? W każdym przypadku, nie tylko zawału, warunki naszych szpitali nie sprzyjają terapii i rehabilitacji. Można wykonać operację, badania, zaordynować i nawet zdobyć niezbędne leki i zaleczyć chorobę. Ale szpital wymaga od chorego przede wszystkim dużej odporności psychicznej, nerwowej i w tej mierze na pomoc ze strony personelu prawie nie może on liczyć. Była już mowa o tym, czym zajmuje się lekarz. Zresztą przy zenująco niskich zarobkach podaża on ze szpitala zazwyczaj do następnej pracy. Brakuje pielęgniarek. Lekarze są zdania, że pielęgniarka nie powinna obsługiwać więcej niż 5 chorych, a zwykle ma 8 do 12 pacjentów, więc nie zajmuje się nimi tak jak powinna. Brakuje salowych. Brak też jest miejsc, w których można by porozmawiać z pacjentem na osobności. Lekarze i pielęgniarki nie pracują w zespołach zajmujących się chorymi wspólnie. W zasadzie nie istnieje więc kontakt między pacjentami a zespołem leczącym i obsługującym.

I do tego jeszcze remont. Dobrze, jeśli tak jak tu, to tylko malowanie, a nie kucie ścian i wymiana instalacji. Żegnamy się więc życząc sobie żelaznego zdrowia. ■



Przetrwac

Rozmowa ze Zbigniewem Bujakiem

„Wola”: Dziesięć lat temu po wydarzeniach czerwcowych zawiązały się struktury opozycji demokratycznej. Czym jest dla Ciebie ten dziesięcioletni okres, który otwierał protest robotników Radomia i Ursusa i którego przełomowym punktem był Sierpień '80 roku?

Zbigniew Bujak: W 1976 roku wróciłem do pracy po wojsku. Wiedziałem o opozycji i chciałem się w ten ruch włączyć. Jednakże, choć było to tuż po wydarzeniach czerwcowych, nie znalazłem możliwości dotarcia do środowiska opozycji poprzez zakład. Dopiero po roku, półtora, gdy w Ursusie pracował Zbyszek Janas, udało się nam nawiązać kontakt z działaczami opozycyjnymi. Początkowo kontakt ten polegał na kolportażu prasy i książek, potem przyszedł czas na opozycyjną działalność, od której droga prowadziła prosto do Sierpnia i budowy związku zawodowego. Te dziesięć lat było więc dla mnie okresem wyboru drogi i trwania w tym wyborze. Kiedy włączyłem się w ruch opozycyjny, stało się dla mnie oczywiste, że pozostanę w nim bez względu na konsekwencje i na to, jak długo będzie to trwało.

– Co Cię do tego skłoniło?

– To, co widziałem w zakładzie pracy. Pracowałem najpierw w „Polfie” potem w „Ursusie”. Był to schyłek gierkowskiej prosperity, której prawdziwe oblicze widać było od strony zakładu. Na codzień obserwowałem jak marnują się pieniądze i technologie. Znacząco było jak tania i bezowocna jest praca. U jednych rodziło to niechęć do pracy, także u starych fachowców, choć mieli oni resztki przywiązania do solidnej roboty i czegoś można było się jeszcze nauczyć od nich, u innych, zwłaszcza młodych – cwaniactwo i wygodnictwo. W poszukiwaniu lepszej pensji zmieniano często pracę. Sam też zmieniłem. Wszystko to niepokoiło, denerwowało, trzeba było coś z tym zrobić. Wówczas jedynie opozycja demokratyczna wskazywała drogi działania. Bezpośrednim impulsem i motorem był „Apel do społeczeństwa”, ogłoszony przez KOR w październiku 1978 roku. Czytaliśmy go i według korowskich wskazówek zro-



liśmy plan działania w zakładzie w ramach istniejących struktur. Realizować go nie było łatwo. Wtedy do związku wszedł Zbyszek Janas, ja ze względów taktycznych pozostałem poza związkiem. Największym sukcesem było zaznaczenie naszej obecności w zakładzie i zdobycie zaufania wśród załogi. Dzięki temu w Sierpniu załoga wiedziała, kto może bronić jej interesów i kto będzie robił związek zawodowy. Zapobiegało to tarcom i nieporozumieniom, które w pierwszej fazie tworzenia związku pochłaniały energię i czas ludzi w wielu zakładach, np. w FSO.

– W jak różnej sytuacji od tej, w której znalazłeś się Ty w 1976 roku jest dziś, w dziesięć lat później, młody człowiek, który po wojsku idzie do pierwszej pracy?

– W pewnym sensie młody robotnik ma sytuację łatwiejszą niż ja dziesięć lat temu. Łatwiej nawiązać kontakty, zdobyć prasę. Myślę też, że dziś robotnik ma większe poczucie bezpieczeństwa. My przed Sierpniem, działając w „Ursusie” wiedzieliśmy, że możemy liczyć na pomoc, ale wiedzieliśmy też, że jest to pomoc ograniczona. I w wypadku wyrzucenia z pracy byliśmy zdani tylko na siebie. Dzisiaj system pomocy jest tak rozwinięty, że poczucie bezpieczeństwa może być większe. Również odwaga opozycyjnego działania jest większa. Dziesięć lat temu większość załogi odnosiła się do nas z rezerwą, wynikającą z lęku. Z tą rezerwą działacze „Solidarności” spotykają się zapewne i teraz, jednak jej stopień jest nieporównywalnie mniejszy. Myślę, że młody człowiek przychodzi do swej pierwszej pracy z większym poczuciem możliwości i sensu robienia czegoś. Przed Sierpniem próbowaliśmy robić nawet

w KSR-ach, w których praktycznie nic nie można było zrobić. Okazywało się, że przykładowo zgłoszenie wniosku o dodatek drożyzniowy, który oczywiście nie został przyznany, było wielkim wydarzeniem w zakładzie. Dziś przecież możliwości działania w samorządzie — przy istniejących ograniczeniach — są o wiele większe i ciekawsze.

— Nasza diagnoza jest mniej optymistyczna. Po kilku latach podziemnego działania ludzie są zmęczeni psychicznie i fizycznie. Wpadają w rutynę, częściej powielają metody z przedsierniowego ruchu samoobrony społecznej lub z pierwszych miesięcy stanu wojennego (przywiązanie do manifestacji ulicznych), niż szukają nowych sposobów na miarę obecnej sytuacji. Wielu działaczy jest przeświadczonych, że od momentu delegalizacji Związku stopniowo traciłymi w zakładzie możliwość obrony praw pracowniczych, czyli działalności związkowej właśnie. Siła przebiecia w sprawach związkowych i wola działania są coraz mniejsze. Brakuje pomysłów i chęci myślenia programowego — a jeśli już to jest to słowny radykalizm niepodległościowy. Stan stagnacji, w jakim się znaleźliśmy, może wyzwolić chęć szukania nowej formuły aktywności, ale może też być początkiem końca.

— Ogólnie zgadzam się z tą oceną. I stawiam sobie pytanie: na ile mówienie o naszym sfomnianym zapale jest prawdziwe. Przetrzyliśmy czas euforii zwycięstwa, przetrzyliśmy czas wielkiej klęski i teraz — w tym najbardziej jałowym i bezkształtnym okresie, kiedy nie może się zdarzyć nic spektakularnego, okazujemy się najmniej wytrwali i pomysłowi. Ale może to nie jest tak. Może rytynowa działalność jest sposobem na przetrwanie. Może to jest program na dziś: zbieramy składki od 10 % pracowników, trzeba zwiększyć je do 15 %, udoskonalić kolportaż, akcję socjalną — kolonie, wczasy itd. Nowe formy działania rodzą się w stanach fermentu społecznego, taki ferment nie bierze się z postulatów. Ale pomysły takie jak: ruch młodzieżowy, pacyfistyczny, czy ruch kobiet, jaki w Polsce się jeszcze nie pojawił, a być może z nim system by sobie tak szybko nie poradził — mogą stać się elementami przełamującymi obecną sytuację.

— Może ruch ekologiczny teraz?

— Tak, ale wszystko to są ruchy słabe, ale mogą być mocne, jeśli zaczną gromadzić się w nich ludzie chcący już coś zrobić, aby osiągnąć efekty tu i teraz, nie czekając na niepodległość i obalenie Jałty. Nowe pomysły sprawdzają się najlepiej w momentach przełomu. Dziś, w czasie ciszy i stagnacji wierzę w rutynę. Twierdzę nawet, że dużo przegrywamy, gdyż nie umiemy prowadzić w sposób rutynowy tej najbardziej elementarnej szarej roboty i dlatego też dosyć łatwo oddaje-

my to, co zdobyliśmy. Tu przemawia przede mną konserwatysta. Najtrudniej jest pewną zdobycz utrzymać i pozwolić jej przetrwać najgorszy okres... Najłatwiej jest krytykować, czego przykładem może być artykuł o wrocławskiej akcji w obronie Frasyniuka, rządzie londyńskim w *Tygodniku Mazowsze*. Londynczyków łatwo osmieścić, mądrzej byłoby docenić to, co उसabiają: legalizm, demokratyczne instytucje z zakresu Polski niepodległej, jak choćby urząd Prezydenta. Zdobycze te należy wzmacniać, a nie pomagać komunistom w ich osmieszeniu. Utrzymanie takich zdobyczy może mieć kiedyś znaczenie. Gdyby np. udało się ocalić w kraju PSL i utrzymać ciągłość jego instytucji (choćby podziemną) — nasza historia od roku 1956 mogłaby wyglądać inaczej. Warto więc cenić rutynę i jej dalekosiężne skutki. Często okazuje się ona warunkiem ciągłości, a to daje z kolei większą siłę. Na chwilę przed sierniowym strajkiem „Ursus” przechodził okres największej prosperity. Rozprowadzaliśmy wówczas 1500 egzemplarzy *Robotnika* i w składkach jednorazowych zbieraliśmy na książki kilka tysięcy. Teraz „Ursus” z naszych składek dysponuje kwotą ok. 300 tys. miesięcznie. Gdyby udało się utrzymać działalność związkową na tym poziomie, to

Może rutynowa działalność jest sposobem na przetrwanie. Może to jest program na dziś:

nie mam wątpliwości, że w momencie przełomu ludzie, którzy się nią zajmują, tworzyliby w zakładzie grupę działaczy mających autorytet i poparcie załogi. Myślę, że jeśli zachowamy strukturę związku, to wszelkie zmiany w naszym kraju będą odbywać się wokół „Solidarności”. Dlatego trzeba przetrwać — choćby to był nie wiem jak długi okres.

— Celem działania i środkiem ocalenia zdobyty Sierpnia byłoby więc utrzymanie ruchu na takim poziomie, na jakim da się go jeszcze utrzymać. Ale czy utrzymywanie kadrowej działalności związkowej w sytuacji, gdy dla większości „Solidarności” żyje jako mit, jest wystarczającą do tego, żeby społeczeństwo za kilkanaście czy dwadzieścia lat zachowało się jak dojrzałe społeczeństwo obywatelskie? Konserwatyzm, o którym mówisz, jest często tożsamy z biernością, sprawiającą, że zbieranie składek, wydawanie książek stają się celem samym w sobie. Podziemna robota jest sztuką dla sztuki, w której zapomina się o idei. Wydawnictwa zaczynają wydawać książki tylko dla zysku, nie

**Nowe formy działania
rodzą się w stanach
fermentu społecznego,
taki ferment nie bierze się
z postulatu.**

bacząc na adresata czy stworzenie profilu. Rutyna zamyka działaczy zakładowych na nowe pomysły. Często w wypadku konfliktu w zakładzie zachowują się biernie. Nie widzą potrzeby dzielenia się swoimi doświadczeniami z innymi TKZ-ami poprzez prasę podziemną. Ograniczenie aktywności do rutynowych działań w obrębie własnego zakładu okazuje się bowiem wygodne i bezpieczne.

— Wszystko wskazuje na to, że znajdujemy się w kryzysie, który zresztą przewidywaliliśmy. Może ten rok jest najgorszy... Pytanie, co w tej sytuacji powinni robić działacze szczebla krajowego i regionalnego? Myślę, że trzeba przekonywać do elementarnej działalności na poziomie zakładu, popierać inicjatywy wydawania gazet zakładowych (jak zaczyna to robić Wola), wokół których organizuje się załoga. Wszystko to jednak mało. Warto też popierać umowy międzyzakładowe na

szczeblu zakładowym, dzięki którym nasi działacze mogą zapoznać się z pracą i problemami związku zawodowego za granicą pełniącego w warunkach demokracji swą podstawową rolę: obrony praw pracowniczych przy zachowaniu politycznego oblicza. Są to bardzo ważne doświadczenia dla polskich związkowców, w większości łączących pojęcie związkowości z apolitycznością. A przecież każda organizacja, stowarzyszenie, związek, każdy twór społeczny spełnia rolę polityczną. W wielu państwach część decyzji politycznych jest zawarowana dla związków zawodowych. Jest to już współdziałanie w rządzeniu. Tak naprawdę rola politycznego związku jest bardzo duża, problem polega tylko na możliwościach organizacyjnych i intelektualnych. Jeśli porównać program „Solidarności” z programem DGB okaże się, że w tej sprawie nie ma między nami różnic. Jednym z podstawowych zadań DGB jest walka o demokrację, tylko ten sam zapis w programie „Solidarności” o wiele więcej znaczy. Dlatego bezpodstawne są zarzuty, że związek nasz zajmuje się sprawami kultury, nauki oraz parlamentaryzmu i niepodległości. Ze swej politycznej roli Związek nie zrezygnuje, ani jej nie sędzieje na nikogo, np. na KPN. Ukazujemy też wielką rolę „Solidarności”, aby przyciągnąć i nowych członków i tych, co odchodzi. Nasi działacze, którzy z uporem będą trwali w ruchu, muszą to lepiej zrozumieć.

KB-VI-668/A1



BUJAK ZBIGNIEW

s. Jana, nr. 29 XI. 1954 r., zam. Podkowa
Leśna ul. Sosnowa 26.

wzrost 179 cm, szczupły, wysportowany,
włosy ciemnoblond, faliste, zaczesane na
boc, oczu puste, blizna na lewej skroni,
może mieć zarost i dłuższe włosy.

Kontakty:

Bujak Romuald - Ustka ul. Polanka 25
Bujak Bogdan - Ursus ul. Mizerkiewicza 42/32
Bujak Stanisław-Kazimierówka woj. W-wa

- Wróblewska Barbara - Milanówek ul. Sportowa 4 n. 78
Dąbka Cezka - Milanówek ul. Krakowa 4
Gana Tadeusz - Ursus ul. Mizerkiewicza 56 n. 77
Skutnicki Zbigniew - Podkowa Leśna ul. Cicha 24a
Kamoi Roi - Pruszków Al. Niepodległości 4 n. 15
Pietrzyk Józef - Saterowice ul. Waskiewiczów 10 n. 24
Miklaszewska Marta - W-wa ul. Solna 4 n. 13
Wujec Ludwika - W-wa ul. Kosobudzka 3/43
Majewska Elżbieta - W-wa ul. Śluby Polskiej 1 n. 96
Kulik Ewa - W-wa ul. Mierzejewicza 10 n. 51
Cieszyński Mieczysław - W-wa ul. Włókna 9 n. 13

POZWIANY

- Z tego, co mówisz wynika, że wobec nieprzewidywalnej przyszłości powinniśmy wypracować wiele wariantów działań: od organizacji kadrowej, zdolnej przeprowadzić ogólnoregionalne czy ogólnokrajowe akcje do społeczeństwa obywatelskiego.

- Związek obejmuje różnorodne dziedziny życia społecznego w sposób naturalny. Wszelkoność związku wynika z bogactwa aktywnych i mądrych ludzi. Na różne też stawiam scenariusze. Waższą pracuje nad wariantem porozumienia. A jeśli władza nie wystąpi z propozycją umowy? TKK, która tego scenariusza nie wyklucza, wybiera drogę kadrowego, ale masowo zakorzonego ruchu, przed którym władza będzie zmuszona kiedyś ustąpić. Tylko byłby to ruch lepiej zorganizowany, niż w Sierpniu 80 r., wykorzystujący moment słabości władzy. Zakładamy taką sytuację, w której władza okazuje się niezdolna do akcji wojskowej i milicyjnej w zakładach pracy. Nie wierzymy natomiast w to, że zostaniemy zaproszeni do stołu bez silnego społecznego nacisku. Warunkiem powodzenia tego scenariusza jest trwanie podziemnej „Solidarności”, nasza obecność w zakładach. Przy przyjęciu takiego wariantu wiadać dopiero, że obecny model ruchu ma sens wówczas, jeśli zaowocuje w momencie przełomu szybkim powstaniem legalnych komisji zakładowych. Jeśli nas w zakładach nie będzie, wariant ten jest nierealny.

Najtrudniej jednak mówić o wariacie, pod którym podpisują się ludzie działający na powierzchni. Wariant ten zakłada stopniowy proces liberalizacji w naszym kraju, umożliwiający pół-jawną działalność związkową, może nie w zakładach pracy, tylko w jakichś klubach, komitetach. Istniałby jakiś rodzaj związkowej władzy, tyle że nie w samych zakładach, bez legalizacji związku i odbudowy jego struktur. Pozostają jeszcze warianty radykalne, których hasłem jest niepodległość. Nie pokazują one jednak drogi do niepodległości.

- Wróćmy jeszcze do analizy czynników, które mogą doprowadzić do zmian w Polsce.

- Wiemy, że ekipa Jaruzelskiego opiera się na sile i widzimy, że na przykład coraz lepiej rozprawia się z demonstracjami. Wojsko i milicja są więc skuteczne. Z naszej strony powinniśmy z tego wyciągać wnioski, to znaczy próbować wszelkimi sposobami osłabić te dwie, tak ważne podpory władzy. Wychodziła kiedyś *Reduta*, po pierwszej wpadce przestała. Wychodziło pismo *Godność* adresowane do milicjantów. Wyobraźmy sobie, że kolportaż takich pism obejmowałby również kadre oficerską! Należałoby do tych pomysłów powrócić, próbować w jakimś stopniu zachwiać pewnością władzy wobec swych podópór. Tak jak

Myślę, że jeśli zachowamy strukturę związku, to wszelkie zmiany w naszym kraju będą odbywać się wokół „Solidarności”. Dlatego trzeba przetrwać – choćby to było nie wiem jak długi okres.

w konflikcie bydgoskim niepewna postawa wojska i milicji zdecydowała o względnej powściągliwości władzy i opóźnieniu terminu ostatecznego ataku, tak być może w nowej próbie sił ten sam czynnik może odegrać jakąś pozytywną dla nas rolę. Nie powinniśmy tego zaniedbywać, a jednak nikt nie chce organizować siatki cywilnej obsługującej gazetę dla milicji i wojska. A cywilna obsługa jest niezbędnym warunkiem takiego pisma. W całej naszej strategii jest to jeden z największych braków. Zatrzymują się przed podjęciem tego zadania radykalne ugrupowania niepodległościowe. Nie są więc konsekwentne wobec swych własnych deklaracji. Kolejny z czynników to legalne formy działania.

♦ Potrzebne są zatem radykalne działania podziemia osłabiające system, zmuszające władzę do ustępstw i szukania nowych rozwiązań jak i wykorzystywanie możliwości jawnych przedsięwzięć.

- Nasze przygotowanie do momentu przełomu polegałoby więc na dwutorowości: radykalizmie zachowań i penetracji legalnych pól. Co w takim razie myślisz o szansach ruchu samorządowego?

- Najważniejszym dorobkiem ruchu samorządowego będzie kadra działająca dobrze zorientowana w funkcjonowaniu przedsiębiorstwa. Ludzie ci mogą stanowić oparcie dla wszelkich działań reformatorskich w gospodarce. Tylko dla całego ruchu reformatorskiego to trochę za mało. Samorządy, które się dzisiaj liczą, to samorządy w dużych zakładach pracy. Te nie będą miały w gospodarce dużego znaczenia, jedynie polityczne. Liczą się natomiast samorządy w zakładach przemysłu drobnego, których kształt zależy od samorządu terytorialnego, jego samodzielności. To pole mamy też zaniedbane, jedynie małe grupy działają w samorządach terytorialnych. Ich doświadczenia mogą okazać się bezcenne, jednak jest ich mało. W 1981 roku, kiedy przygotowaliśmy ordynację do rad narodowych, mało kto miał wyobrażenie o praktycznej, organizacyjnej stronie

Potrzebne są zatem radykalne działania podziemia osłabiające system, zmuszające władzę do ustępstw i szukania nowych rozwiązań jak i wykorzystywanie możliwości jawnych przedsięwzięć.

funkcjonowania samorządu terytorialnego. Już wówczas było to działanie na wyrost, co mówić dzisiaj... W dalszym ciągu nie jesteśmy przygotowani do pracy w nim. A weźmy choćby problem mieszkaniowy. Przecież będzie się on rozstrzygał właśnie na poziomie rad narodowych. Podobnie sprawa zaopatrzenia, spółdzielczości, lecnictwa, ekologii.

— Z małych zakładów pracy, w których nie ma największych szans na autentyczny samorząd pracowniczy, słycać głosy, czy dla dobra pracowników nie należałoby wprowadzać swoich ludzi do istniejących neozwiązków. Co o tym myślisz?

— Byłoby to posunięcie bardzo niebezpieczne. Nastawiam się na reaktywowanie „Solidarności” jako związku. Próby wchodzenia do neozwiązków łamią tę zasadę. Nie wykluczam jednak kompromisu i współdziałania z neozwiązkami w poszczególnych zakładach. Takie rzeczy już się zdarzają. Nie prowadzą one do zmniejszenia liczby członków naszego związku, raczej ustalają status quo w zakładzie. Neozwiązki pozostają wówczas pod presją „Solidarności”. Jest to jakby wstępny kompromis przed zaistnieniem sytuacji pełnego pluralizmu związkowego (czego się domagamy), w którym reaktywowana „Solidarność” będzie istniała obok związków z nadania władzy. Ale dziś kompromis jest możliwy jedynie na poziomie zakładu, dalej bowiem rozbieżność interesów jest zasadnicza. Widać to choćby na przykładzie umów zbiorowych, w sprawie których OPZZ zajmuje centralistyczne stanowisko przeciwne interesom zakładów pracy i stanowisku naszego związku sprzed 13 grudnia. Ogólnie penetracja na różnych płaszczyznach drugiej strony może okazać się pozytywna, jak pokazują to przykłady współdziałania w zakładach pracy. Warto czynić to w innych miejscach, np. w samorządzie terytorialnym. Warto szukać po tamtej stronie zwolenników — na niższych szczeblach pokazywać im nasze koncepcje, by w momencie przełomu pozyskać ich, więc rozmawiać... Jest to możliwe, my jednak nie mieliśmy wtedy wypracowanej koncepcji współdzia-

łania z radami narodowymi, czy partiami (np. SD), nie znaleźmy ich działaczy.

— Tylko kto ma to robić? Nie mamy kadry własnych działaczy do takich rozmów.

— Apel o wysiłek rozpoznania tej drugiej strony, o próby zapoznawania działaczy np. rad narodowych z naszymi koncepcjami skierowany jest do ludzi, którzy mają zamiar lub już zdecydowali się działać w legalnych strukturach choćby w samorządach osiedlowych. Taka legalna robota może procentować w przyszłości. Tego typu kontakty nie są i nie będą uważane za kolaborację, jeśli nie będą prowadzić do wspierania punktu widzenia władzy.

— Jest jeszcze jedna trudność: wszystkie nasze koncepcje, programy naprawy stosunków społeczno-gospodarczych są w rozproszeniu. Utrudnione są zatem próby zapoznawania z nimi naszych ludzi, którzy decydują się na legalną działalność, co dopiero mówić o próbach zapoznawania z nimi działaczy drugiej strony.

— Rzeczywiście koncepcje i programy są, ale w rozproszeniu. Dysponujemy konkretnymi programami, które można by próbować już dziś wykorzystywać, albo na nich się uczyć. Ale one nie są zebrane i znane, obejmują nie tylko gospodarkę, ale cały system prawa zaczynając od ustawy o Prokuraturze na Sądzie Najwyższym kończąc; reformę rad narodowych szczebla podstawowego i wojewódzkiego; reformy w oświacie i nauce (tak w programach jak i organizacji), czy reformy dające wreszcie oddech kulturze. Widziałem nawet szczegółowy program (z Białej Podlaskiej) dla radnego, który obejmował wszystko: od problemów budownictwa w rejonie przez ekologię, kulturę, naukę, opiekę lekarską. Dobry wzór dla innych. Istnieje zatem potrzeba publikacji, która obejmowałaby całość programowego dorobku „Solidarności”.

— Tyle tylko, że publikacja taka ma sens wówczas, jeśli spotka się z powszechną inicjatywą obywatelską, na którą dziś trudno liczyć.

— Pozostaje nam czekać na ten obywatelski ruch. I przygotowywać się do przełomu. Można próbować sprowokować jakiś ruch małych kroków, małych działań już dziś. Jest to ważniejsze niż mnożenie ogólnych programów, które zaczynają się od postulatu dwu- czy jednoizbowego parlamentu. Jeżeli pracować nad programami — to w formie konkretnych działań.

— Jakie konkretne zadanie widzisz teraz dla „Solidarności”?

— Nasze najbliższe plany dotyczą zupełnie elementarnego poziomu działania. Chcemy przygotować kompletne opracowanie dotyczące pracy kobiet w Polsce: szczegółowo — pracy w nocy, ochrony kobiet w ciąży, sytuacji samotnych ma-

tek, pracy szkodliwej dla zdrowia. W opracowaniu biorą udział Społeczna Komisja Zdrowia, współpracownicy TKK, którzy przygotowują materiał zakładowy. Cenny dla nas jest też każdy raport z zakładów pracy. Prosimy więc o nadsyłanie materiałów. Druga sprawa, która nas zajmuje i z którą nie wiadomo co zrobić, to prawo pracy. W swej znowelizowanej formie przywiązuje pracownika do zakładu. Podobnie jak inne dziedziny prawo ulega tym samym deprecjacji, bo przecież stosowane będzie wybiórczo dla doraźnych celów władzy. Zaostrenie przepisów pełni więc rolę fikcyjnego straszaka, toteż nie może być ono w tym kształcie przestrzegane, choćby z powodu braku rąk do pracy. Ale zmiany w stosunkach pracy mają dla władzy sens. Służą one powolnemu odbieraniu nam tego, co wywalczyliśmy, np. wolnych sobót. Ludzie chętnie idą do pracy w wolne soboty, bo więcej zarabiają. Nie zauważają jednak, że przy takiej wysokości podwyżek realne pensje wcale nie rosną. A dla nas wolne soboty to więcej wolnego czasu i tym samym chęci do działania. Władza to wie i dlatego wolne soboty odbiera. Skądinąd wiadomo, że wydłużenie czasu pracy ma się nijak do wydajności. Prowadzi do wzrostu wydajności w krótkim okresie, w długim natomiast prowadzi do marnotrawstwa i podrażnienia produkcji. Ale dziś możemy jedynie rozpoznać charakter i cel noweli-

cyjnej zmusza zasada odpłatności prasy związkowej. Zasada ta pomaga stworzyć strukturę związku, który jest w stanie żyć własnymi środkami. Warto wiedzieć, że pomoc z Zachodu dla „Solidarności” bezpośrednio dla związku wynosi około 10 % naszych funduszy. Istnienie struktury kolportażowej i odpłatności pozwala ze względnym

— Pozostaje nam czekać na ten obywatelski ruch. I przygotowywać się do przełomu.

spokojem myśleć o związku, na wypadek gdyby ustała pomoc finansowa. Na razie nic na to nie wskazuje. Ale z pomocy tej utrzymują się regiony i struktury oparte na dotacjach. Ostatnie z naszych zadań to więźniowie polityczni, ich wolność i status.

— Czy związek ma pomysły dotyczące młodych ludzi, idących do pierwszej pracy, dla których „Solidarność” była doświadczeniem z okresu szkoly?

— Oczywiście, chcielibyśmy młodych ludzi wciągać do pracy, ale trzeba znaleźć do nich drogę, związek bowiem nie wydaje się być dla nich interesującą propozycją. Trzeba więc na nowo sformułować deklarację „Solidarności” odpowiadającą na pytanie: czym jesteśmy i czym się zajmujemy. Trzeba to zrobić w sposób interesujący zarówno dla młodych, którzy zastanawiają się nad wstąpieniem do nas, jak i dla starszych, których to powinno przekonać do pozostania z nami. Czy nam się to uda, trudno powiedzieć. Można być natomiast pewnym, że taka deklaracja będzie dzisiaj chętniej czytana niż I program I Zjazdu, który był dobry, tylko minęło już pięć lat. Musimy też się wyzbycić strachu przed wszechobecną prowokacją i zachowawczości wobec młodych ludzi, którzy nie przeżywali Sierpnia w zakładzie pracy. Związek powinien być dla nich drogą swojego rodzaju awansu, choć na razie w utajonych formach. Ale najpierw musi być nasza propozycja.

— Czekamy na nią i na inne, o których rozmawialiśmy i o których będziemy w gazecie pisać. Dziękujemy.

(„Wola”, nr 20, 2. 06. 1986)

Trzeba więc na nowo sformułować deklarację „Solidarności” odpowiadając na pytanie: czym jesteśmy i czym się zajmujemy.

zacji prawa pracy i próbować się temu przeciwstawić w zakładzie. Pomysłu na walkę z tym nikt nie ma.

— Samorząd ma możliwość. W jego gestii leży bowiem ustalanie regulaminu pracy. Może więc oprotestować decyzję dyrekcji, jeżeli decyzja ta nie była uzgodniona z samorządem. W paru zakładach to się udało...

— W naszych planach na ten rok mamy lepsze związanie kadrowych ogniw. Związek, aby wzmocnić się organizacyjnie musi policzyć wszystkie swe straty. Do pewnej dyscypliny organiza-

„POGLĄD” JEST OBECNIE DO NABYCIA W BERLINIE W KIOSKU NA BAHNHOF ZOO, W MUZEUM MURU PRZY FRIEDRICHSTRASSE ORAZ W KSIĘGARNI STODIECK'S PRZY RICHARD-WAGNER-STRASSE 39

Więźniowie polityczni w PRL

- nieco statystyki

W chwili, gdy władze ogłaszały kolejne po 13 grudnia '81 „szczególne postępowanie wobec sprawców niektórych przestępstw” to jest tzw. amnestię, na liście więźniów politycznych (która prowadzona jest przez Biuro Zagraniczne NSZZ „Solidarność” w Paryżu) znajdowało się 355 osób. Oczywiście dane otrzymywane przez nas od polskiego Komitetu Helsińskiego są zwykle spóźnione. Liczba więźniów politycznych stale się zmienia, następują nowe aresztowania, warunkowe zwolnienia, rozprawy sądowe, na których zapadają czasem wyroki z zawieszeniem. Wszystko to powoduje, iż nasze paryskie dane mogą nieco odbiegać od stanu faktycznego na dany dzień. Ale myślę, że bez większego błędu można przyjąć, iż w dniu 22 lipca, w dniu święta władzy komunistycznej, w więzieniach PRL znajdowało się około 350 więźniów politycznych.

Chciałbym się jednak zająć większą grupą. Otóż w okresie od 1 stycznia do 22 lipca br., według naszych danych, przeszło przez więzienia peerelowskie 756 osób. Niektóre z nich witały nowy rok w aresztach, niektóre trafiły do więzień później. Część osób, które 1 stycznia były w więzieniach opuściły je przed 22 lipca.

Interesująca jest statystyka geograficzna miejsc pochodzenia więźniów. Posiadamy dane zamieszkania dotyczące ok. 90 % więźniów z liczby 756 osób. A pochodzą oni ze wszystkich zakątków kraju — od Przemysła, który miał w omawianym okresie 10 więźniów, przez Zakopane — 1 więzień, aż po Jelenią Górę — 2 więźniów. Od Suwałk — 1 więzień, przez Jastarnię — także 1 więzień, po Szczecin — 11 więźniów.

Wśród osób zarejestrowanych przez nasze biuro 183 pochodziły z Warszawy i jej okolic tzn. z Ursusa, Podkowy Leśnej, Wesołej, Grodziska Mazowieckiego, 99 osób z Trójmiasta tzn. Gdańska, Sopotu i Gdyni, 56 osób pochodziło z Górnośląska, w tym 11 więźniów z Katowic, 12 z Gliwic, po 5 z Bytomia, Kętrzyna i Tych, 4 z Sosnowca, po 3 z Jastrzębia, Zabrze i Mysłó-

wic, 2 z Dąbrowy Górniczej, po 1 z Pszczyny, Chrzanowa, Zawiercia, Andrychowa, Kędzierzyna-Koźla i Rudy Śląskiej.

114 więźniów miał Dolny Śląsk i Śląsk Opolski w tym: 58 więźniów Wrocław, 18 Lubin, 11 Wałbrzych, 5 Świdnica, 4 Legnica, 3 Nysa, po 2 więźniów miał Głogów, Zgorzelec, Nowa Sól i Łądek Zdrój, po 1 — Żąbkowice Śląskie, Strzelce Opolskie, Polkowice, Opole, Chełm Śląski, Wodzisław Śląski i Lewin Brzeski.

Na Wybrzeżu poza Trójmiastem i Szczecinem siedziało w więzieniach 14 osób: 5 w Elblągu, 4 w Słupsku, 2 w Białogardzie, po jednej w Ełku, Pruszczu Gdańskim i Jastarni. Ponadto Bydgoszcz miała 15 więźniów, Gorzów Wielkopolski 17, Kraków 30, Lublin 16, Łódź 20, Poznań 30, Toruń i Kielce po 10, Zamość 11, po 6 Białystok, Bielsko-Biała, Płock, Rzeszów i Siedlce, 5 Kalisz, po 4 Końskie, Olsztyn, Piła i Płock, po 3 Gostynin, Jasło, Konin, Radom i Świdnik, po 2 Kwidzyn, Kostrzyn, Starachowice, Stalowa Wola i Wieluń. Po 1 więźniu miały: Bieunów, Barczewo, Chełm Lubelski, Gorlice, Grudziądz, Knurów, Łapy, Malbork, Nowy Sącz, Piotrowice, Rzepin, Szczeczeszyn, Szubin, Skarżysko-Kamienna, Wyszkiw, Biłgoraj, Łonża, Chełmno, Mragowo, Tarnów i Wałcz.

Interesujący jest także przekrój zawodowy więźniów politycznych PRL. Na 756 więźniów zarejestrowanych przez Biuro Zagraniczne w Paryżu posiadamy dane zawodowe 482 osób. Wśród nich jest: 161 robotników, a w tym 23 górników, 19 kierowców i taksówkarzy, 13 ślusarzy, 12 elektryków, 9 mechaników, 6 portowców, 4 kolejarzy i 4 spawaczy.

82 więźniów to studenci, 47 pracownicy naukowci, 35 technicy, 38 inżynierzy. Aż 45 uczniów szkół średnich i zawodowych władze PRL oderwały od szkoły i rodziny. Wśród więźniów było 19 rencistów i emerytów, 5 architektów, 6 dziennikarzy, 6 rolników, 11 lekarzy, 9 rzemieślników, 5 urzędników, 3 ekonomistów, 3 astronomów, 5 prawników, 3 oficerów i 3 podoficerów wojska PRL, 2 pracowników Służby Bezpieczeństwa, 2 literatów.

W okresie od 1 stycznia do 30 kwietnia br. (na razie tylko za ten okres posiadamy pełne dane) odbyło się 86 rozpraw w I instancji przed Sądami Rejonowymi. Skazano w tych rozprawach 148 osób, 7 osób uniewinniono. Uniewinnili oskarżonych sędziowie sądów rejonowych we Wrocławiu, Krakowie-Podgórzu, Legnicy, Myśliborzu, Płocku i Warszawie.

Co najmniej 34 osoby zostały skazane podczas rozpraw w trybie przyspieszonym. Najczęściej tryb ten stosował Sąd Rejonowy dla Miasta Stołecznego Warszawy, wydając 14 wyroków, w tym

aż 10 bezwzględego aresztu od 4 miesięcy do 1,5 roku. Najbardziej surowy okazał się jednak Sąd Rejonowy w Gdańsku wydając 6 wyroków – wszystkie bezwzględne więzienia. Półtora roku dostali: 18 marca – Mirosław Jezusek, 25 marca – Lech Orzeszko, 25 marca – Tadeusz Hińca, 8 kwietnia – Marek Brzeskowski. 15 kwietnia karę 1 roku wymierzył Sąd Rejonowy w Gdańsku Wojciechowi Gosiewskiemu, zaś karę 2,5 roku więzienia wymierzono Kazimierzowi Nawrockiemu.

Trzecie miejsce na tej niestawnej liście zajmuje Sąd Rejonowy Warszawa-Praga, który wymierzył w trybie doraźnym 5 wyroków, w tym 3 bezwzględne więzienia. W okresie tych 4 miesięcy Sąd Rejonowy w Kielcach i Sąd Rejonowy we Wrocławiu wymierzył po 3 wyroki, zaś sądy w Gdyni i Legnicy po jednym wyroku w trybie przyspieszonym.

Najbardziej niechlubną kartę peerelowskiego sądownictwa wypełnili sędziowie Sądu Rejonowego w Gdańsku. Jak już wspomniano, wydali oni aż 6 wyroków w trybie przyspieszonym a ponadto jeden wyrok w trybie zwykłym. Wszystkie one opiewały na kary bezwzględne więzienia. Podobnie Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej; wydał on tylko 4 wyroki ale wszystkie bezwzględne aresztu. Sąd Rejonowy w Katowicach nie ustępuje towarzyszącemu z Bielska-Białej i Gdańska. Wydał on 8 wyroków, w tym 7 bezwzględne więzienia. Najwięcej wyroków wydał Sąd Rejonowy we Wrocławiu. W ciągu 4 miesięcy (od 1 stycznia do 30 kwietnia br.) zapadły 24 wyroki. W większości jednak sąd ten wyroki zawieszał w przeciwnieństwie do sądów warszawskich. Sąd Rejonowy Miasta Stołecznego Warszawy wydał 16 wyroków, w tym 13 bezwzględne aresztu. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Pragi wydał 9 wyroków, w tym 4 bezwzględne aresztu.

„Ciekawie” działają sądy w Lubiniu, Legnicy i Kielcach. Wychodzą one z założenia, że kiesa państwowa jest pusta i każdy wyrok opatrzyć wysoką grzywną od 100 do 200 tys. złotych, dodając do tego czasem nawiązkę w wysokości 40 tys. złotych. Sąd w Legnicy wydał 7 wyroków, zaś w Lubiniu i Kielcach po 5 wyroków.

Czarno zapisał się Sąd Rejonowy w Mikołowie. Wydał on 7 wyroków, w tym aż 5 bezwzględne aresztu. Kontynuując dalej tę statystykę należy wymienić: Sąd Rejonowy w Toruniu – 8 wyroków, w Świdnicy – 5, w Pruszkowie – 4, w Krakowie-Nowej Hucie i Gorzowie Wielkopolskim po 3 wyroki, z tym że sąd gorzowski preferuje wyroki z odsiadką. Po 2 wyroki wydały Sądy Rejonowe w Grudziądzu, Białogardzie, Bartoszycach, Wałbrzychu, Bytomiu i Tarnowskich Górach. Po jednym wyroku wydały Sądy Rejonowe

w Kłodzku, Słupsku, Zamościu, Gryfinie, Grodzisku Mazowieckim, Poznaniu, Gdyni, Rozwadowie, Rzepinie, Kołobrzegu, Łodzi, Chrzanowie, Olsztynie i Siedlcach.

Zapadły także przynajmniej 2 wyroki sądów wojskowych. Oba dotyczyły przysięgi wojskowej. Tomasz Waćko skazany został na 18 miesięcy więzienia przez Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego, we Wrocławiu zaś Jarosław Wojewódzki skazany został na 2,5 roku więzienia przez Sąd Wojsk Lotniczych. Jak widać za to samo „przestępstwo” różne sądy ferują różne wyroki.

Do tej statystyki warto dodać rozprawę, która w I Instancji toczyła się przed Sądem Wojewódzkim. W Warszawie skazani zostali 22 kwietnia Leszek Moczulski na 4 lata, Adam Słomka i Krzysztof Król na 2,5 roku więzienia, zaś Andrzej Szomański i Dariusz Wójcik na 2 lata. Jako zarzut postawiono im kierowanie Konfederacją Polski Niepodległej. Były to najwyższe wyroki, jakie zapadły w 1986 roku w sądach I instancji.

W sumie na skazanych 148 osób w okresie od 1 stycznia do 31 kwietnia br. zapadło 76 wyroków bezwzględne więzienia, 68 wyroków z zawieszeniem, dwa wyroki samej grzywny i 2 ograniczenia wolności. Przy niektórych wyrokach bezwzględne więzienia sądy orzekły dodatkowo 35 grzywnien od 30 do 200 tys. złotych.

W tym samym okresie odbyły się 23 rozprawy sądów II instancji. Dotyczyły one 33 osób. W 6 przypadkach kary bezwzględne aresztu zawieszono. W 5 skierowano do ponownego rozpoznania, w 10 przypadkach utrzymano wyroki. W jednym przypadku podwyższono karę grzywny nie zmieniając wyroku więzienia.

Ciekawy jest przypadek rozprawy przeciwko Janowi Kosteckiemu, działaczowi szczecińskiego Komitetu Obrony Praworządności. Sąd Wojewódzki w Szczecinie, który Jana Kosteckiego wcześniej uniewinnił, po rewizji nadzwyczajnej ministra sprawiedliwości ugiął się pod presją i skazał go na 1,5 roku więzienia.

Odbyły się także 2 rozprawy przed Sądem Najwyższym. 22 lutego zmniejszył on wyroki Bogdanowi Lisowi z 2,5 roku do 2 lat więzienia, Adamowi Michnikowi z 3 do 2,5 roku więzienia oraz utrzymał wyrok w stosunku do Władysława Frasyniuka – 3,5 roku.

5 marca Sąd Najwyższy zmienił wyrok Sądu Wojewódzkiego w Słupsku i podwyższył wyroki Adamowi Hodyszowi z 3 do 6 lat więzienia zaś Piotrowi Siedlińskiemu z 1,5 do 4 lat. Obaj ci funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa oskarżeni zostali o współpracę ze strukturami „Solidarności”. Oczywiście jest fakt, że mamy tu do czynienia ze zwykłą zemstą aparatu nad byłymi pracownikami.

Bardzo interesujące są dane mówiące o tym, że ca są aresztowani i skazywani więźniowie polityczni. Najczęściej przebywają w więzieniach ludzie oskarżeni przez władzę o kolportaż – 291 osób, czyli połowa z tych odnośnie których dane posiadamy. Pod zarzutem drukowania niezależnych wydawnictw i ulotek aresztowano 87 osób. Często stawiano łączny zarzut druku i kolportażu. Za udział w podziemnych strukturach „Solidarności” i demokratycznej opozycji aresztowano 78 osób. Za uczestnictwo w manifestacjach organizowanych przez NSZZ „Solidarność” aresztowano 32 osoby. 27 osób postawiono w stan oskarżenia pod zarzutem stawiania czynnego oporu lub wręcz czynnej napaści na funkcjonariuszy milicji. Spośród organizatorów i współpracowników niezależnego radia „Solidarność” aresztowano 26 osób. Najpoważniejsze zarzuty, za które prawo w PRL przewiduje najwyższe kary tzn. od 10 lat aż do kary śmierci włącznie postawiono 13 osobom. Chodzi tu o tzw. przygotowania do obalenia siłą ustroju PRL i jej władz „konstytucyjnych”. Co najmniej 7 osób osadzono w więzieniach za uczestnictwo w ruchu „Wolność i Pokój”, w tym przynajmniej 3 za odmowę przysięgi wojskowej.

Wśród uwięzionych znajdują się dwaj funkcjonariusze SB skazani za przekazywanie informacji strukturalom „Solidarności”.

Władze PRL, ogłaszając kolejną po 13 grudnia 1981 roku „amnestię” liczyły na wprowadzenie w błąd opinii publicznej. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, by po doświadczeniach poprzednich „amnestii” ktokolwiek był skłonny wierzyć w dobrą wolę i chęć autentycznego porozumienia reżymu komunistycznego PRL ze społeczeństwem. Ciesząc się z uwolnienia każdego z naszych przyjaciół, nie możemy zapominać o tych, którzy pozostaną w więzieniach i o tych, którzy do nich trafią. Żadna z dotychczasowych „amnestii” nie stała się krokiem w kierunku zmiany sytuacji politycznej i społecznej w kraju. Były one tylko elementem gry obliczonej na efekt doraźny, czysto propagandowy. Osiągnąwszy cel, władze PRL przystępowały – i obawiam się, że zrobią to także i tym razem – do likwidacji wszelkiej niezależnej działalności społecznej w kraju.

Na zakończenie warto przypomnieć trafne sformułowanie rosyjskiego pisarza: *Jeśli wypuszczają – znaczą – będą sadzać.*

Opracował Mirosław Chojecki

Lista więźniarek politycznych -stan na dzień 1 lipca 1986

BIESIKIERSKA Nelly (Olczyńska), zam. w Warszawie, aresztowana 17 lipca 1985 za współpracę z wrogą organizacją; wyroku nie wydano. Areszt Śledczy Warszawa Mokotów.

CURYŁO Katarzyna, zam. w Szczepleszynie, aresztowana 26 kwietnia 1986 z art. 282a § 1 w zw. z art. 280 kk. (kolportaż ulotek, nawoływanie do odmowy przysięgi wojskowej). Wyroku jeszcze nie wydano.

DREGER-PLACHCIŃSKA Jadwiga, ur. 1952, zam. w Warszawie, aresztowana 13 kwietnia 1986 za współpracę z wrogą organizacją i niezależnym wydawnictwem.

FLORIAŃCZYK Zofia, zam. w Warszawie, aresztowana 26 maja 1985 za udział w tajnym związku i wejście w porozumienie z osobą działającą na rzecz obcej organizacji.

GORCZYŃSKA Beata, uczennica III LO Topolówka, zam. w Gdańsku, aresztowana 25 kwietnia 1986 za kolportaż.

GRYZILEWICZ Krystyna, zam. w Żyrardowie, aresztowana 25 kwietnia 1986.

GRZEGÓŁKA-PRACKA Anna, zam. w Warszawie, aresztowana 8 sierpnia 1985 za kolportaż wydawnictw niezależnych. Wyrok – 1,5 roku. Więzienie w Krzywiaciu.

HEJMANOWSKA Stefania, zam. w Gorzowie Wielkopolskim, aresztowana 25 sierpnia 1985 z art. 276 kk za kolportaż bibuły art. 282 § 1 kk i 45 prawa prasowego. Skazana w dniu 22 kwietnia 1986 na 10 miesięcy pozbawienia wolności.

HEYNAR-SKOWROŃSKA Wanda, zam. w Warszawie, aresztowana 13 marca 1986 z art. 282 w trybie przyspieszonym. Skazana w dniu 14 marca 1986 na 8 miesięcy więzienia w trybie przyspieszonym.

JOACHIMIĄK Małgorzata, zam. w Poznaniu, aresztowana 29 marca 1986 z art. 282a § 1 prawa karnego i 45 prawa prasowego. Areszt Śledczy – Poznań.

JUSZKO-PAŁUBSKA Ewa, zam. w Piotrkowie Trybunalskim, aresztowana w kwietniu 1984 pod fałszywym zarzutem łapówkarstwa, faktycznie jako adwokat broniła

członków „Solidarności”. W pierwszej instancji wyrok 5 lat, w drugiej 4 lata i 100 000 zł grzywny.

KIERNICKA Urszula, zam. w Gliwicach, aresztowana 14 kwietnia 1986. Wyroku nie wydano.

KINIEWSKA Maria, zam. w Bierutowie, aresztowana 11 października 1985. Wyrok: 1,5 roku.

KOMOROWSKA Alicja, zam. w Warszawie, aresztowana 1 czerwca 1986. Sprawa ta ma związek z aresztowaniem Z. Bujaka.

KONIECZNA Anastazja, zam. we Wrocławiu, aresztowana 30 lipca 1985 za kolportaż. Wyrok w dniu 29 listopada 1985 - 9 miesięcy.

KOTLIČKA Justyna, zam. w Warszawie, aresztowana 26 marca 1986 z art. 282a kk.

KUCYK Irena, ur. 1960, zam. w Zamościu, aresztowana 6 października 1985 z art. 282a § 1 kk.

KULIK Ewa, ur. 1958, zam. w Krakowie, aresztowana 31 maja 1986 razem z K. Bieleńskim

MAGIERA Grażyna, zam. w Gliwicach, aresztowana 14-15 kwietnia 1986.

MALINOWSKA Krystyna, zam. w Białymostku, aresztowana 14 lutego 1986 za kolportaż.

MECHLIŃSKA Zofia, zam. w Gdańsku, aresztowana za kolportaż. Sankcja prokuratora w dniu 30 kwietnia 1986.

MORAWSKA Małgorzata, zam. w Warszawie, aresztowana 16-17 października 1985 za kolportaż. Wyrok w trybie przyspieszonym - 2 lata.

PAULY Stanisława, emerytka, zam. w Warszawie, aresztowana 9 października 1985 za nadawanie audycji radiowych, kolportaż prasy niezależnej. Wyrok: 2,5 roku więzienia.

PIECHOWICZ Małgorzata, zam. w Gdańsku, aresztowana 26 kwietnia 1986.

ROMANOWSKA Maria, zam. w Warszawie, aresztowana 28 grudnia 1985 z art. 282 § 1

kk. i art. 45 prawa prasowego. Przebywa w Areszcie Śledczym w Gdańsku na Kurkowej.

SABATOWSKA Kazimiera, ur. 1933, zam. w Gdańsku, aresztowana 10 stycznia 1986.

SKORENKO Danuta, zam. w Katowicach, aresztowana 7 października 1985 za posiadanie radiostacji nadawczej, sporządzenie i rozpowszechnianie ulotek. Wyrok: 2,5 roku, wydany w dniu 19 kwietnia 1986.

SŁOWIKOWSKA Maria, zam. w Warszawie, aresztowana 4 marca 1985 za kolportaż. Wyrok: 1,5 roku, wydany w dniu 3 października 1985.

STEFANICKA Helena, ur. 1948, zam. w Świdnicy, aresztowana 11 lipca 1985 za kolportaż. Wyrok: 1,3 lata więzienia, wydany w dniu 11 lutego 1986.

TWARDOWSKA-MUZACZ Maria, ur. 1948, zam. w Warszawie, aresztowana 13 kwietnia 1985 z art. 132 kk., aresztowana razem z Bieleckim, za porozumienie z obcą organizacją w celu działania na szkodę interesów PRL. Wyroku jeszcze nie wydano. Areszt Śledczy na Rakowieckiej.

UHOLT Teresa, lat 28, zam. we Wrocławiu, aresztowana 19 września 1985 za kolportaż. Wyrok: 1 rok więzienia, wydany w dniu 29 listopada 1985.

WIERNICKA Krystyna, zam. w Warszawie, aresztowana 28 maja 1985 za wejście w porozumienie z osobą działającą na rzecz obcej organizacji, udział w tajnym związku.

WIERZBIČKA-RUSIEČKA Joanna, zam. w Warszawie, aresztowana za kolportaż. Wyrok: 1,5 roku wydany w dniu 27 czerwca 1986.

WORONICKA Władysława, ur. 1938, zam. w Warszawie, aresztowana 22 lutego 1985 za kolportaż. Wyrok: 1,5 roku, wydany w dniu 22 października 1985.

ZGIRSKA Mirosława, zam. w Gdańsku, aresztowana 15 stycznia 1986. Areszt Śledczy na Kurkowej w Gdańsku. ■

Pogląd

ALSTERARKADEN 10,

W HAMBURGU DO NABYCIA
W KSIĘGARNI „ARKADY”

2000 HAMBURG 36

Poniżej publikowany tekst został wyróżniony III nagrodą w konkursie „Poglądu” pt. „Człowiek Zachodu w oczach nowej emigracji”. Teksty, którym przyznano nagrodę I i II zostały zamieszczone w poprzednich wydaniach.

Ilona Beger (Godło „Pluto”)

Pisane trzynastego nocą

13 grudnia 1985 roku

Ja integruję się, ty integrujesz się, on integruje się... INTEGRUJ SIĘ! Dzisiaj w południe minęły cztery lata od chwili jak opuściłam kraj. To, co pozostało mi z tamtej zimy szczególnie w pamięci, to kilkusetosobowa barwna rzesza cudzoziemców, bezradnie ganiająca od urzędu do urzędu, zdana na łaskę lub niełaskę państwowych gryziopiórków oraz debata tocząca się w Bundestagu. Dyskutowano na temat cudzoziemców. Ileż to problemów z nimi. Mają trudności z integracją, niechętnie integrują się, a niektórzy nawet nie chcą się integrować z zachodniemieckim społeczeństwem.

Cóż za słowo! Integracja! Używano je w tak różnorodnym kontekście, że naszyły mnie pewne wątpliwości, co do jego treści. Według „Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”, wydane w 1971 roku przez Wiedzę Powszechną w Warszawie oznacza ono: *...proces tworzenia całości z części albo włączania jakiegoś elementu w całość; zespolenie i zharmonizowanie składników zbiorowości społecznej.*

Jeśli to tak, nie zgadzam się na jakiegokolwiek integrowanie! Nie chcę być ani zespalana (kojarzy mi się ze spawaniem), ani też włączana w całość, zbyt cenię sobie indywidualność. Natomiast zharmonizowaną zbiorowość społeczną, w której wiele lat spędzałam w charakterze składnika, właśnie szczęśliwie opuściłam, żyjąc obecnie w społeczeństwie demokratycznym, nie mającym – dziękować Bogu – nic wspólnego z harmonią. Nie jestem także zachwycona perspektywą zjednoczenia, zrzeszenia, kompletowania, czy też zsumowania się z tutejszym społeczeństwem, jak chciały tego niemiecki „Duden”. Zostawmy jednak semantykę i wrómy do sedna sprawy.

Integracja! Na czym powinna polegać? Czy powinniśmy zmieniać swoją mentalność, dopasować się do tutejszych obyczajów, stylu życia? Czy

są one tego rzeczywiście warte? Czy chcemy upodobnić się do tubylców? Właściwie, jacy oni są, czym nam imponują? Warunkiem ich poznania, a tym samym adaptacji w nowym kraju jest niewątpliwie jak najlepsze opanowanie jego języka.

Maj 1954 roku

Już za kilka dni pojedę z mamą do ojca, do Polski. Zaraz po wojnie wrócił do domu, a my czekałyśmy osiem lat, by zezwolono nam wyemigrować. Na podwórku dzieci pytają mnie, czy już umiem po polsku. Naturalnie, że umiem.

– Okno – das ist ein Fenster; raz – das ist eins.

– Umiesz jeszcze coś?

– Dwa – das ist zwei, a ja – das ist bei denen ich.

Okropnie się z tego śmiali. Powiedzieli, że to głupi język, skoro „ja” to „ich”. Dziadek mówił, że polski to istna chińszczyzna, samo syczenie – sch, tsch, psch, wsch, zsch... Ale mama twierdziła, że jest też wiele łatwych słów. Niektóre czytała mi ze słownika. Sąsiadka, pani Moeller powiedziała, że polskie dzieci nie lubią Niemców. A babcia chciała, żebym u niej została. Jej zdaniem jestem za mała na taki wyjazd i przecież nikogo nie będę rozumiała.

* * *

Któż mógł wtedy przewidzieć, że 28 lat później będę miała spore trudności w zrozumieniu nie tylko ko niektórych audycji telewizyjnych i radiowych, ale także własnego kuzyna i rodziny jego żony. Co kraj to obyczaj, a co „Land” to inny język. Kuzyn uszczęśliwia wszystkich „Plattdeutschem”, kuzynka jego małżonki szwargocze po bawarsku, a jej szwagier, na domiar złego sepleniący, uznaje tylko dialekt koloński. Suto zakra-

piane uroczystości rodzinne kończą się niekiedy sporami o priorytetowość poszczególnych „Lądów”. Krewniaczka z Bawarii wyzywa kuzyna od Prusaków. krewniak z Nadrenii od tępych ponuraków.

Północny odłam rodzinki powitał mnie niczym swojaka powracającego z długiej, przeszło ćwierćwiecznej podróży. Jakaż to była miłość! Trwała pomy, póki nie przekonano się, że nie podzielam w najmniejszym stopniu lokalnego patriotyzmu, a w dodatku posługuję się poprawnym językiem niemieckim, „Hochdeutschem” i nie wykazuję chęci przyswojenia sobie jakichkolwiek dialektów. Wtedy to ostentacyjnie zakwalifikowano mnie do grupy obcokrajowców! Mijały miesiące i coraz częściej ten czy ów uśmiechał się z wyższością, chłodno zauważając: zaraz słyhać, że nie jesteś stąd, my tutaj mówimy na to..., u nas tego słowa nikt nie używa.

Sierpień 1955 roku

Przed kilku dniami przeprowadzono ze mną bardzo poważną rozmowę. Rodzicielka przybrawszy prawie uroczysty wyraz twarzy, z podniesionym grożącym palcem wskazującym uświadomiła mi, że w języku polskim istnieje słowo, którego nie wolno mi nigdy wypowiedzieć głośno. Wtedy nie bardzo rozumiałam, dlaczego w mojej nowej ojczyźnie „zakręć” jest czymś zakazanym. Sprawa wyjaśniła się po latach.

Ponieważ w domu naszym brakowało pieniędzy na nauczyciela, a ojciec był bardzo zajęty, matka uczyła się polskiego sama. Już wkrótce spostrzegła, że wiele słów podobnych jest do niemieckiego: flaszka, kartofle, geszefciarz...

Pewnego dnia zatrzymał ją na ulicy starszy siwawy jegomość pytając o ulicę Matejki. Staruszka była w siódmym niebie – nie tylko rozumiała o co chodzi, ale potrafiła także udzielić odpowiedniej informacji. A ta brzmiała:

– Idźe pan prosto, tam jest kurwa i to jest Matejki.

Wzrok nieznanego mówił sam za siebie. Starszy pan z oburzeniem zniknął za najbliższym zakrętem, by nie powiedzieć „kurwą”. Było to jedyne wydarzenie kończące się tak niemiłym zgrzytem. Zazwyczaj bowiem pomagano matce na każdym kroku, wykazując anielską cierpliwość i zaiste ogrom taktu. Z taktem jest tak, jak z miłoniem. Albo go się ma, albo nie. O tym, że jest on bardzo miłą polską cechą narodową przekonałam się dopiero tutaj na Zachodzie.

Większość Niemców ma swoiste poczucie humoru, ściśle związane z brakiem taktu. Chcąc wypróbować prawdziwość tego stwierdzenia wystarczy dla przykładu ubrać swetr na lewą stronę.

włożyć kapelusza w chwili gdy wyszedł z mody, przez przypadek podać szanpanki do piwa, przejęzyczyć się, użyć niepoprawnego zwrotu, słowa... Jakaż to będzie radocha! Im bardziej zażenowana jest ofiara, tym głośniejsze są śmiechy, kwiki, rechoty. Łać w portki będą chcieli z uciechy! Tygodniami wspominać ową gafę, opowiadając o niej przyjaciółom i znajomym. Kawał roku! Wiele spotkań towarzyskich opartych jest na całym zbiorze takich nieszczęsnych wpadek, wciąż od nowa odgrzewanych i w różnoraki sposób modyfikowanych. Od nich zależeć będzie sukces danego wieczoru, popularność gospodarzy. Nie sprzyja to zapewne dopasowaniu się do nowego środowiska. Ten i ów przeżyje śmiech wywołany jego zabawnym akcentem, popełnionym błędem językowym. Ale co będzie, gdy zaczną wyśmiewać obyczaje, religię, narodowe świętości? Owe bolesne doświadczenia prowadzą niekiedy do zahamowań, decydujących o całym życiu obcokrajowca za granicą.

I wszystkiemu winien ten niepoprawny brak taktu...

Listopad 1955 roku

Jedną z moich ulubionych zabawek przywiezionych z Niemiec był dość dużych rozmiarów łabędz. Gumowy, nadmuchiwany stwór miał widać coś przeciwko nowemu otoczeniu, bo już po roku pękł w szwie. Matka udała się więc do pobliskiej drogerii i rzekła:

– Ja mam labendź, ta labendź ma dziurę, prosię plaster.

Zdanie to powtarzała ilekroć w sklepie zjawiał się kolejny sprzedawca z miłym uśmiechem pytając – Czym mogę służyć?

Wraz z kierownikiem było ich trzech. Wyśluchiwali jej grzecznie, po czym znikali na zapleczu pozostawiając klientkę w mniemaniu, że szukajążądanego towaru. Po kilkunastu minutach matka dała za wygraną i opuściła drogerię. Niestety już po kilku dniach ponownie zjawiała się w tym samym sklepie. Tym razem krótko i zwięźle oświadczyła:

– Prosię plaster na oko kury.

Tłumaczeniu nie można było niczego zarzucić. Odcisk oznacza po niemiecku „Huehnerauge”, w dosłownym więc tłumaczeniu „oko kury”. Nic dodać, nic ująć! Kiedy w sklepie zjawiał się ojciec wyjaśniając, że owa kobieta pragnęła przed chwilą nabyć plastry dla różnorodnych zwierzątek nie jest dzielnicową wariatką, lecz cudzoziemką, personel odetchnął z ulgą. Od tej chwili sklep ten zamienił się w jedną z „sal wykładowych”, w których rodzicielka przechodziła praktyczny kurs języka polskiego. Do „grona pedagogicznego” na-

leżała między innymi pani Zosia, pracująca w małym sklepie warzywniczym. W krótkim czasie wykryła tajemnicę mojej matki — problemy z kupnem włoszczyzny. Właściwie potrzebowała każdorazowo dwie włoszczyzny, nie wiedząc jednak czy mówi się „dwie”, czy też „dwa” nabywała na wszelki wypadek trzy pęczki. Przemilla sprzedawczyni wczuła się w sytuację. Ilekroć matka zjawiała się w jej sklepie pytała fluternie:

Dwie włoszczyzny? — a szeptem dodawała — Ale dwa ogórki, kochaneczko, dwa.

Mijały lata. Matczyna integracja sprowadzała się do bezbłędnego opanowania języka polskiego (choć nie pozbawionego specyficznego akcentu), miłości do muzyki Chopina, zespołu „Mazowsze”, kuchni polskiej, oczarowania historią Polski oraz tym, że „tutaj można wszystko załatwić”. Owa ubogość wrażeń wiązała się z narzuconym przez ojca stylem życia. Jak na warunki polskie był on swego rodzaju dziwkami — domator, niepijący, niepalący, nietańczący i... na dodatek wyzbyty wszelkich talentów na polu załatwiania, urządzania się, dawania i brania. Staruszka poznawała więc nową ojczyznę w oparciu o programy radiowe, prasę, książki, przelotne znajomości kolejkowe i pogawędki z sąsiadami. Ja natomiast poznawałam ją z opowiadań matki oraz ośmiogodzinnego pobytu w murach szkolnych.

Jednym z głównych źródeł odkrywania „słowiańskiej duszy”, którą rodzicielka była wręcz zafascynowana, była literatura. Ścisłe działa Bunscha oraz — jak go zwała — Szenkiewiczza. W książkach znajdowała wzorce obyczajów, sposobu bycia, mentalności, jednym słowem polskości. Tymczasem za biurkami miejscowych urzędów nie zasiadała szarmancka szlachta, w kolejkach nie stały ciche, pokorne „białogłowy”, a w domu nie rządził czuły i stanowczy Kmicic. Rozczarowanie obracało się chwilowo w pogardę, złość i nienawiść. Oszukano ją. Po prostu oszukano: przecież Polacy są tacy wrażliwi, uczuciowi, łagodni... A w kolejkach? Samo chamsstwo!

Wniosek: są chamscy, brutalni, bezlietni. .

Mija kolejny miesiąc. Pani Kokocińska pomagała przy wielkiej przepierce, sąsiadka z dołu odstąpiła nadmiar masła, pani Bączyk zeposiła — bez specjalnej okazji — na kawę i ciasto z bitą śmietaną...

— Gdzie znajdziecie tak cudownych pomocnych ludzi. To typowa cecha Polaków. Czyż nie są wspaniali?!

Wówczas przypisywałam tę skrajność matczynych uczuć jej charakterowi i temperamentowi. Dzisiaj wiem, że skłonność do skrajności jest jedną z głównych „zalet” jej rodaków. Albo na lewo, albo na prawo; drogę wyśrodkowaną znaj-

dują z wielkim trudem, niekiedy wręcz przypadkowo.

A propos lewica i prawica. W pierwszym roku mojego pobytu w Republice Federalnej Niemiec do ulubionych audycji telewizyjnych należały debaty bońskiego parlamentu. Jakież to fantastyczne widowisko. Te śmiechy, wzajemne docinki, przerywniki, oklaski, wybuchy oburzenia dostojnych panów posłów... Zupełnie jak na sejmiku szlachackim! Gdy pomyślę o naszym ludowym „parlamentem”?!

Lata siedemdziesiąte

Matka potrafi godzinami przysłuchiwać się przemówieniom najróżniejszych kacyków. Jest nimi zachwycona. Najbardziej z wszystkich ceni sobie Szydłaka i jego skośne „a”. Te jego „mielimy”, „chcielimy” i „moglimy”. Niekiedy nie rozumie go i wtedy martwi się, że jednak jeszcze nie opanowała dostatecznie polskiego. Gdy stanowczo protestujemy przeciw takim sentymentom, wspomina lata swej młodości, które jej towarzyszyły, grzmiące całymi dniami w środkach masowego przekazu, wygłaszane były przez takich fachowców jak Goebbels, Goering... Hitler. W obliczu takiej alternatywy ogarnia mnie bezradność.

Nawet gdybyśmy się nie wiem jak przed tym bronili, nierozłącznym zjawiskiem towarzyszącym integracji jest ciągłe porównywanie. Zalety i wady rodaków z zaletami i wadami „Mitbürgerer”; styl życia tam i tu; obyczaje jednego i drugiego narodu. Punktem odniesienia tych porównań są wychowanie zdobyte w ojczyźnie oraz doświadczenia, czyli co za tym idzie wiek, wykształcenie, przeżyta sytuacja gospodarczo-polityczna oraz indywidualne cechy charakteru osoby dopasowywanej się do nowego środowiska. I tak dla przykładu, im starsi jesteśmy, tym trudniej będziemy się adaptować do odmiennych od dotychczasowych warunków. Nie dotyczy to tylko i wyłącznie zmiany kraju zamieszkania. Większość ludzi z wiekiem przestaje „rozumieć świat”. Za ich czasów młodości „tego czy tamtego nie było”. Rzadko kiedy zawierają nowe związki małżeńskie, przeprowadzają się z miasta do miasta, zmieniają zakład pracy, wyznanie, rozpoczynają studia...

Po jakże często bolesnym i burzliwym okresie młodzieńczego protestu przeciw zastanemu porządkowi, większość z nas przyzwyczajona się, próbując czym prędzej znaleźć w nim swoje miejsce. Miejsce, którego z biegiem lat bronili będzie przed kolejnym pokoleniem „młodych gniewnych”. Starych drzew nie przesadza się! Nasuwa się rzecz jasna pytanie, co oznacza stare? Kto określa granice

wieku, w których nadajemy się jeszcze do „przesadzania”? Czy są one dla każdego z nas identyczne?

Lato 1959 roku

Matka jest zaszokowana. Postąpiła zgodnie z prawem i została po prostu wysniana. Twierdzi, że światła nie rozumie. A było to tak: w dwa lata po przyjeździe, celem uzupełnienia budżetu domowego, zgłosiła się do jednej ze spółdzielni chałupniczych. Dla niej dziergała ciuzki niemowlęce. Przy okazji poznała panią Hanię, niezwykle zaradną arystokratkę, która robieniem na drutach gwarantowała synowi miejsce na studiach. Skoro bowiem pracowała, nie była kapitalistką! Cóż, takie czasy.

Pani Hania podsunęła matce pomysł, by poprosiła rodzinę w Niemczech o przysianie maszyny do robienia swetrów. Pierwszych klientów obiecała podestać. A potem, jedna pani drugiej pani... Jednym słowem interes może całkiem nieźle prosperować. Wiosną tegoż roku matka została właścicielką nowiutkiej zachodnioniemieckiej „Knitax”. Z ścią pruską pedanterią poczyniła przygotowania do rozpoczęcia procesu produkcyjnego. Zapoznała się dokładnie ze swym „środkiem produkcji”, ze starej włóczki wykonała kilka różnorodnych wzorów, zaopatrzyła się w trzy tuziny różnokolorowych guzików i... udała się do urzędu finansowego celem zameldowania swego jednoosobowego zakładu chałupniczego. Jej zdziwienie było wielkie – jeszcze w żadnym urzędzie nie załatwiono jej z taką grzecznością i taką ilością miłych uśmiechów. Dumnie pokazała pani Hanię księgę, w której notować miała wykonane usługi. – Tak może postąpić tylko Niemka – skomentowała, pokładając się ze śmiechu ex-hrabina. Rodzicielka była urażona. Jakże to tak, miała pracować nielegalnie? Przecież „Ordnung muss sein!”

Flaiss, Ordnung, Disziplin! W tym duchu została wychowana i w tym duchu także mnie wychowywała. Pilność, porządek, dyscyplina! Jak „ułatwiały” mi one życie w naszej komunistycznej rzeczywistości, nietrudno sobie wyobrazić. Latami zwalczałam nabyte w domu rodzinnym cechy, które nijak nie pasowały do nowego polskiego pejzażu. Latami próbowałam się zintegrować z otaczającymi mnie realiami. Swoiste rozdarcie, jakiemu byłam poddana od chwili przyjazdu do Polski, najprościej wytłumaczyć na konkretnym przykładzie. Matka czuła się zobowiązana przeobrazić mnie w stuprocentową Polkę. Proces ten wiązał się między innymi ze zmianą wyznania. Chrześcijaństwo, komunizm, bierzmywanie! Sąsiedzi i znajomi są uszczęśliwieni. Jestem jedną z nich. Jestem katoliczką. Cóż za integracja! Ale czy rzeczywiście?

Rodzice pozostali ewangelikami. Boże Narodzenie, Wielkanoc – nikt nie dzieli się opłatkiem, jajkiem, na wigilijnym stole miast karpia pojawia się parówka... Zaczynam żyć w dwóch światach. Tym domowym i tym poza domem. Nie przychodzę na czas do domu, zostaję spoliczkowana – brak mi dyscypliny! Spóźniam się do szkoły, jestem usprawiedliwiona – autobus nie jechał. Nie wyprałam w piątek swej bielizny, lecz w sobotę, dochodzi do awantury – porządek musi być! Nie odrobiłam lekcji z „rysunków”, nie ma sprawy – brak kredek w sklepach. Wymówka się zawsze znajdzie!

Porządek i dyscyplina! Czyż nie powinnam się obecnie czuć jak ryba w wodzie? Wokół mnie tłumy Niemców podobnie jak i ja wytresowanych w poczuciu porządku i dyscypliny, z posturą spoglądających na inne nacje, żyjące w myśl zasady „take it easy”. Wytresowanych, co do tego nie mam wątpliwości, ale czy nadal żyjących zgodnie z cnotami wpajamy im od dziecka?

W naszym osiedlu czwartek jest dniem przycinania żywopłotów i koszenia trawników. Kto żyw wylatuje z kosiarkami, elektrycznymi nożycami do ścinania gałęzi, maszynkami do obkrawania płyt chodnikowych. I dawaj przycinać żdziebełka na równą wysokość, ucinąć łąby niewinnym stokrotkom i mleczozm, zmniejszać drzewa do rozmiarów karzełkowatych – bo rzucają za dużo cienia, za wysoko, za dużo liści gubią jesienią... Istny horror! Zdrowy polski rozum nabyty w mej drugiej ojczyźnie nie zezwala mi na dopasowywanie się do tego typu obyczajów. Z radością stwierdzam, że wielu młodych potomków „Wilusia” również „wyłamuje się”. Mój ogród będący barwną wesołą łączką nie dawał spokoju sąsiadom. Dezaprobującą kręcono głowami: jak to wygląda? Poruta dla całego osiedla. Dla świętego spokoju wzięłam się do przycinania żywopłotu. Lecz nie w czwartek, a w środę. Ku memu zdziwieniu pod wieczór żywopłoty sąsiadów z lewej i z prawej strony, jak również ten vis-a-vis były elegancko przyszyryżone. Ordnung muss sein!

Ale czy wszędzie? Czy zawsze? Czy cnoty te znajdujemy w urzędach, tygodniami opracowywanymi podania petentów; w środkach komunikacji miejskiej, w których małoletni nie ustąpią miejsca babci; w ruchu drogowym, w którym nie przestrzeżę się przepisów; w usługach, gdzie klient już dawno przestał być „Panem”...

Wiosna 1960 roku

Przed kilku dniami rodzicielka została zaproszona przez panią Hanię na przyjęcie. Jakież to był wieczór! Stół uginął się od smakołyków. Groszek w majonezie, biała kiełbasa, sardynki, jakka w ma-

ionezie, sos tatarski, bigos, wyborowa, wiśniówka, kawa, tort czekoladowy... Matczyzny zachwył trwał trzy pełne dni. Polska gościnność, polska kuchnia, ujmujący gospodarze i goście. Czwartego dnia zaczęła się zastanawiać, piątego wyrokować: nie dziwota, że nie starcza do, pierwszego. Takie wyżerki muszą przecież kosztować. I ta kultura jedzenia?! Nic dziwnego, że tyle chorują. Przy tak tłustej kuchni. Na Zachodzie...

Na Zachodzie kultura wyżywienia jest o wiele wyższa. Nikt nie żyje według dewizy „zastaw się, a postaw się”. Ludzie są oszczędniejsi. Wyższa jest także kultura mieszkaniowa. Trzy pokolenia w jednym mieszkaniu? Toż to nie do pomyslenia! Starsi nie mają nic do szukania wśród młodych, ich miejscem jest dom starców! Pomagac innym to chwalebna sprawa, ale nie można tolerować pasywności. Każdy musi stanąć na własnych nogach, a nie liczyć przez całe życie na pomoc rodziny!

Staruszka poucza, rodacy przysłuchują się jej z wrodzoną uprzejmością i smutnie przytakują. Wiadomo, kobieta przybyła z Zachodu. Jeszcze nie przyzwyczyła się do naszych warunków.

I nigdy się nie przyzwyczy! Nigdy nie zrozumie stylu życia i mentalności swych współobywateli.

Rok 1970

Moje wykształcenie dobiegło końca. Otrzymałam pracę w pobliskim gimnazjum jako belfer. „Na Zachodzie młodzi usamodzielniają się, prowadzą własne życie, we własnych czterech ścianach”. Owe własne ściany mieszczą się w odległości ośmiu minut piechotą od mieszkania moich rodziców. Przyjęta mnie sprzątaczką z naszej szkoły. Pokoik jest maleńki – dziewięć metrów kwadratowych. Płacę pięć stów. Wieczorem zawezwała mnie nasza dyrektorka.

— Słyszalam, że pani wyprowadziła się ze swego domu? Gdy przytaknęłam, dodała ze smutkiem — Pani matka jest prawdziwą Niemką. Czy mogę Pani w jakiś sposób pomóc?

Nie po raz pierwszy zwracano mi w taki sposób uwagę, kim jest moja rodzicielka. I nie po raz pierwszy było mi cholernie przykro i głupio zarazem. Każdorazowo starałam się wytłumaczyć jej motywy: „na Zachodzie młodzi ludzie usamodzielniają się”. Nie mogę przecież przez całe życie bazować na pomocy rodziców. Pewnego dnia zstanę sama i co wtedy? Jak dam sobie radę? Przyjaciele i znajomi nie zostawiali mi jednak żadnych złudzeń — na Zachodzie, na Zachodzie, ale tutaj jest Polska. Tutaj nie ma wolnych mieszkań. Tutaj czekasz na własne M latami. Bez chodów starych

jesteś niczym, bez rodzinki przepadłeś... A twoja stara jest po prostu Niemrą, ot co!

A kim ja jestem? Zintegrowaną w Polsce Niemką, integrującą się w Niemczech Polką? Ze zgrozą przyglądam się bezpardonowemu odsyłaniu starszych do domu starców i wspominam nasze starowinki od piątej stojące w kolejkach, wychowujące wnuków, swymi rentami łatające dziury w budżecie dzieci. Ze strachem obserwuję styl życia „małego człowieka z ulicy” zapatrzonego w „popisy” górnych stu tysięcy, zachłannie czytającego w brukowej prasie o poczynaniach „elity narodu”, walczącego o materialną wyższość nad swym najlepszym przyjacielem — sąsiadem, goniącego za „Angebotami”, w swej masie apolitycznego, kurczowo trzymającego się swej warstwy, samotnego... Z sentymentem wspominam naszych dyrektorów palących „Sporty”, jeżdżących „maluchami”, przeklinających... których wykształcenie i zajmowane stanowisko NIE ZOBOWIĄZYWAŁO do posiadania domku jednorodzinnego i spędzania wakacji na Mallorce. A może się myłę? Może z perspektywy upiększam moją drugą ojczyznę? Może i do nas dotarła ta „choroba”?

Rok 1964

Zdałam maturę, zostałam przyjęta na studia. Jak tysiące innych młodych ludzi. Pocięch lekarzy, robotników, prawników, chłopów... Nic w tym nadzwyczajnego. Dla mnie. Ale nie dla mojej staruszki. Dla niej spełniło się marzenie życia. Jej córka jest studentką. Czymś, o czym ona mogła tylko śnić. I to wszystko dzięki... komunizmowi!

— Gdyby nie komunizm, nie byłabyś na uniwersytecie, nie żyłabyś w bezklasowym społeczeństwie, nie mogłabyś korzystać z bezpłatnego leczenia...

Gdy skończyła czternaście lat, rozpoczęła pracę w bibliotece jako goniec. Rodzice nie mieli pieniędzy na dalsze kształcenie. W 1946 roku pracowała w fabryce jako robotnica. Kobietom zmęczonym ośmiogodzinnym stanem przy maszynach nie wolno było oprzeć się o ścianę. Pilnował je brygadzysta. No i to nieszczęsne małżeństwo. Z polskim jęcem wojennym. Ileż to musiała się nasuchać! W Polsce nikt jej przykrości nie sprawiał. Każdy ją podziwiał. Traktowano jej historię jako czarującą i niezwykle romantyczną. Niemka z miłości do Polaka opuszcza rodzinne strony i udaje się za mężem! Na dodatek nie tęskni za ojczyzną, lecz ją krytykuje. Polak to lubi... i swoje myśli. Ale tylko myśli. Nikt nie odważył się w ciągu tych przeszło trzydziestu lat powiedzieć matce, co myśli o jej pouczeniach, o miłości do komuniz-

mu i nienawiści do kapitalizmu. I tak jest chyba lepiej.

Boże Narodzenie 1982 roku

Święta spędzam u cioci. Na moje powitanie w ojczyjszych stronach zaprosiła kilku znajomych i przyjaciół. Już po kilku minutach dochodzi do pierwszych spięć. Ciotce nałożono podejrzenie wysokiej opłaty za prąd. Oburzam się:

– Spisz stan licznika, oblicz ile jesteś winna „Stadtwerkem” i złóż zażalenie.

– Ależ koteczku, po co tyle zachodu, to na pewno ma swoją prawdziwość, może rzeczywiście cię tyle zużyłam.

Na stole pojawia się butelka czerwonego wina... i znika. Podążam za ciotką do kuchni.

– Zabrałaś przez przypadek butelkę.

– Ależ koteczku, jeszcze mi całą wypiją.

W środku wieczoru zjawia się ciociny pracodawca, pan inżynier Mueller. Na stole pojawia się nowa butelka, tym razem droższa o trzy marki i... nie znika póty brzuhaty jegomość nie wyłópie jej do dna. Ciotunia zapatrzona jest w swojego szefa. Z niemałą satysfakcją, Bóg mi wybaczy, steruje rozmową na okres przedwojenny.

– Hitler, no tak, straszna historia. Chociaż... zlikwidował bezrobocie, chuligaństwo. Pani tego nie przeżyła, ale myślny nie mogli wieczorami wychodzić. Taki panował rozbrój! Fuehrer wprowadził porządek. Dzięki niemu mogliśmy znowu spokojnie oddychać.

– A Żydzi? – Milczenie.

– No tak, ...ale o tym nie wiedzieliśmy, dopiero po wojnie, po wojnie wyszło wszystko na jaw...

– A „noc kryształowa”? Czy nie było żadnego żydowskiego sklepu w tej mieścinie?

Kuzyn i ciotunia próbują za wszelką cenę zmienić temat.

– Chwała Bogu mamy to za sobą. A propos, słyszeliście państwo nowinę? Maier się rozwiódł, ten polityk.

– Niemożliwe, miał kochankę?

– Widziała pani jak była ubrana na balu prasowym Heidi, no ta, „przyjaciółka” ministra...

– Rzeczywiście bez smaku.

– Widzieliście państwo już nowego Opla.

Wspaniały, prawda?

Časy przedwojenne wiszą nad ciocinym mieszkaniem niczym miecz Damoklesa. O wszystkim, tylko nie o tym!

– Przecież mieliśmy godzinę zerową!

Dwukrotnie jeszcze udaje mi się wspominać „stare czasy”. I każdorazowo sprawia mi to ogromną satysfakcję. A macie za wasze „heil”, za waszą milczącą aprobata, za krzywdy wyrządzone Polakom, Żydom...

Skąd bierze się we mnie tyle nienawiści? Przecież akceptuję mnie. Uważają za swojaka. Ale ja nie jestem Niemką! Jestem Polką, czuję się Polką. Jestem cudzoziemką w tym kraju. Prawie czterdzieści lat minęło od zakończenia II wojny światowej, a mnie wciąż zadaje się pytanie – dlaczego wyjechała pani do Polski?

Za karę zostałam „Asylbewerberem”. Jeśli zawsze miałam trudności ze swoją przynależnością narodową, to tutaj wyleczono mnie z tego problemu. Dzisiaj wiem, że jestem Polką, chcę nią być i zawsze nią pozostanę! Mnie przybysza z za „żelaznej kurtyny” cechuje inność, z której jestem dumna. Wychował mnie „człowiek Zachodu”, od najmłodszych lat poznawałam „jego” mentalność, obyczaje i doświadczenia. I nie potrafię ich zaakceptować. Może winna jest specyfika niemieckiego charakteru. Z radością stwierdzam, że nie tylko ja mam trudności z integrowaniem się w tutejszym środowisku. Krytykę mają młodszy i starsi Niemcy, amerykańscy dziennikarze, francuscy filozofowie, brytyjscy uczeni, tureccy „Gastarbeiterzy”, włoscy politycy, izraelscy pisarze, NRD-owscy prezydentury...

Dlaczego więc mnie, Polce zarzuca się niemożność integracji w tutejszym społeczeństwie? Czy jest ono rzeczywiście takim nadzwyczajnym, że aż godnym naśladowania?

Jedno nie daje mi w tych przemysleniach spokoju: jakim byłby Polak, żyjący od kilku pokoleń w systemie kapitalistycznym podobnym do praktykowanego na Zachodzie?

Czy nie jest przypadkiem tak, że człowiek zamknięty w klatce, żyjący za kolczastym drutem, zmuszony jest do rozwoju swej indywidualności, do obrony dóbr kulturalnych, do rozwoju swego intelektu; natomiast człowiek żyjący w wolnym świecie, niczym kasa sklepowa, przelicza wszystko na brzęczącą monetę?

Pluto



ZNACZKI
Z PODZIEMIA
do nabycia w redakcji
„Poglądu”, cena DM 3,-



JACEK KACZMARSKI

PIELGRZYMKA

Szli do stolicy chłopi w wielki głód,
Do Cara z prośbą i ze skargą szli.
I nieśli w darze pieśni, chleb i miód...
„Boże, Caria chrani!”

Przez Matkę Rosję szli srebrzystych brzoź
Gdzie Sankt Petersburg złotem kopuł lśni –
I Ojciec Wicher śpiew pokornie niósł:
„Boże, Caria chrani!”

I doniósł śpiew ten tam, gdzie czuwał Car
Nad pomyślnością ludu swego dni.
Przez okna komnat chłopski chór się wdął:
„Boże, Caria chrani!”

I chłostę kopyt brał pokornie grunt
Bez słowa skargi i bez jednej łzy,
Aż doszli tam, gdzie chłopski śpiewał bunt:
„Boże, Caria chrani!”

Przez chwilę słyhać było jeden chór,
A potem jeszcze komendę: „paszli!”
I się zaczęło garbowanie skór!
„Boże, Caria chrani!”

Bo wiedział Car, czego nie wiedział lud,
Gdy okna stolic drżą, bo ziemia drży,
Że co innego znaczy śpiew przez głód:
„Boże, Caria chrani!”

PRZYPOWIEŚĆ PRAWDZIWA O SZALIKU

Umierał towarzysz niedoli w Riazaniu,
Umierał w milczeniu, wszyscy wokół spali.
Dziesięciu leżało na jednym pościaniu,
Czekałem aż umrze, bo miał ciepły szalik.

Dostał go, gdy uciekł z obozu w Majdanku
I błądząc po lasach trafił do AK.
Nosił go wtedy jeden z partyzantów,
Którzy go znaleźli dziesiątego dnia.

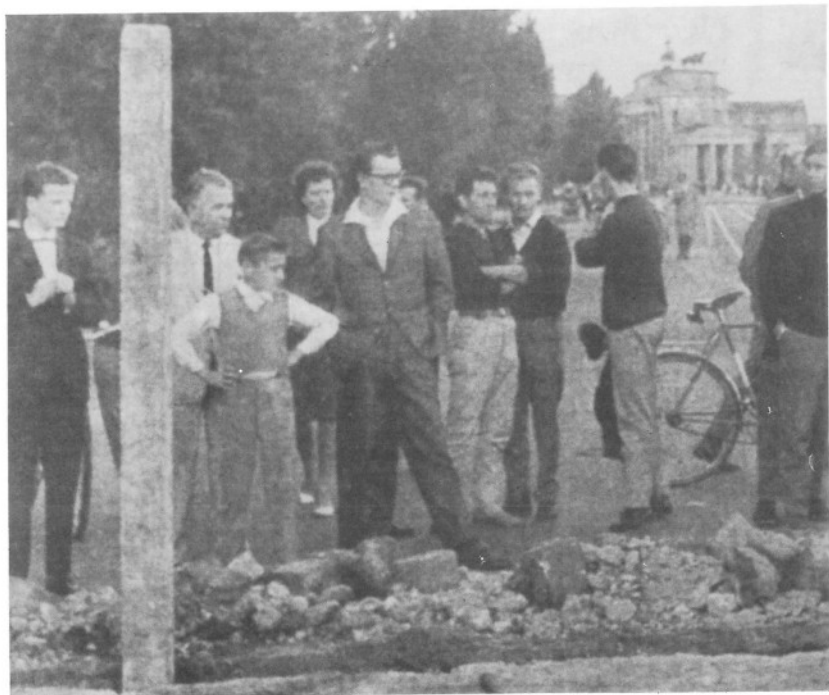
Ten partyzant zginął za Niemcem w pogoni,
Gdy front już się zbliżał i wschód łuną lśnił.
W partyzanckim spadku dostał szalik po nim
I broń, którą potem złożyć – rozkaz był.

W szaliku tym wzięli go wyzwoliciele
I zawieźli nocą na lubelski zamek.
Potem krótki etap i w godzin niewiele
Znowu się przed nim otworzył Majdanek.

Tam czekał na wyrok bez sądu, bez słowa
Czytając na ścianach swoje własne znaki.
Lecz inna strażników na wieżyczkach mowa
I nocą zimniejsze bywały baraki.

Co dzień swoją przyszłość czytał w dwóch kamykach:
Czarny – wschód, biały – to w Polsce zostanie.
Potrząsał je w dłoni i oczy zamykał:
Takeśmy się razem znaleźli w Riazaniu.

Czekałem, aż umrze, kiedy wszyscy spali
Trochę myśląc jak łatwo człek bez śladu znikną.
A potem przysnąłem. Wtedy go zabrali.
Rano widziałem trupa. Był już bez szalika.



Centrum miasta 13 sierpnia 1961 – Brama Brandenburska

Wszystko obraca się wśród słów i przypisywanych im znaczeń. Wedle Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN proces wznoszenia muru nazywa się po prostu murowaniem. Wedle Ericha Honeckera i *Neues Deutschland* proces wznoszenia muru to ratowanie pokoju i obrona przed faszystowską agresją. Ludzkość posiada umiejętność wznoszenia murów już od czasów prehistorycznych. Mury budowano w Mezopotamii, w starożytnym Egipcie, w Europie epoki brązu. Umiejętność stawiania muru przetrwać musiała przez wszystkie epoki, aż po realny socjalizm, by nabrać nowego wymiaru, by z budowlanej stać się czynnością polityczną, aktem planowania ideologicznomilitarnego, a nie po prostu konstrukcyjnego.

* * *

12 sierpnia 1961 roku amerykański reżyser filmowy Billy Wilder przyleciał do Berlina z Monachium. Następnego dnia rozpocząć się miały

Mur

zdzjęcia do nowej komedii filmowej autora „Mężczyźni wolą blondynki”, tym razem komedii politycznej. Mijały właśnie trzy miesiące od wiedeńskiego spotkania Kennedy’ego z Chruszczowem, które miało zakończyć okres zimnej wojny i Wilder postanowił swoim filmem przyczynić się do rozładowania napięć ideologicznych. Rolę główną objął Horst Buchholz. W planie zdjęciowym, jako pierwsza scena przewidziany był przejazd Buchholza pod Bramą Brandenburską na motocyklu z przyczepą. Do przyczepy miał być



„Każdy obywatel ma prawo wywędrować”
Art. 10 § 3 Konstytucji NRD

uwiązany balon z napisem „Russki 'go home”. W pokoju hotelowym Wilder poprawiał jeszcze scenariusz, nad którym pracował od maja.

Realizację miał rozpocząć 13 sierpnia. Tego samego dnia miano rozpocząć też realizację innego scenariusza, uzgodnionego trochę wcześniej, w marcu 1961 roku na Kremlu, podczas spotkania państw-członków Układu Warszawskiego. Jeden scenariusz miał uniemożliwić realizację drugiego.

Realizację tego kremłowskiego powierzono 63-letniemu marszałkowi Iwanowi Stepanowiczow-

wi Koniewowi, byłemu dowódcy zjednoczonych sił zbrojnych Układu Warszawskiego, odesłanemu z początkiem roku 1961 w stan spoczynku i niespodziewanie w siedem miesięcy później mianowanemu głównodowodzącym grupy wojsk radzieckich w NRD.

Koniew, w okresie bitwy nad Dnieprem, w 1943 roku powiedział:

„Miasto jest jak pień drzewa. Odetnijcie mu korzenie dróg dojazdowych i miasto upadnie.”

Pierwszy rozkaz Koniewa na nowym stanowisku brzmiał – gotowość bojowa wojsk radzieckich, jedna dywizja pancerna i jedna dywizja artylerii wmaszerowują w obszar Berlina.

13 sierpnia o godzinie 3. 53 agencja prasowa DPA doniosła: „Volkspolizei rozciąga zaskieki z drutów kolczastych.”

Kiedy meldunek dotarł do redakcji rozgłośni radiowych i czasopism newralgiczne punkty na granicy między obu częściami miasta były już zamknięte. Bojowe grupy robotnicze i oddziały

policii ludowej rozpoczęły zrywanie nawierzchni ulic pod fundamenty muru.

* * *

Do 13 sierpnia 1961 roku przez 81 otwartych przejść między sektorami zachodnimi a sektorem sowieckim przechodziło codziennie ponad 100 tysięcy osób. Około 50 tys. mieszkańców Berlina Wschodniego pracowało w Berlinie Zachodnim. Po terenie całego miasta można było się poruszać wspólnymi dla wszystkich sektorów — metrem i kolejką miejską.

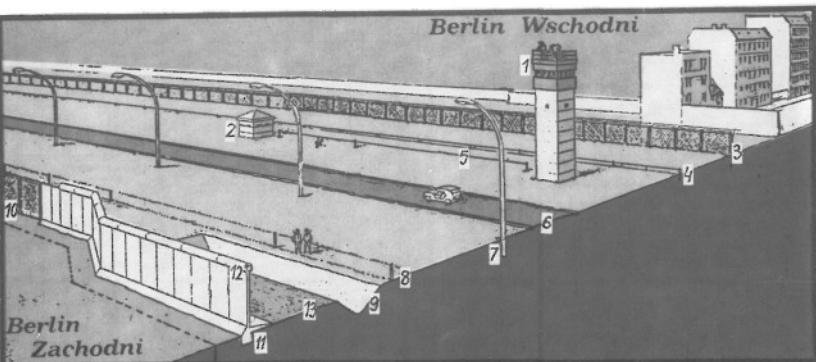
Niektórzy z przechodzących i przejeżdżających na stronę zachodnią już nie wracali. W 1958 roku wywedrowało z NRD na Zachód 200 tys. osób, w 1959 — prawie 150 tys., w 1960 znów 200 tys. Pierwsze miesiące roku 1961 przyniosły taką falę uchodźców, że liczone się z przybyciem do Niemiec Zachodnich w ciągu całego roku 300 tys. Niemców ze Wschodu. Oblicza się, że do czasu wybudowania muru NRD opuściły 4 miliony mieszkańców. Krajowi groziło wyludnienie i brak rąk do pracy.

W czerwcu 1961 roku podczas konferencji prasowej ówczesny przywódca NRD Walter Ulbricht powołując się na tzw. ultimatum berlińskie z roku 1958 oraz na groźby Chruszczowa podpisania przez Związek Sowiecki odrębnego traktatu pokojowego z NRD zapowiedział zamiar przekształcenia Berlina Zachodniego w „wolne miasto”. Zapytany przez dziennikarkę *Frankfurter Rundschau*, Annemarie Doherr, czy utworzenie wolnego miasta będzie oznaczać równocześnie ustanowienie oficjalnej granicy państwowej w Bramie Brandenburskiej, Ulbricht odpowiedział dosłownie:

„Rozumiem to pytanie tak, że istnieją w Niemczech Zachodnich ludzie, którzy pragnęli-
by, żebyśmy zmobilizowali robotników budowl-

Mur jest stale udoskonalany





1. 295 wież strażniczych; 2. 43 bunkry; 3. Ogrodzenie alarmowe (125,1 km); 4. Zasięg-pułapka wyzwalający petardy świetlne; 5. 243 wybiegi dla psów; 6. Droga dojazdowa (124 km); 7. Oświetlenie; 8. Najdalej wysunięty punkt, do którego dochodzi patrol straży granicznej; 9. Rów zaporowy dla pojazdów (108 km) lub czołgów (4,2 km o głębokości do 5 m); 10. Siatka metalowa (56,6 km); 11. Ściana betonowa ((111,2 km); 12. Rury betonowe; 13. Zaorany pas kontrolny (piasek).

Widok muru przed wysadzeniem kościoła



Po usunięciu przeszkody utrudniającej obserwację...





Mur przecina Bernauer Strasse

nych Berlina Wschodniego do wystawienia muru, prawda? Nic mi nie wiadomo, by istniał taki zamiar...”

Tymczasem zamiar był już w stadium realizacji.

13 sierpnia miał być dniem wykonania wyroku na miasto. Trzy sektory zachodnie otoczono murem długości bez mała 168 kilometrów, przeci-

Pierwszy żołnierz z Volksarmee wybiera wolność...





Jedna z ofiar muru... dopiero po 50 minutach, kiedy uciekinier wykrwauił się zabrano zwłoki

nającym 193 ulice, przerywającym 10 linii kolejowych i tramwajowych, dwie linie metra, oddzielającym domy od chodników, rozdzierającym więzy rodzinne i sąsiedzkie.

Symboliczne krzyże w pobliżu Reichstagu przypominają o liczbie ofiar muru...



Budowa muru zresztą nigdy się nie skończyła, jest on wciąż modernizowany i udoskonalany, wedle projektów, których przydatność wypróbowywana jest na poligonie National Volksarmee w Jueteborg. Czterokrotnie przebudowywano już mur, stopniowo wyburzając wszystkie budynki stojące na terenie pasa granicznego. W 1985 roku wysadzono w powietrze ostatnią pamiątkę po normalnym życiu miasta — opustoszały kościół między zonami, który utrudniał ponoć pole obserwacji i ostrzału wartownikom granicznym NRD.

* * *

Ucieczki przez mur rozpoczęły się właściwie już w momencie rozwijania pierwszych zwojów drutu kolczastego. Przeskakiwano przez rozbudowywane instalacje graniczne w panice i przeczuciu, że dzieje się coś nieodwracalnego. W pierwszym roku istnienia uciekło przezeń 20 tys. osób, w tym 500 żołnierzy straży granicznej NRD. Padły też pierwsze śmiertelne ofiary muru. Gdy 14 maja 1962 roku Walter Ulbricht mówił:

„Niektórzy powiadają, że wystawiliśmy w Berlinie mur. To jest nieporozumienie. W Berlinie istnieje normalna granica.”

...ta normalna granica pochłonęła już wówczas 41 istnień ludzkich. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych RFN jak i berlińskie Muzeum Muru

Jerzy Hoffmann

Berlin:

Graniczne miasto niezwykły jubileusz

mieszczące się przy międzynarodowym przejściu granicznym zwanym popularnie Checkpoint Charlie prowadzą ścisłą dokumentację dotyczącą zarówno ucieczek jak i ofiar muru. Catego muru, bo przecież mur berliński jest tylko fragmentem umocnień na granicy między Wschodem a Zachodem. Otóż ucieczka powiodła się jak dotąd prawie 39 tys. osób. Ostatnio 15 sierpnia powiodło się to dwóm wschodnioniemieckim żołnierzom straży granicznej.

Oblicza się, że próbę ucieczki podejmowano 200 tys. razy — tak przynajmniej informują władze wschodnioniemieckie podając, że tylekroć naruszona została granica NRD. Źródła zachodnioniemieckie natomiast stwierdzają, że w około 2 tys. udokumentowanych przypadków strzelano do uciekinierów. Przynajmniej w 184 przypadkach strzelano celnie zabijając uciekinierów. Aresztowano około 3 tys. osób. Liczba rannych nie jest znana.

* * *

Sztuka wznoszenia murów jest znana ludzkości od czasów prehistorycznych. Zawsze jednak mury — świątyni, domów mieszkalnych, sal koncertowych, teatrów, muzeów — wznoszono, by łaczyły. Ten jeden tylko — może za wyjątkiem Muru Chińskiego — postawiono, by dzielił. Wysokiego, budowlanego kunsztu, nowoczesnych technologii użyto nie po to, by przedzielić miasto na pół — użyto, by dzielić ludzi, społeczeństwa, kultury. Mur musi runąć, ale nie łudźmy się, że chodzi o to, by runął jako budowla.

On musi runąć jako idea.

Muzeum Muru przy Checkpoint Charlie



W przyszłym roku Berlin obchodzić będzie 750-lecie swego istnienia i już w tej chwili trwają przygotowania do jubileuszu — wiele imprez o międzynarodowym charakterze uświetni 750 urodziny tego granicznego miasta, wiele wskazuje na to, że Berlin znajduje się w centrum zainteresowania światowej opinii publicznej, nie mówiąc już o powodzi turystów.

W sierpniu obchodził jednak Berlin inny jubileusz, bardzo osobliwy, smutny raczej i skłaniający do poważnych refleksji ogólniejszej natury. Równy 25 lat liczy sobie już bowiem tzw. *berliński mur* — wzniesiona w nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 roku, jedyna w swoim rodzaju na świecie monstrualna budowla dzieląca miasto, barbarzyńska i śmiertelna granica dla jednych, ponura turystyczna atrakcja dla innych. W oficjalnym języku wschodnich Niemiec mur określany jest mianem „antyfaszystowskiego wału ochronnego”. Nam fortyfikacje tego „wału” przypominają do złudzenia obrazy z dawnych koncentracyjnych obozów — wieże strażnicze z uzbrojonymi po zęby wartownikami, krążące po specjalnych wybiegach psy gończe, precyzyjne urządzenia alarmowe. Wszystko to budzi niewątpliwie wstręt i przynajmniej trzeba, że trudno o lepszy symbol istotnego charakteru „realnego socjalizmu”. Mur nie ostanął komunizmem, ale go obnaża.

Do jubileuszu muru przygotowywano się bardzo starannie; mimochodem tylko wspomnę o aferze, która nieomal w przeddzień rocznicy przyćmiła nieco jubileuszowe uroczystości. Mowa o brawurowej, rzekomej ucieczce obywatela wschodniego Berlina, któremu jakoby udało się w sowieckim mundurze i w towarzystwie tak samo ubranych wystawowych manekinów przejechać przez przejście graniczne przy Invalidenstrasse. Sprawie nadano ogromny rozgłos. Po dwóch dniach okazało się, że jej bohater jest zwykłym cwaniakiem i oszustem.

O całej aferze zapomniano jednak dość szybko, rocznicowe imprezy posypały się niebawem jedna za drugą, a z uwagi na przypadający week-

RECENZJE OMÓWIENIA POLEMIKI

Krzysztof Szatkowski

Nowa książka Brzezińskiego*

Zbigniew Brzeziński był za prezydentury Jimmy Cartera doradcą prezydenta d/s bezpieczeństwa państwa, lecz jego ostatnia książka *Plan gry* jest wyraźnym odejściem od strategii demokratów i zgadza się z opcją administracji Reagana. Reagan zresztą osobiście zaprosił Brzezińskiego do Białego Domu, aby pogratulować mu wydania książki. Podobnie Caspar Weinberger oraz republikański senator Richard Lugar wystosowali do Brzezińskiego listy z gratulacjami.

Ten rozgłos nikogo w Waszyngtonie nie dziwi. Brzeziński przedstawia w swej książce Związek Sowiecki jako ekspansjonistyczne imperium, które dąży do osiągnięcia przewagi militarnej nad Stanami Zjednoczonymi i przez ostatnich dwieście lat podporządkowuje sobie rocznie terytorium równe obszarowi obecnej Holandii. Rosjanie już rozbudowali swoje imperium od Berlina po Wyspy Kurylskie i zdają się zmierzać do neutralizacji reszty Europy poprzez skłonięcie Ameryki do zlikwidowania swoich europejskich baz. Amerykanie mogą pokrzyżować zamiary Rosji jedynie poprzez osłabienie jej siły militarnej. Rosjanie mają obecnie przyniatającą przewagę w broni konwencjonalnej i gdyby byli w stanie osiągnąć przewagę pierwszego uderzenia przeciw amerykańskim pociskom strategicznym, mogliby całkiem bezkarnie prowadzić dalsze batalie.

* „Game plan: A Geostrategic Framework for the Conduct of the U.S. – Soviet Contest”, *The Atlantic Monthly Press*, s. 288

Brzeziński w swej książce podaje kilkanaście możliwych wariantów politycznego i militarnego działania, lecz następujące cztery są jego zdaniem najważniejsze:

1. Ograniczenie stanu ofensywnej broni nuklearnej (pociski strategiczne dalekiego i średniego zasięgu) do takiej ilości, aby ewentualnie pierwsze uderzenie mogło być w pełni skuteczne oraz zabezpieczenie tej broni poprzez system obrony strategicznej (rozwoj programu tzw. „gwiazdnych wojen”).

2. Wycofanie jednej trzeciej amerykańskich wojsk z Europy i wykorzystanie zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy na rozbudowanie tzw. „sił szybkiego reagowania” w celu obrony rejonu Zatoeki Perskiej oraz Pakistanu.

3. Daleki Wschód uważa Brzeziński za rejon najbardziej bezpieczny. Dlatego Ameryka powinna starać się skłonić Japonię do zaniechania planu rozbudowy swoich sił militarnych i skierowania raczej swoich wysiłków na rozbudowę gospodarki w takich strategicznych miejscach jak Egipt, Pakistan oraz Ameryka Środkowa.

4. Zatrzymać tzw. „czwarty front” amerykańsko-sowieckiej konfrontacji poprzez zapewnienie co najmniej neutralności Nikaragui i skłonięcie Meksyku do przeprowadzenia nieodzownych re-

Zbigniew Brzeziński CZTERY LATA W BIAŁYM DOMU

Wspomnienia



POLONIA

form politycznych i ekonomicznych. Jeśli bowiem w Meksyku dojdą do głosu inspirowane przez Moskwę siły komunizujące, przestraszona Ameryka może zignorować trzy pozostałe fronty w Europie i Azji.

Brzeziński obawia się przy tym, że Reagan może przeczyc nadarżającą się aktualnie okazję. Popularność Reagana jest obecnie tak duża, iż może on z powodzeniem zrealizować plan ekonomicznego rozwoju Meksyku, zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie oraz kontynuowania projektu obrony strategicznej. W innym wypadku następcą Reagana miałby wielkie kłopoty z rozwiązaniem wszystkich tych problemów, a Moskwa – rzecz jasna – tylko by na tym skorzystała.

(za tygodnikiem *Newsweek*) ■

Jerzy Hoffmann

Umieranie Willy Lomana

Arthur Miller napisał w 1949 roku sztukę teatralną o umieraniu. Bardzo dramatyczną i piękną sztukę. Utworów scenicznych o podobnej tematyce jest wiele, ten jednak posiada szczególną, przejmującą wymowę, od lat zachowując też świeżość i nie starzejąc się. „Śmierć komiwojażera” grają wciąż jeszcze teatry na całym świecie, jeżeli mają tylko aktora, który potrafi zagrać rolę wyrzuconego za burtę człowieka, starzejącego się i coraz mniej potrzebnego. I mogą liczyć na powodzenie.

Materialiści widzieli zawsze w tej sztuce fiasco tzw. „american dream” i obnażenie prawdziwego oblicza wielkiego kryzysu kapitalizmu w Stanach Zjednoczonych w latach 30-tych. Idealiści pragnęli odczytać w ostatnich godzinach życia Willi Lomana metafizyczne prawdy, egzystencjaliści z kolei odnajdywali tu potwierdzenie swych tez o labiryncie i niemożności przekroczenia zakłętą kręgu własnych losów. Willi Loman umierał zatem setki razy na deskach scenicznych i to w różnych sposób, ale tak naprawdę tylko od możliwości i talentu grającego tę rolę aktora zależało, czy sztuka uzyska wymiar tragiczny i ogólny. Dramat starzejącego się bowiem, coraz mniej przydatnego innym i sobie człowieka był, jest i będzie zawsze

aktualny i wiarygodny niezależnie od tego, w jakim systemie mniej czy bardziej doskonalym się go umieści – wiedzieli o tym starożytni, wiedział Szekspir.

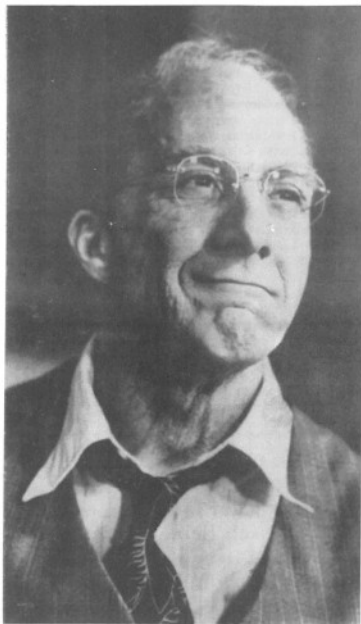
„Śmierć komiwojażera” doczekała się w końcu wersji filmowej. Od pewnego czasu możemy ją oglądać także na ekranach naszych kin, a losy powstania tego filmu są ciekawe i związane z osobą Dustina Hoffmana, jednego z najbardziej interesujących aktorów naszych czasów, że warto i o tym przy okazji wspomnieć. Ten wielostronny i niezwykle artysta pragnął zagrać komiwojażera Lomana i marzył o tym od 25 roku życia. Rozpoznając podobno w Willim i Lindzie Loman swych własnych rodziców. Ojciec Hoffmana był przedstawicielem firmy meblowej w Chicago, jego matka cierpiała z nim i przez niego 30 lat. Obrazy z dzieciństwa i młodości musiały być rzeczywiście niezwykle silne i przejmujące skoro postać sztuki Millera tak bardzo fascynowała i niepokoiła aktora.

Dustin Hoffman zdawał sobie jednak dobrze sprawę z faktu, jak bardzo teatralny jest ten utwór, a ponieważ od 16 lat nie występował już na scenie, namówił wytwórnę telewizyjną i filmo-



wą CBS na sfinansowanie przedstawienia teatralnego z prawem wyprodukowania wersji telewizyjnej i sfilmowania, jeżeli inscenizacja i jego rola spodoba się widzom. Sukces przerósł oczekiwania. Przedstawienie zagrano 250 razy w Chicago i Waszyngtonie, wreszcie od 1984 roku wystawiano także tę inscenizację na Broadwayu. Hymny pochwalne dla sztuki, dla zespołu, przede wszystkim dla Hoffmana. Zaczęto zatem zastanawiać się z kolei nad sposobem adaptacji filmowej; w teatrze z publicznością? W warunkach naturalnych a la cinema verite? Czy jako wersję studyjną, pomyślaną specjalnie dla kamery? Zakulisowa anegdota mówi o tym, że właśnie wtedy przyjechał do Nowego Jorku niemiecki reżyser Volker Schlöndorff, którego nota bene Dustin Hoffman wziął pomyłkowo

za reżysera „Mefista”, który to film bardzo mu się podobał. Powiedziano mu, że niemiecki reżyser jest twórcą innego Oscarowego laureata — chodziło o „Błaszany bębnek”. Tego filmu wprawdzie Hoffman nie znał, zainteresował się jednak bliżej osobą Schloendorffa. Poznali się, polubili i porozumieli. Zarówno Hoffman jak i autor sztuki Miller byli zresztą od początku podobno przekonani, że tylko europejski reżyser znajdzie odpowiedni dystans do tego amerykańskiego par excellence tworzywa literackiego, co uchronić miało film przed banalnym i płytkim realizmem charakteryzującym produkcje amerykańskie oraz właściwie przetworzy to, co Arthur Miller czerpie w swej literaturze z inspiracji antyku czy niemiec-



kiego ekspresjonizmu wzbogaconego o doświadczenia współczesnego filmu.

Z harmonijnej współpracy trzech utalentowanych osób powstał film, który zachowując wszystkie walory teatralnego pierwowzoru odświeża go jednak i w zadziwiająco udany sposób przylega do tego, co w dzisiejszym świecie aktualne,



bolesne i ważne. Odnajdujemy w nim problemy ludzi, którzy pozbawieni pracy okłamują siebie i swoich najbliższych bajkami o dalszych zawodowych sukcesach; ludzi, których usuwa się jako starych i nieprzydatnych na margines życia; fikcję rodziny i przestarzałego patriarchy, konflikty między starym i młodym pokoleniem. Nie przestając być bardzo amerykańską, wersja filmowa uzyskała wymiar uniwersalny. Z ekranu patrzy na nas smut-



na, mimo że do ostatniej chwili sztucznie uśmiechnięta twarz Dustina Hoffmana – wyrzuconego na śmietnik podróżyującego akwizytora, uosabiającego nędzę ludzkiej egzystencji.

Sukces tego filmu, który pokazano już na festiwalach w Wenecji, Deauville i Toronto, to sukces tego niezwykłego aktora. Jeszcze niedawno bawił nas i rozśmieszał jako Tootsie. Teraz prezentuje pełne i wyraziste studium przegranego, historycznego, agresywnego, a jednocześnie tragicznie bezbronno męczyzny na pograniczu psychopatii.

Umieranie Willi Lomana w kinie to nie tylko artystyczna satysfakcja dla filmowego widza, to także szansa do zadumy nad nieuchronną sprawą starości, związanej z nią samotności i tragicznych kolei ludzkiego losu. Przez 134 minuty kinowego czasu Dustin Hoffman nie schodzi prawie z ekranu, przedstawia człowieka uciekającego od niepowodzeń, upokorzeń i porażek w świat mitomanii i złudzeń, zmusza nas jednocześnie, abyśmy pomyśleli o sprawach, o których na codzień staramy się nie myśleć.

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

Nazwiska ofiarodawców będziemy publikować.

Wpłaty prosimy kierować na konto:
„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”
Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr 122 001 238 2
BLZ 100 500 00
Postcheckkonto
586 90-102
BLZ 100 100 10
Postcheckamt
1000 Berlin (West)

Na „Solidarność” w Kraju
1. J.C. Austria DM 30.-
2. Lidia Orłowska, Jarosław Betlej, Hagen DM 30.-
3. Andrzej Zapart, Tolik (po raz czwarty) DM 20.-

Na Towarzystwo „Solidarność”
1. Dariusz Jabłoński, Australia DM 160.-
2. Beziemiennie z Berlina DM 48.-
3. Marek Kajkowski, Bad Waldsee DM 40.-
4. Marek Szkudlarek, Gelsenkirchen DM 10.-
5. Irena Joško DM 20.-
6. Iwona Olszewska DM 20.-
7. Olga Kniaziewicz DM 20.-
8. Jarosław Betlej, Hagen DM 20.-
9. Lidia Orłowska, Hagen DM 20.-
10. Eugeniusz Królak, Kulmbach DM 30.-
11. Jerzy Świerkula, Kiel DM 10.-
12. Beziemiennie, USA dol. USA 20.-

kontakt



MIESIĘCZNIK REDAGOWANY PRZEZ CZŁONKÓW I WSPÓŁPRACOWNIKÓW NSZZ SOLIDARNOŚĆ

W **Kontakcie** m.in.: ■ „Dlaczego Polacy nie pojmują ludzi Zachodu?” J. Holzer ■ „W co wierzy Zachód?” K. Popper ■ „Komunizm jako formacja kulturalna” L. Kołakowski ■ „Tego się już nie da zlikwidować” – rozmowa z działaczem podziemia ■ „W lasach Łemkowszczyzny” – wspomnienia strzelca UPA ■ „Czesi nie widzą wyjścia” – rozmowa z Tomskym ■ „Co się stało z Niemcami?” S. Krupiński ■ „Emigracja” E. Bienkowska ■ „Ciągłość oddechu” J. Czapski ■ „Kadafi, Ameryka, Europa, czyli gdzie, kto, kogo ma?” W. Grotowicz ■ numery monograficzne: Węgry, Afganistan, Chiny, Bałkany...

Pismo do nabycia w polskich księgarniach na Emigracji lub bezpośrednio w Redakcji: **Kontakt**, 42, rue Raymond Marcheron; 92170 Vanves; France; tel.: (1) 46 45 87 16

W cieniu Kremla

Andrzej Strzałkowski

Gorbaczow jest OK

„Gorbaczow jest OK” – powiedział w wywiadzie dla amerykańskiego tygodnika *Newsweek* (30. 06. 86) Andriej Wozniesiński, sowiecki poeta zaliczany do „młodych gniewnych” (czytaj: „rozsądnie gniewnych”), dzisiaj zaś, podstarzały i upupiony.

Wozniesiński stwierdził, że zdecydowanie zmienił się „klimat artystyczny” w Związku Sowieckim: „Ostatnio napisałem bardzo ostry wiersz o wielu okropnych rzeczach w naszym kraju. Dwa lata temu nie można było nawet myśleć o opublikowaniu go. Teraz – uważam – jest to możliwe. W tym roku zamieściłem kilka wierszy i dwa artykuły, które z pewnością nie zostałyby opublikowane dwa lata temu. Nasz kraj nie jest już społeczeństwem jednokolorowym. Jestem przekonany, że ludzie wysoko postawieni zmienili swój sposób myślenia. Gorbaczow jest OK. Chce zrobić coś nowego.”

Zapytany, czy pisanie i publikowanie krytycznych artykułów przynosi jakieś praktyczne efekty, Wozniesiński odpowiada: „Gazety i czasopisma są bardzo dla nas ważne. Marc Chagall urodził się w Witebsku. W centrum miasta jest szereg historycznych budynków. Władze miasta postanowiły te budynki zburzyć i postawić coś idiotycznie nowego. Napisałem list do prasy, mówiąc, że zbrodnia jest burzyć stare budynki i otrzymałem z Witebska odpowiedź, że przestraszone władze natychmiast odstąpiły od swojego projektu. (...) W Rosji literatura, słowo pisane – mają wielką wagę.”

Jak wielką wagę przywiązują władze sowieckie do słowa pisane, dowiedział się nie tak dawno ekonomista Lew Timofiejew, który za krytyczny artykuł o sowieckiej gospodarce skazany został na 6 lat łagrów i 5 lat zesłki. Wozniesiński zdaje się o tym nie pamiętać i twierdzi, że „rząd rozumie teraz, iż konserwatywny sposób myślenia w przeszłości zastopował gospodarkę i doprowadził Rosję do zastoju.”

Być może niedługo Stefan Bratkowski będzie mógł również powiedzieć, że „Gorbaczow jest OK”. Poinformował on ostatnio agencję UPI, że złożył w ambasadzie sowieckiej w Warszawie list do tow. Gorbaczowa i dodał, że ma pewne informacje, iż adresat list ten otrzymał. W liście

Bratkowski prosi o dotrzymanie układów jałtańskich, przewidujących przeprowadzenie w Polsce wolnych wyborów oraz gwarantujących suwerenność Polski. Bratkowski uznał, że „polityka Moskwy rodzi u Polaków nienawiść do Związku Radzieckiego i jeżeli sytuacja tego rodzaju nie ulegnie zmianie, to nienawiść ta przejdzie w przyszłym stuleciu na następne pokolenia Polaków”. Jak stwierdził Stefan Bratkowski, „naród polski nie zrezygnował ze swych dążeń do wolności” i ostrzegł, że „następne pokolenia mogą uciec się do wszelkich środków, aby ją uzyskać”.

Jakich środków użyje Gorbaczow i oddani mu ludzie w Warszawie wobec Bratkowskiego – zobaczymy. Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że Gorbaczow okaże się OK. ■

Wolność słowa w Związku Sowieckim

Szukający i symboliczny w swej wymowie był już sam początek ostatniego zjazdu pisarzy sowieckich, który odbył się pod koniec czerwca br. Zjazd otworzył dotychczasowy sekretarz Związku Pisarzy, weteran ery Breżniewa, Georgij Markow, domagając się „sięgnięcia do twórczych rezerw realizmu socjalistycznego”. Nie zdołał jednak odczytać nawet ćwierci swego obliczonego na dwie godziny przemówienia, gdy upadł na podium i został wyniesiony. Trudno wyobrazić sobie lepszą inscenizację: stare odchodzi – przychodzi nowe! Podczas gdy Markow w jednej z moskiewskich klinik dochodził do siebie po ataku serca, jego kolezdy po piórze przejęli mikrofon. Równie szokujący mógł się wydać temat ich dalszej dyskusji: system cenzury, ograniczenia i biurokratyczna kontrola determinująca życie literackie w ZSSR oraz możliwości zmian na lepsze.

Powiew odwilży wyczuwalny był już przed zjazdem. Oto tygodnik *Ogoniok* wprowadził w osłupienie swoich czytelników publikując wiersz Nikołaja Gumiłowa, poety rozstrzelanego w 1921 r. za działalność kontrrewolucyjną. Oto znany rzeźbiarz Ernest Niezwiestnyj mieszkający obecnie w Nowym Jorku poinformował, że zaproponowano mu, aby „wrócił do domu”. Podobne propozycje otrzymali inni artyści przebywający na emigracji: reżyser telewizyjny Jurij Lubimow, pisarz Wiktor Niekrasow oraz reżyser filmowy Andriej Tarkowskij. Jednak to, co zdarzyło się na zjeździe, przeszło do najsmielsze oczekiwania. Jewgienij Jewtuszenko wystąpił z petycją podpisaną przez 40 pisarzy domagającą się, aby „dacze”, w której mieszkał Boris Pasternak – laureat nagrody Nobla zmarły w 1960 roku w nielaskawych

sowieckich — przeznaczyć na muzeum pisarza. Z kolei propozycja Andrieja Wozniesińskiego wydania dzieł zebranych Pasternaka (łącznie z powieścią *Doktor Żiwago* opisującą czasy Rewolucji Październikowej, za którą przyznano Pasternakowi literacką nagrodę Nobla w 1958 roku) spotkała się z gorącym przyjęciem delegatów. Na konferencji prasowej Jewtuszenko powiedział: „Nie będziemy w stanie rozwiązać naszych aktualnych problemów, jeśli nie powiemy wcześniej całej prawdy o przeszłości.”

A zatem: odwiłz na całej linii. Wszystko po myśli Gorbaczowa, który wcześniej apelował o „otwartość i demokrację” w życiu sowieckim. Otwartość tym większą, że po katastrofie w Czernobylu właśnie tej otwartości zabrakło i odżyły stare odruchy chowania głowy w piasek i wypinania innej części sowieckiego ciała. Wszystko obliczone na tych, którzy wcześniej wierzyli w „ludzkie oblicze sowieckiego komunizmu” i stracili nagłe swe argumenty.

Osobiście wątpię, abyśmy mogli doczekać czasów, gdy na półkach księgarskich w Moskwie czy Władywostoku będzie można znaleźć *Archipelag GULAG*, czy choćby niewinną bajeczkę Orwella *Folwark zwierzęcy*. I wątpię również w spontaniczność Jewtuszenki czy Wozniesińskiego, gdyż tylko wariat w Związku Sowieckim wygłosi jakąś kontrowersyjną opinię nie uzgodnioną z tym uprzednio z odpowiednimi władzami. A wariaci są tam dokładnie od zdrowego społeczeństwa odizolowani. ■

Stanisław Gałęziowski

Czy w Rosji Sowieckiej powstanie DiP?

W połowie lipca dotarł na Zachód 22-stronicowy manifest sowieckich krytyków reżymu pod tytułem „Do Obywateli Związku Sowieckiego”. Podobnie jak opracowania polskiego konserwatorium „Doświadczenie i Przyszłość” manifest podaje analizę gospodarkę Związku Sowieckiego w ostatnim okresie, ocenia sytuację polityczną oraz wysuwa propozycje zmian na przyszłość. Przywieziony na Zachód przez korespondenta dziennika *Guardian* Walkera manifest nosi datę 21 listopada 1985 r. Jego autorzy są do dzisiaj nieznanymi, choć hamburski magazyn polityczny *Der Spiegel* (nr 40, 4. 08. 86) sugeruje, że są oni „młodymi ekonomistami, socjologami i historykami”. Wysłałi oni manifest do redakcji gazet i czasopism, do organów partyjnych, w tym również do rządu so-

wieckiego, zapowiadając, że ujawnią swoje nazwiska, o ile władze zdecydują się na opublikowanie dokumentu. Do dzisiaj władze sowieckie nie zajęły żadnego stanowiska, abstrahując od wypowiedzi wiceszefa agencji *Nowosti* i redaktora naczelnego czasopisma *Moscow News* Genadija Gerasimowa (55 lat), który powiedział: „Muszę stwierdzić, że (manifest — przyp. red.) jest prowokacyjny i antysocjalistyczny, bowiem kwestionuje rolę przywódczą KPZS”. I rzeczywiście, najistotniejsze — również dla redaktora Radia „Swoboda” pani Fiedosiejewej z Monachium — są polityczne żądania autorów: wolności zakładania alternatywnych organizacji w stosunku do oficjalnie istniejących (w tym również partii), wolności słowa, a więc likwidacji cenzury oraz zaprzestanie represji politycznych. Jednym słowem w manifeste wysuwa się żądanie wprowadzenia pluralizmu polityczno-społecznego.

Autorzy uważają się za socjalistów oraz sowieckich patriotów, domagają się reform w trosce o stan i przyszłość swojej sowieckiej ojczyzny. Dla mnie są oni niewątpliwie „wielkorosyjskimi” patriotami, bowiem w pierwszej linii nie idzie im o to, że wzdłuż i wszerz Związku Sowieckiego grasuje nędza i że nawet ziemniaki podlegają reglamentacji. Przede wszystkim obawiają się tego, że zwiększy się dystans między Związkiem Sowieckim i wiodącymi krajami przemysłowymi oraz nastąpi zmiana istniejącego między Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi parytetu militarnego na korzyść USA, co rzekomo może spowodować zwiększenie niebezpieczeństwa wojny dla ich kraju. Autorzy zauważają, że nastąpiło już osłabienie międzynarodowych pozycji Związku Sowieckiego oraz wyrażają obawę, iż Związek Sowiecki przekształci się w „drugorzędne mocarstwo”. Obawiają się, że nastąpi również zwiększenie się sprzeczności między członkami — jak się wyrażają — tzw. „socjalistycznej wspólnoty” oraz rozpad „światowego systemu socjalistycznego”. Jednocześnie chodzi więc autorom o to, aby Związek Sowiecki utrzymał wymykającą mu się przodującą pozycję w świecie i również w „obozie socjalistycznym”. Pozycje te — wg. autorów manifestu — Związek Sowiecki może zapewnić sobie poprzez zmiany polityczne i gospodarcze. Projekty zmian gospodarki proponowane przez autorów manifestu nie idą daleko. Można je przyrównać do NEP-owskiego programu Lenina z lat 1921-1929. Autorzy manifestu reprezentują założoną przez nich organizację „Ruch Socjalistycznej Odnowy” i publikację manifestu uważają za pierwszy krok w swojej działalności, mającej na celu „zabezpieczenie narodowi sowieckiemu politycznych wolności oraz ekonomicznego rozkwitu”.

Redaktor Fiedosiejewa z Radia „Swoboda” w pojawieniu się tego tekstu nie widzi żadnych

oznak pozwalających na przypuszczenie, że w wewnętrznej polityce Związku Sowieckiego coś się zmieni. Żądania zmian gospodarczych czy też zmian politycznych były wysuwane już dawno, począwszy od lat 60-tych przez różne „grupy socjalistycznych odnowicieli” czy też dysydentów, żeby tylko wspomnieć Sacharowa czy historyka Miedwediewa.

Faktu, że autorów manifestu nie dotknęły dotychczas prześladowania ze strony KGB, nie należy zawdzięczać temu, że Gorbaczow „odnowiciel” – jak nazywa go *Der Spiegel* – i jego organy KGB okazały się łaskawe. Autorzy manifestu są po prostu nieznanymi. Jeżeli nawet ich manifest, w którym otwarcie mówią o bolączkach sowieckiego państwa, np. o alkoholizmie, czy zadłużeniu na Zachodzie w wysokości 30 miliardów dolarów, należy przyjąć za pozytywną próbę ukazania drogi do wyjścia z impasu, to z góry można założyć, że przyczyni się on tylko w niewielkim stopniu do rozszerzenia dyskusji na temat stanu Związku Sowieckiego na szersze kręgi społeczeństwa. Mógłby on być wyzwaniem dla sowieckiego rządu, gdyby został podpisany przez znanych naukowców, ekonomistów, socjologów czy też publicystów, którzy tak jak kiedyś w Polsce w „Liście 34” mieli by dosyć odwagi, aby z otwartą przyłbicą bronić swoich poglądów. Jak widać Związek Sowiecki nie osiągnął jeszcze wewnątrzpolitycznie polskiego roku 1976. ■

Stanisław Sobolewski

Szwecja: Carlson na dachu

W pół roku
po zamordowaniu Olofa Palme

Nigdy chyba jeszcze w najnowszej historii Szwecji tutejsze życie polityczne tak bardzo nie zachwiało się jak w dniu zamordowania Olofa Palme. Patrząc zresztą trochę dalej, aż po ostatnie wybory do parlamentu, które odbyły się jesienią 1985 roku, można zaobserwować poważne zmiany kursów ideologiczno-personalnych we wszystkich niemal partiach szwedzkich. Spośród pięciu partii,

od lat już posiadających swoją reprezentację w Riksdagu aż cztery zmieniły w ciągu ostatniego okresu przywódców i jedynym weteranem jest tu szef szwedzkiej komunistów (VKP), Lars Werner.

Mija właśnie pół roku od chwili wstrząsającej zbrodni na głównej ulicy Sztokholmu i od chwili, gdy miejsce Olofa Palme zajął dotychczasowy wicepremier Ingvar Carlsson. Patrząc na jego postać czasami trudno uwierzyć, że jest on premierem, gdyż z wyglądu przypomina poczciwego urzędnika, a nie doświadczonego polityka, jakim jest w rzeczywistości. Dla mnie osobście był on zupełnie nieznaną postacią w szwedzkim życiu politycznym, lecz wielu Szwedów doskonale wie, kim jest nowy premier i pamięta go z czasów, gdy jako minister szkolnictwa „rozłożył” swego czasu sprawę wychowania młodych Szwedów. W tym twierdzeniu opieram się jedynie na informacjach zasłyszanych od osób osiadłych w Szwecji od kilkudziesięciu lat. Carlsson, który był prawą ręką Olofa Palme, należy do grona tzw. „chłopców” Erlandera, byłego premiera Szwecji i jednocześnie przywódcy socjaldemokratów. Swoje pierwsze kroki w polityce Palme i Carlsson stawiali właśnie pod bacznym okiem „duchowego ojca” i jemu to zawdzięczają dalszą karierę.

Nie ulega wątpliwości, że pozycja Carlssona jako obecnego premiera nie jest ani łatwa, ani przyjemna. Polityk sprawujący władzę w cieniu swojego „wielkiego” poprzednika musi liczyć się z każdym słowem oraz dbać o przechowywanie dziedzictwa ideowego. Sytuacja ta jest krępująca, zwłaszcza, że doświadczenia Carlssona nie można porównać z doświadczeniem politycznym Palme. Widać to na każdym kroku. Trudno zdecydowanie atakować opozycję, gdy nie jest się demagogiem, którym był Palme. Trudno wreszcie wypełnić lukę po Olofie Palme na forum międzynarodowym nie posiadając jego autorytetu. Carlsson zdaje sobie sprawę z tych niedostatków. Jest jednak skromny i pokorny, cierpliwie ucząc się swojej nowej roli.

Pierwsze pół roku nowego premiera początkowo przyćmione było całkowicie świeżą pamięcią o Olofie Palme. Później życie polityczne powoli wróciło do normy, nie osiągając jednak do tej pory temperatury „wrzenia”. Opozycja zdaje się być osłabiona, zwłaszcza po odejściu bliskotliwego polityka, szefa konserwatystów Ulfa Adelsöna i po zmianach w partii „centrum”. Po dotkliwej porażce wyborczej (niegdyś premiera) Thorbjörna Falladina mianowano na to stanowisko pierwszą kobietę – przywódczynią partii szwedzkiej, niezbyt przekonywującą Karin Söder. Nie brakowało zresztą w tym pierwszym okresie nowych rządów zdarzeń ważnych dla Szwecji, które niejako stały się miernikiem możliwości nowego

premiera. Po paroletnim zamrożeniu stosunków między Szwecją a Związkiem Sowieckim doszło do zapowiadanej od dawna wizyty premiera szwedzkiego w Moskwie, którą przygotowywał jeszcze Palme. Nie zdążył tam jednak pojechać i jego miejsce zajął Carlsson.

Prasa szwedzka poświęciła tej wizycie sporą ilość materiałów redakcyjnych. Była to wyprawa o znaczeniu historycznym obciążona wielokrotnymi incydentami z sowieckimi łodziami podwodnymi na szwedzkich wodach terytorialnych, do których strona sowiecka oczywiście nie przyznaje się. Początkowo wydawało się, że wizyta przebiegnie chłodno, w temperaturze stosunków sowiecko-szwedzkich z ostatnich lat. Wsiadającego z samolotu premiera przywitano jednak niezwykle gorąco i gościnnie, być może w nadziei, że Carlsson okaże się politykiem *jeszcze bardziej* elastycznym wobec Kremla niż jego poprzednik. Trudno jednak osądzić w jakim stopniu te nadzieje się spełniły. Informacje o wynikach rozmów między Carlssonem a Gorbaczowem pozostały poufne, chociaż z całą pewnością mówiono i o łodziach podwodnych, i o Raoulu Wallenbergu, który rzekomo zginął już w 1945 roku w kazamatch NKWD, i o łamaniu praw człowieka. Oficjalny komunikat ogłoszony po zakończeniu wizyty w Moskwie był jak zwykle gołosłowny, ale jak dopatrzili się uważni „odczytywacze nowomowy sowieckiej” daleki od zapewnień o „obopólnym zrozumieniu” i „wspólnych celach”.

Wydaje się jednak, że Carlsson zrobił dobre wrażenie w Moskwie. Pozytywne oceny zebrał również w tutejszej prasie. Warto dodać, że w Sowietach nazwisko Carlsson jest dobrze znane zwłaszcza wśród najmłodszych obywateli Kraju Rad. Na pytanie reporterów szwedzkich, czy słyszeli kiedyś o Carlssonie, wszyscy odpowiadali twierdząco. Bynajmniej nie świadczyło to jednak o zaawansowanej świadomości politycznej młodych obywateli sowieckich. Okazuje się bowiem, że jedną z najpoczytniejszych książek w Sowietach jest bajka Astrid Lindgren (tej od Pipi Landstrup) zatytułowana „Carlsson na dachu”. Łatwo domyślić się, że nie o przywódcy socjaldemokratów jest w książeczce mowa.

Miesiąc po sukcesie w Moskwie, rząd premiera Carlssona znalazł się w sytuacji bardzo niezręcznej. Prasa ujawniła bowiem, że pięciu dyplomatów czechosłowackich oskarżono o szpiegostwo i będą oni wydani ze Szwecji. Jak okazało się później, afera szpiegowska znalazła się na łamach prasy wbrew woli rządu, który był zainteresowany wyciszeniem sprawy. Niestety, właśnie takie stanowisko Carlssona i jego ekipy spotkało się z ostrą krytyką zwłaszcza, że szpiegowska działalność ambasady CSRS w Sztokholmie wy-

mierzona była w emigrację czeską 1968 roku, której przedstawiciele szantażowano odmową udzielenia wiz wjazdowych do rodzinnego kraju, jeśli nie zgodzą się na pracę wywiadowczą. Szczególną irytację prasy wywołało stwierdzenie szwedzkiego ministra spraw zagranicznych Stena Anderssona o tym, że działalność czeskich dyplomatów nie ma nic wspólnego z wywiadem sowieckim. *Jest to zupełnie niedorzeczne twierdzenie* – pisała sztokholmska popołudniówka – *po pierwsze, Czesi nie mają żadnego własnego interesu, żeby szpiegować w Szwecji, po drugie, powszechnie wiadomo, że wszelka działalność wywiadowcza państw bloku wschodniego jest kierowana i zlecana właśnie przez KGB.*

Wbrew oczekiwaniom wielu publicystów politycznych sprawa szpiegowska szybko zniknęła z łam gazet, co należy przypisać kredytowi zaufania, z jakiego do tej pory korzysta Carlsson. Nastąpił zresztą okres urlopowy, w którym problemy wielkiej polityki zeszły na plan dalszy. Natomiast politycy szwedzcy zbierają siły do jesiennych debat parlamentarnych, w których Ingvara Carlssona oceniano się będzie coraz ostrzej bez dotychczasowej taryfy ulgowej. Dziedzictwo po Olofie Palme nie będzie łatwą sprawą – tak w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej. ■

Z Rzymu... Marek Lehnert

ŚMIERĆ KARDYNAŁA LEKAI

30 czerwca br. w Budapeszcie zmarł na zawał serca kardynał Laszlo Lekai, 39 arcybiskup Esztergom (Ostrzyhom) i prymas Węgier. Kardynał Lekai urodził się w 1910 roku; w Rzymie, w kolegium *Hungaricum et Germanicum* ukończył studia kościelne, a na Uniwersytecie Gregoriańskim – w 1931 – uzyskał magisterium z filozofii. Święcenia kapłańskie otrzymał również w Wiecznym Mieście, w bazylice św. Pawła za Murami (1934).

W 1944 ks. Lekai został aresztowany przez hitlerowców, wraz z grupą księży i biskupem Mindszentym; z więzienia wyszedł rok później. W roku 1972 Paweł VI mianował go administratorem apostolskim *ad nutum Sanctae Sedis* diecezji Veszprem, a dwa lata później – po rezygnacji kardynała Mindszಂತego – administratorem archidiecezji Esztergom, której arcybiskupem, a więc

i prymasem Węgier, został wkrótce potem, 12. II. 1976.

W oficjalnej biografii zmarłego, rozpowszechnianej przez Watykańskie Biuro Prasowe, czytamy, że *działalności jego przyświecała stała troska o szczerą i lojalną współpracę węgierskich katolików w tonie społeczeństwa socjalistycznego. W wypełnianiu tego trudnego zadania prymas Węgier napotykał na liczne trudności, ale miał też wiele osiągnięć.* Ostatnim sukcesem kardynała Lekaia będzie mające się odbyć w Budapeszcie w październiku tego roku międzynarodowe sympozjum katolicko-marksistowskie na temat wartości etycznych społeczeństwa.

Po śmierci Lekaia kolegium kardynalskie liczy 147 członków, z czego 35 w wieku powyżej osiemdziesięciu lat.

BISKUPI POLSCY O „RELIGIOZNAWSTWIE” W SZKOŁACH

Stałym przedmiotem troski Pasterzy Kościoła są sprawy wychowania młodego pokolenia. Dali oni temu wyraz w Liście Pasternkim o prawach rodziców i zadaniach szkoły, odczytany w dniu 1 czerwca br. w kościołach w Polsce.

W okresie wakacji szczególnie doniosły i pilny staje się obowiązek rodziców i opiekunów zatroszczenia się o to, by dzieci i młodzież na koloniach, obozach i innych wyjazdach wakacyjnych nie zaniedbywały modlitwy i praktyk religijnych oraz by – wbrew różnym pokusom – uczestniczyły regularnie w niedzielnej i świątecznej Mszy św.

Umacnianie świadomości religijnej dzieci i młodzieży z rodzin katolickich staje się tym ważniejsze, że od najbliższej jesieni ma być wprowadzony do szkół nowy przedmiot, określany jako „religioznawstwo”.

Ma to być przedmiot obowiązkowy w szkołach ponadpodstawowych. Stawia to przed programem, podręcznikami i nauczycielami postulat szczególnej troski o obiektywną i uczciwą wiedzę. Dotychczasowe doświadczenia w dziedzinie publikacji o religioznawstwie w prasie, w audycjach radiowych i telewizyjnych budzą poważny niepokój. Zmierzają one do podważania wartości religii, w szczególności zaś religii katolickiej. Obawy te są potwierdzane wiadomościami o przygotowaniu nauczycieli do wykładania religioznawstwa, które jest przedstawiane w ujęciu marksistowskim. Pasterze Kościoła zmuszeni są zgłosić wobec tego zasadnicze zastrzeżenia.

Marksistowskie religioznawstwo ma bowiem negatywny stosunek do każdej religii. Ukazuje ją jako iluzję i deformację naturalnych dążeń człowieka. Biskupi nie są przeciwni poszerzeniu wie-

dzy o religiach. W naszych jednak konkretnych warunkach religioznawstwo oznaczać będzie walkę z religią. Realizacja tak pojętego religioznawstwa, jako przedmiotu obowiązkowego, stanowić więc będzie, dla ogromnej większości uczniów i nauczycieli, niedopuszczalny przymus. Zobowiąże ich bowiem do przedstawiania i wyznawania poglądów w szkole w konflikcie z obiektywną prawdą i wyznawaną wiarą. Będzie to taniem sumienia.

(z Komunikatu z 214 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, Gniezno, 28 czerwca 1986). ■

Pieczeń rzymska

RZYM, WOJEWÓDZTWO KRAKOWSKIE

1.

Pod parasolem papieża chodzą, nogi tylko widać, kolana widać, twarzy nie widać. Ale czasami. Kiedy się rozwiną, prawe skrzydło na prawo, lewe na lewo, w środku stanie ich dobrodziej, wtedy można się przyjrzeć, widać wszystko, jak na fotografii. Jubileuszowej, jak ta w *Tygodniku Powszechnym* z 6 lipca br. Na co dzień ludzi tych, nie wszystkich, rzecz jasna, spotkać można na placu przed Bazyliką, na korytarzach Pałacu, w redakcjach. Wieczorem na rautach, w autach i getrach. Gdy pada, wciągają na siebie płaszcze nieprzemakalne i uchodzą z życiem pod kolumnadę Berniniego.

2.

W tym samym czasie, gdy w Rzymie „bawiła” grupa redaktorów i współpracowników krakowskiego miesięcznika *Znak* – na czterdziestolecie pisma – w Warszawie na milicji meldował się Tadeusz Mazowiecki, postać jak się zdaje w Rzymie zapomniana. Nic dziwnego. Od czasu wprowadzenia stanu wojennego Mazowiecki nie pokazuje się poza krajem, nie chodzi za własnymi sprawami. Nawet w Polsce powoli o nim zapominają, pamięta już tylko esbecja. Przed kolejnym wyjazdem do „wiecznego miasta” krakowski publicysta tak skwitował dzieło życia Mazowieckiego, miesięcznik *Więź* i całe zresztą warszawskie środowisko: *W krótkim stosunkowo czasie powstało tam w Warszawie bardzo żywe środowisko świeckich i duchownych o własnym obliczu, spe-*

cyficzny klimat kulturalnym, ideowym i artystycznym. Przez wiele lat Warszawa dla Krakowa to była głównie „Więź” i tamtejszy KIK. (Tygodnik Powszechny z 1 czerwca br.) Gdyby nie to, że się boją, krakowianie już dawno by sobie przypisali powstanie KOR-u czy strajki na Wybrzeżu.

Czy można się więc było spodziewać, że krakowianie, którzy cenzurki takie rozdają, bo są lepsi (czytaj: mają swojego papieża), wspomną na spotkaniach w Watykanie o przesładowym kole-dze? Lepiej unikać rozczarowań, prawda.

3.

Te watykańskie obchody *Znaku* zafundował oczywiście kolegom dawny współpracownik. I nie ma się czemu dziwić. Znaczna część literackiej twórczości „Andrzeja Jawienia” ukazała się właśnie na łamach tego miesięcznika. Trochę wszystkich zdziwiło, że językiem oficjalnym obchodów — które nazwano „sesją naukową” — okazał się być francuski. Ale szybko się wydało, że „w tym szaleństwie jest metoda”, bo można było uniknąć obecności pewnych osób, tłumacząc im, że przecież nie znają języka. To wprost genialne: rozmawiasz ze znajomym na rogu ulicy, nadchodzi facet, którego nie lubicie, przechodzicie wtedy, zamiast na drugą stronę ulicy, na ławeczkę, której on nie zna, cudowne! Powodem francuskiego było i to, że głównym patronem imprezy zgodził się zostać kardynał francuski Paul Poupard, z papieskiej Rady d/s Kultury. Do Rady tej należy Jacek Woźniakowski, dyrektor wydawnictwa *Znak*. Międzynarodowej publiczności zaproszonej przez francuskiego purpurata *Znak* przedstawił dwu outsiderów: Tadeusza Chrzanowskiego i o. Jacka Salija, który nawet nie jest z Krakowa. Mówił on o „teologii wyzwolenia w Polsce XIX wieku”. Z tą „teologią wyzwolenia” to sporo przesady, zauważył to zresztą sam referent podczas spotkania z rodakami, już po zakończeniu „symposium”. Chodziło raczej o „wątki naszej refleksji religijno-politycznej, religijno-społecznej, które wystarczy wydobyć i zaktualizować”, a dodadzą się i wskażą drogę.

Watykański dziennik *L'Osservatore Romano* poświęcił *Znakowi* całą stronę, we włoskim radiu, w przychylnie „usposobionym” do Polaków programie, powiedziano, że w Rzymie z tej okazji można spotkać „dwu bohaterów okresu 'Solidarności’ — Jerzego Turowicza i Bohdana Cywińskiego”, z czego obaj się serdecznie uśmieśli, a jeden tylko będzie się musiał tłumaczyć. Słowem było bardzo przyjemnie. Nawet papież, żeby nie popsuć nastroju, aluzję tylko zrobił do czasów, gdy jeszcze nie było tak miło, jak dziś: o powodach zamknięcia zarówno *Tygodnika*, jak

i *Znaku* w latach 1953-1957, powiedział, że „są wam znane”. Wam czy nam — tak, ale słuchaczom tego francuskiego przemówienia? Śmiejmy się.

4.

Jeden z krakowskich gości, gość uczony i bywały, dopiero w Rzymie dowiedział się, że papież z Polski ogłosił encyklikę o Duchu Świętym. To zresztą zrozumiałe. Od kiedy Rzym leży w województwie krakowskim, należy wiedzieć, co dzieje się w centrali, a nie odwrotnie.

SORDELLO

Post scriptum.

Zaraz po „znakowskim” święcie obchodzono w Rzymie 800-lecie chrztu Łotwy. Jak każą Francuzi, proporcje muszą być zachowane, i tak się stało: 40-lecie *Znaku* obchodzono przez dwa dni, 800-lecie chrześcijaństwa na Łotwie — dni trzy i pół. Z przyjemnością zawiadamiam, że wziął w nich udział — zaproszony przez organizatorów: Papieski Komitet Nauk Historycznych — jeden Polak, mgr Janusz Czekaj, pierwszy sekretarz „polskiej misji przy Stolicy Apostolskiej” (ul. Borgo S. Spirito 16 m. 4, jakby powiedział generał Pożoga). Nic o nas bez nas.

KTOŚ CZEKA

Po rozwiązaniu krzyżówki w numerze 28 notorycznie milicyjnego tygodnika *Perspektywy*, odczytaliśmy „szyfr”: *Wróc z pracy zdrowy. Ktoś na ciebie czeka*. W obawie, że tym czekającym mógłby być wiceminister spraw wewnętrznych generał Pożoga, znający adresy krajowe i zagraniczne, nie wracamy do domu. Pozostajemy na mieście, stawiając opatrność za zdrowy umysł, jakim nas obdarzyła.

S



Anna Michałowska

Spotkania w „Naszym Domu”

O działalności gdańskich artystów
Barbary Ur i Andrzeja Piwarskiego

Dyskusje nad potrzebą i możliwościami uaktywnienia kulturalnego emigracji polskiej w Republice Federalnej toczą się w niejednym domu. Przy okazji imieninowo-urodzinowych spotkań, czy ot takich, kiedy popijając herbatę, wino czy piwo, wyrażając się ogólnie, słyszy się narzekania na brak umiejętności w podejmowaniu jakichkolwiek inicjatyw w kręgach polskich.

Trudności w zrozumieniu funkcjonowania społeczeństwa zachodnioniemieckiego, nie tylko jego struktur społecznych lecz również reguł życia kulturalnego, możliwości partycypacji w nim, wnosząc w nie własne przemyślenia oraz bagaż wiedzy i doświadczeń zdobytych w odmiennych warunkach systemowych i kulturalnych, stanowią niewątpliwie bariery, których pokonanie wydaje się dla wielu niemożliwe.

Formułowanie wniosków określających przyczyny tych trudności należy do zadań socjologów i pogłębionych badań empirycznych. Można jednak stwierdzić, bez obawy popełnienia błędu, iż przyczyny te mają charakter indywidualny, często będąc wynikiem skomplikowanej sytuacji identyfikacyjnej, w której znalazła się spora część polskich przybyszów do tego niemieckiego kraju, jak też są wynikiem obciążenia socjalizacyjnych przywiezionych z państwa socjalistycznego, w którym indywidualizm oraz inicjatywa nie należą do pożądaných cech osobowości.

Wprawdzie Polacy przybyli tutaj po 1981 roku mieli możliwość zebrania doświadczeń aktywności indywidualnej czy grupowej, lecz mimo olbrzymiego znaczenia tych kilkunastu miesięcy względnej swobody dla rozwoju ich osobowości, zmiana warunków ustrojowych, potrzeba odbudowy swej materialnej egzystencji, bariera językowa itp. zagrażają nagromadzonemu potencjałowi wiedzy i energii. W wielu osób prowadzi to do stanów zagubienia, apatii i depresji. Jeśli sytuacja ta dotyczy twórców, zniszczeniu może ulec również ich potencjał artystyczny, talent zarezerwowany tylko dla wybrańców.

W tej, tak dla wielu podobnej sytuacji, na uznanie zasługuje zapoczątkowany w lipcu 1985 roku cykl „Spotkań w Naszym Domu”. „Nasz Dom” od tego momentu to już nie tylko mieszkanie państwa Barbary i Andrzeja Piwarskich w Essen, lecz dom, miejsce, które stało się wspólne wszystkim, którzy chcą się podzielić wiedzą, dorobkiem, chcą się spotkać. Miejsce oddane dla potrzeb dyskusji, przemyśleń i działań.

Barbara (psd. art. Barbara Ur) i Andrzej Piwarscy są artystami plastykami z Gdańska, mieszkającymi od paru lat w Essen – stolicy Zagłębia Ruhry, w którym Polacy od kilkudziesięciu lat znajdowali swe nowe miejsce zamieszkania. Nazwisko artystów jest od wielu lat nieobecne konsersem sztuki w kraju i za granicą. Liczne wystawy w wielu krajach europejskich, jak też częste pojawianie się ich nazwisk na łamach prasy emigracyjnej potwierdzają ich popularność.

Trudno zrozumieć idee „Spotkań” bez zagładnięcia w twórczość obojga artystów. Ich praca jako plastyków stała się punktem wyjścia i inspiracją odmiennej formy twórczej. Przemyślenia, do tej pory obecne jedynie w dziełach plastycznych, uległy metamorfozie, stając się rodzajem aktywności kulturalnej, będącej ich uzupełnieniem, a przy tym przynoszącej korzyść duchową innym. Barbara i Andrzej należą do tych wybrańców, których nadzieje i rozczarowania ostatnich lat, wspólne milionom Polaków, mogły znaleźć odzwierciedlenie w tak doskonałej formie wyrazu jaką jest sztuka. Artyści posunęli się jednak dalej. Uczynili swe dzieła tłem dla osób, które dzielą się swoją wiedzą i twórczościami z innymi.

W ciągu ostatniego roku „Spotkań w Naszym Domu” odbyło się cztery. Na pierwszym, wśród tłumu zgromadzonych osób (mimo przestronnych pomieszczeń siedemdziesiąt osób stanowi już tłum) zasiadła skromna postać, o smutnych oczach – Barbara Sadowska – poetka, matka zamordowanego Grzegorza Przemka. Z jej ust popłynęła poezja, jej syna i jej własna. Mimo, iż dla wielu obecnych nie była to poezja nieznaną, obecność poetki, jej smutek ale i hart ducha wyczuwalny w słowach, padających z jej ust, tworzyły jednorazową atmosferę spotkania.

Oprawę słowom poetki dawały obrazy Andrzeja Piwarskiego tematycznie związane z Przemkiem, z młodością, miłością matczyną i śmiercią. Mimo dramatyzmu płynącego z ogromnych płócien, ich autorowi udało się w nich przemycić wątek nadziei. Matka nie pozwala synowi umrzeć, ikar nie spada na ziemię, lecz buja na wieki w powietrzu. Żyje nadal, dając nam nadzieje.

Oryginalna grafika wykonana przez Barbarę Ur z motywem Ikarów stanowiła nie tylko benefis lecz przede wszystkim wspaniałą pamiątkę spot-

kania. Do późnych godzin nocnych, wypełnionych wspomnieniami matki o synu, o Polsce, o nadziejach i rozczarowaniach, przeciągnęło się to pierwsze spotkanie.

Na drugie spotkanie przyszli ludzie już czując się trochę jak bywalcy. Wymieniano pozdrowienia i uśmiechy. Nocna dyskusja ostatniego spotkania potworzyła nowe znajomości. Atmosfera była nie tak napięta, jak przedtem. Polsce, tej przedwojennej i powojennej, jej problemom ekonomicznym i społecznym, niespełnionym marzeniom i planom, temu jaka ta Polska mogłaby być, gdyby jej losy potoczyły się inaczej, poświęcone było to drugie spotkanie.

Łukasz Czuma, docent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przedstawił w sposób zwięzły i konkretny sytuację ekonomiczną kraju. Popłynęły liczby, porównania. Dla wielu słuchaczy porównania danych przedwojennej Polski z obecnymi były szokujące i tłumaczyły niejako obawę ich publikacji przez oficjalne wydawnictwa. Nazwisko autora powinno być nie tylko znane kręgom wtajemniczonym w działalność konspiracyjną lat siedemdziesiątych lecz również z historii obrony Warszawy, którą dowodził jego krewny. Łukasz Czuma, któremu po osiemnastoletniej przerwie udało się uzyskać paszport, nie należy do osób, które umieją wykorzystywać podobną sytuację. Jego skromność nie pozwala mu na wyrażanie jakichkolwiek życzeń, stąd mniejmy nadzieję, że spotkanie z gronem osób, w których znalazł pełne uznanie przyniosło mu pewną satysfakcję.

Emil Morgiewicz, prawnik i publicysta, podzielił się w ten wieczór ze słuchaczami mało znanymi kulisami rodzenia się opozycji politycznej w kraju. Popłynęły nazwiska znane i nieznane stanowiące się przewodnią rodzącego się oporu. O akcjach, programach i zamierzeniach Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. O cierpieniu i poświęceniu, o Polsce.

Zmarłemu przedwcześnie historykowi, doskonałemu znawcy stosunków polsko-niemieckich – Andrzejowi J. Kamińskiemu poświęcony był kolejny wieczór w „Naszym Domu”. O Andrzejowi J. Kamińskim napisano w ostatnich dwóch latach na łamach polskich publikatorów emigracyjnych dość sporo. Jednak wspomnienia o nim, przedstawione przez żonę zmarłego – dziennikarkę Halinę Zarychtę – ukazały nam nie tylko naukowca, rzetelnie i z dużym talentem wykonującego swe zadania, lecz również człowieka z jego bólami i nadziejami, z wątpliwościami.

Andrzej J. Kamiński należał do tych szczęśliwców w nieszczęściu okrutnej wojny, któremu udało się przeżyć. Z maturzystów rocznika 1939 w gimnazjum „Batorego” w Warszawie, do któ-



z prawej: Barbara Sadowska

Emil Morgiewicz i Łukasz Czuma



Listy do redakcji

Stanowny Panie Redaktorze,
i Badenia-Wirtembergia przestaje być pustynią kulturalną Polaków. Staraniem Polskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego zorganizowano w Stuttgarcie w dniu 28 czerwca br. kiermasz książek polskiej. Bogactwo oferty licznych wydawnictw niezależnych na Zachodzie zaskoczyło nawet samych organizatorów. Na stoiskach wyłożono obok książek płyty i kasety.

Nikt nie narzekał na nudę. Przybyli na kiermasz mieli okazję posłuchać poezji polskiej recytowanej przez dzieci i dorosłych oraz pieśni polskich w wykonaniu zespołu młodych Polaków studiujących w Badeni-Wirtembergu.

Po polskiej mszy św. odprawionej za Ojczyznę spotkanie przy grillu przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych.

Łącząc wyrazy szacunku
Grażyna Białowąs

Stuttgart, 10. 07.1986

Odpowiedz panu Peterowi A. Tennenbaumowi
(na list w nrze 12/13 Poglądu z 29 czerwca br.)
dot. „Wizyta Papieża w rzymskiej synagodze”, Pogląd nr 10 (108) z dnia 1 czerwca br.

Zanim odpowiem na uwagi czytelnika, przypomnę kilka fragmentów jego listu, tych głównie, z którymi będę polemizować.

Pisz pan Tennenbaum: „Zadam p. Lehnertowi parę pytań, nie odpowiadając na nie równocześnie, mimo, że odpowiedź być może znam:

1. Dlaczego Kościół ma uznawać państwo Izrael, jeśli wiele ortodoksyjnych Żydów tego państwa uznać nie chce?

2. Dlaczego Kościół ma uznawać państwo, które nie jest uznawane przez przynajmniej 50 % krajów na tej kuli ziemskiej?

3. Czy uznanie Izraela przez Kościół nie podważyłoby interesów chrześcijaństwa w krajach arabskich, Afryce i nawet Azji? Czy p. Lehnerta nie te interesy, m.in. praca misyjna, nie obchodzi?

4. Czy p. Lehnert nie wie, że dla wierzących chrześcijan terytorium, na którym obecnie znajduje się tzw. państwo Izrael, jest Ziemią Świętą w znaczeniu chrześcijańskim i że uznanie państwa Izrael przez Kościół podważyłoby w pewien sposób chrześcijańską świętość tej ziemi?

5. Czy p. Lehnert nie wie nic o sytuacji, w jakiej znajdują się muzeum i chrześcijańscy obywatele Izraela, o ich stałej dyskryminacji, którą można tylko porównać do dyskryminacji Żydów w Rosji lub czarnych w Afryce Północnej (...) uważam, że p. Lehnert powinien był odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Kościół nie uznaje państwa Izrael, zamiast tylko cytować argumenty strony żydowskiej, która, moim zdaniem, jak zwykle wykazała się brakiem taktu podczas wizyty papieskiej (...) czy oni zapominają, że Kościół myśli w kategoriach „wiecznych, że przede wszystkim jest organizacją misyjną”?

Z jednym od razu mogę się zgodzić: mój polemista ma rację, że trzeba było odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Kościół nie uznaje Izraela. Wcześniej jednak chciałbym się wybronić z pozostałych zarzutów. P. Tennenbaum, jak widać, nie odróżnia pomiędzy Papieżem a Ko-

ściołem, jak również pomiędzy „państwem Izrael” a diasporą. 13 kwietnia br. Jan Paweł II złożył wizytę w synagodze Rzymu a nie Jerozolimie, spotkał się z przedstawicielami Żydów żyjących w rozproszeniu, a nie w „Ziemi Świętej”. Więcej, dialog katolicko-żydowski, o którym mówię obszernie w „Inkryminowanym” artykule, dotyczy – ze strony żydowskiej – głównie tej diaspory. Argumenty strony żydowskiej, których – zdaniem p. Tennenbauma – cytowałem za wiele, to są argumenty diaspory; zresztą, nie tylko Żydów cytowałem w tej sprawie...

Dlaczego poczuwam się do obowiązku odpowiedzenia na jedno tylko pytanie – i to poniekąd „spoza listy”, bo dodatkowe – skoro postawiono mi ich aż pięć? Różne są powody. Dwa pierwsze pytania uważam za niepoważne. Uznanie czegoś przez kogoś nie musi się przeczyć wiązać z masowością owego „uznania”; gdyby Papież-Kościół chcieli (mogli, uważali za stosowne itp) uznać państwo Izrael, nie oglądaliby się zapewne ani na ortodoksyjnych Żydów, ani na 50 % krajów „na tej kuli ziemskiej” (jest jakaś inna?). Pytanie trzecie: wbrew powszechnej niemal opinii – na Zachodzie – że Papieżowi zależy na doboju świata, nie stwierdzam, by aktywność misyjna Kościoła katolickiego za obecnego pontyfikatu wyraźnie się zmogła, szczególnie na obszarach zamieszkałych przez Arabów, w Afryce czy nawet w Azji. Jan Paweł II prowadzi ożywiony dialog ekumeniczny z wszystkimi religiami i wyznaniaми, a ukoronowaniem dotychczasowych rezultatów na tej drodze będzie w październiku tego roku wielkie modlitewne spotkanie przedstawicieli tych religii i wyznań w Asyżu – z inicjatywy papieża zresztą. Nie wiadomo mi natomiast nic o głosach protestu Arabów na przykład po wizycie papieża w rzymskiej synagodze; a była to doskonała okazja, by zamanifestować ewentualne wrocie nastawienie. O ile wiem, interesy chrześcijańskie o wiele poważniej narażone są w krajach tzw. realnego socjalizmu niż w krajach arabskich, z tej choćby przyczyny, że spora część ludności tych pierwszych stanowią chrześcijanie, podczas gdy w krajach arabskich są nimi głównie misjonarze, którym nikt zresztą nie obiecywał „łatwego kawałka chleba”. Jak informuje najnowszy *International Bulletin of Missionary Research*, katolicy (przynajmniej do roku 2000) mogą spać spokojnie, dopiero potem będzie ich mniej (miliard sto trzydzieści milionów wobec miliarda dwustu milionów muzułmanów). Nie martwiłbym się jednak liczbami, a raczej tym, by na czele tych ostatnich nie stanął jakiś Chomeini.

Ze sprawą „chrześcijańskiej świętości” Ziemi Świętej nie jest tak prosto, jak się wydaje p. Tennenbaumowi. Nie bardzo zresztą wiem, co to znaczy „chrześcijańska świętość”, ale spieszę uspokoić mojego polemistę, że święta ta ziemia jest również dla innych wyznań. Pisał o tym Jan Paweł II w liście apostołskim *Redemptio Anno*, na zakończenie Roku Świętego Odkupienia 1983/84, dokładnie 20 kwietnia 1984. Z listu tego można się nie tylko dowiedzieć, ale także głośno powiedzieć, że „święta” jest także rzeczywistość, ale również domyślna, na czym opiera się stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec problemu państwa Izrael. Pisz Jan Paweł II:

Chrześcijanie patrzą na Jerozolimę z pobożnym i zardrosnym przywiązaniem, gdyż właśnie tam wiele razy rozbrzmiewały słowa Chrystusa; tam miały miejsce wielkie wydarzenia Odkupienia; męka, śmierć i zmartwychwstanie Pana. W Jerozolimie powstała pierwsza wspólnota chrześcijańska i przez wieki, również pośród trudności, utrzymywała się tam ciągła obecność Kościoła. Dla Żydów miasto to jest przedmiotem żywej miłości i nieustającego wezwania, bogate w liczne ślady i pamiątki przeszłości, sięgające czasów Dawida, który wybrał je na stolicę, oraz Salomona, który wznosił w nim Świątynię. Po-

cząwszy od tamtych czasów Żydzi spoglądają nań – rzez można – każdego dnia i wskazują jako symbol swojego narodu. Również muzycyści nazywają Jeruzolimę „świętą”; z głębokim przywiązaniem, które sięga początków islamu i które tłumaczy się uprzywilejowanymi miejscami pielgrzymek oraz ponad tysiącletnią, niemal nieprzerwaną ich tam obecnością.

Papież dodaje, że obecność w Jeruzolimie żywych wspólnych wierzących jest ręką i źródłem nadziei dla ludzi, którzy we wszystkich zakątkach świata spoglądają na Święte Miasto jako na własne dziedzictwo duchowe oraz znak pokoju i harmonii. I dalej pisze: *Papieże, zwłaszcza w obecnym stuleciu, zawsze z pełną niepokojem troską śledzili bolesne wydarzenia, w których centrum przez wiele dziesiątków lat była Jeruzolima, i zwracali baczną uwagę na wypowiedzi organizacji międzynarodowych, które interesowały się Świętym Miastem. Jan Paweł II jest zdania, że cała ludzkość, a przede wszystkim ludy i narody, które mają w Jeruzolimie swoich braci w wierze, mają powód do tego, aby czuć się bezpośrednio zainteresowanymi tą sprawą i robić wszystko, co tylko możliwe, dla zachowania świętego, jedynego i niepowtarzalnego charakteru tego miasta. Jak widać, nie ma ani słowa o „chrześcijańskiej świętości” tych stron – chyba nikogo nie zmyla fakt, że papież mówi o Jeruzolimie, my zaś dyskutujemy o Izraelu – a kto jak kto, ale Jan Paweł II nie mógłby tego przeoczyć. Niepotrzebnie więc p. Tennenbaum przywołuje taki argument.*

Z cytowanych fragmentów wynika również jasno wola papieża, by problem Jeruzolimy „umiejdzynarodowić”, gdyż jest częścią większej całości, na której mu zależy nie mniej, aniżeli na świętych pamiątkach. Oto co pisze na ten temat w cytowanym już liście: *Ciąży na mnie powinność nieustannego powtarzania, że sprawa Jeruzolimy ma podstawowe znaczenie dla sprawiedliwego pokoju na Bliskim Wschodzie. Jestem przekonany, że tożsamość religijna Miasta, w szczególności wspólna tradycja wiary monoteistycznej, mogą usunąć przeszkody na drodze ku harmonii wśród tych wszystkich, którzy w rozmaity sposób uważają Święte Miasto za własne. (...) W kontekście tym będzie rzeczą naturalną przypomnienie, że na owym obszarze dwa ludy – izraelski i palestyński – od kilkudziesięciu lat pozostają w antagonizmie, którego złagodzenie wydaje się niemożliwe (...) Dla ludu żydowskiego, który żyje w państwie Izrael i który przechowuje w tej ziemi tak cenne świadectwa swej historii i wiary, prośmy o pożądane bezpieczeństwo i należny pokój, który jest niezaprzeczalnym prawem każdego narodu oraz*

warunkiem do życia i postępu każdego społeczeństwa. Lud palestyński, którego korzenie tkwią w tej ziemi, a który od dziesiątków lat żyje w rozproszeniu, ma naturalne, podyktowane sprawiedliwością prawo, aby znaleźć ojczyznę i móc żyć w pokoju i zgodzie z innymi ludami tego regionu.

Nie podejmując tematu państwa Izrael, czy jak chce p. Tennenbaum, Ziemi Świętej podczas wizyty w rzymskiej synagodze, Jan Paweł II nie odwołał przecież tych słów; nie powtórzył ich jednak dlatego, że jego rozmówcami nie byli politycy ani tym bardziej przedstawiciele tego państwa, lecz duchowni i wierni religii mojejżeszowej. W moim artykule podkreśliłem chyba wystarczająco jednoznacznie, że ci ostatni dotąd są zwolennikami teokracji, podczas gdy Kościół katolicki zerwał z nią już dość dawno.

W opublikowanych przed rokiem – w czerwcu 1985 – „Wskazówkach do właściwego przedstawiania Żydów i judaizmu w nauczaniu Kościoła katolickiego” znalazło się – skierowane do chrześcijan! – wezwanie o „rozumienie związków pomiędzy judaizmem a Ziemią Świętą i państwem Izrael (rozdz. 6)”. W dokumencie zwraca się jednak uwagę, że Kościół nie patrzy na to państwo i na jego politykę z punktu widzenia religii, lecz „kierując się ogólnie przyjętymi zasadami prawa międzynarodowego”, szczególnie tymi, które dotyczą wielonarodowościowych i wielowyznaniowych społeczeństw.

Myślę, że po lekturze tych uzupełnień, sprowokowanych uwagami p. Tennenbauma, uważny czytelnik będzie już wiedział, co myśleć o szansach nawiązania stosunków dyplomatycznych, a co za tym idzie uznania przez Stolicę Apostolską państwa Izrael.

M. Lehnert, Rzym

PS. Chciałbym ja z kolei zaprotetować przeciwko jednej z uwag mego polemisty. Twierdzi on, że „strona żydowska jak zwykle wykazała się brakiem taktu podczas wizyty papieskiej”. Uważam za rzecz normalną, zdrową i rokusjącą nadzieję, że w chwili tak istotnej dla dalszych losów dialogu katolicko-żydowskiego, który powinien być chyba wyzbyty wszelkich przemilczeń czy niedomówień, Żydzi rzymscy poruszyli również ten temat, temat uznania państwa Izrael, chociaż szanse szybkiego załatwienia go są wciąż jeszcze niewielkie, a tam, w synagodze, były wprost zerowe. Moim zdaniem, zrobili dobrze. A p. Tennenbaum mogą zapewnić, że była również mowa o „rolu księży w ratowaniu Żydów podczas ostatniej wojny”.

Poglad

sprowadzamy także: AUSTRIA – Polnische Buchhandlung, Burggasse 22, 1070 Wien; FRANCJA – Libella, 12 rue St. Louis-en-l'île, 75004 Paris; Polemika Libraire, 49 rue Gay-Lussac, 75005 Paris; Libraire Polonaise a Paris, 123, Boulevard St.-Germain, 75006 Paris; KANADA – Redakcja „Głos Polski”, 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; RFN – Stodiek's Buchhandlung, Richard Wagner Str. 39, 1000 Berlin 10; ARKADY Kunst u. Buchhandlung, Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 36; Osteuropaeische Buchhandlung WAWEL, Stephanstr. 11, 5000 Koeln 1; Buchhandlung DIALOG, Gutleutstr. 15, 6000 Frankfurt/M.; USA – „Nowy Dziennik”, Bicentennial Publishing Corp., 21 West 38th Street, New York, N.Y. 10018; POLONIA Books Store & Publ. 2886 Milwaukee Ave., Chicago Ill. 60618; WIELKA BRYTANIA – Orbis Books London Ltd., 66 Kenway Road, Earst Court, London SW5;

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. – zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmety § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartijne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd” – „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki:

Australia	2,5 \$A
Austria	30 Ö S
Belgia	.85 bfr
Dania	15 dkr
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	2,5 \$
Wielka Brytania	1,2 £

PRENUMERATA

RFN:	
kwartalna	DM 27,-
półroczna	DM 52,-
roczna	DM 85,-
Kraje europejskie:	
półroczna	DM 54,-
roczna	DM 90,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna	DM 72,-
roczna	DM 120,-
Australia:	
półroczna	DM 82,-
roczna	DM 140,-

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogląd redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”

Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BZL 100 500 00
lub
Postscheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postscheckamt
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Juergen Wichmann
Askanierring 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 4.-

IMPRESSUM
Verleger – Wydawca
Gesellschaft Solidarność e.V.
Geslestr. 10, D-1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak
Adres redakcji
Postfach 62 02 24
D-1000 Berlin 62
Tel. 030/782 93 84

Przedstawiciele, korespondenci i kolportery

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 905/32
Diamond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA – „Polskie Wiadomości”, A. Jakiłowicz,
Kolbigasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Pol-
ska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;

DANIA – Roman Smięgalski, Worsaaensvej 7, 4tv,
72 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;

FRANCJA – A. Mrowiec, 6AB d. A. Allende,
42000 St. Etienne; Krysztyna Szewczuk, 143, rue
Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/R, Tel. 74/-
620945;

KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave.,
Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykowski,
4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q., H3V 1G3,
Tel. 514/7355974;

NORWEGIA – Paweł Gajowniczek, Linderberg-
gasse 32b, 1068 Oslo;

RFN – Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135,
4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Andrzej Bara-
nowski, Riesengiebigstr. 1, 5300 Bonn 1; Stanisław
Brodnicki, Zum Luftsacht 17, 4600 Dort-
mund 15, Tel. 0231/374673; Anna Janiszewska,
Hamburg, Tel. 040/458261; Andrzej Janiszewski,
Suedstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy
Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 Muen-
chen 83, Tel. 089/6371213; Lech Jarmuta, Post-
fach 601203, 2000 Hamburg 60; Jan Kustusz,
Engelbert Str. 85, 5760 Arnsberg, Tel. 02932/
22798; Tadeusz Leń, Wienenstr. 307a, 7000 Stutt-
gart 30, Tel. 0711/8567415; Marek Poliwski,
Luxemburger Str. 124, 5000 Koeln 41, Tel. 0221-
/413734; Mirosław Sufida, Wilhelm Bauman Str.
51, 4830 Gutesloh, Tel. 05241/27730; Waldemar
Tymoszek, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;
Jacek Wyrwiak, Brueselsstr. 11, 5300 Bonn 1,
Tel. 0228/678379;

SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13525
Tyreso, Tel. 08/7421457;

USA – Piotr Całka, 4855 W 118th, Atsip 60658
Ill. Tel. 312/5972096; Mirosław Marski, P.O. Box
605a, Holand, MI 49432, Tel. 616/3966207; Ta-
mara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI
48212, Tel. 313/8711686; Andrzej Wisniewski,
P.O. Box 1785, Bentley, OH 73008;

WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity,
7 Quaint Av., London SW20 8LD, Tel. 01/67344-
56;

Postvertriebsstück: A 9878 D
Gebühr bezahlt
Poglad, Postfach 620224,
1000 Berlin 62

